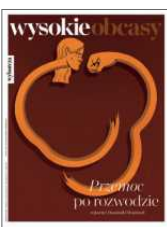


Kod dostępu
do **Wyborcza.pl**
na weekend

WOLNA
SOBOTA



TOMASZ SYGUT
Z TVP wyrzuciłem
wszystkich
propagandystów ▶ 4



**WYSOKIE
OBCASY**
**Przemoc
po
rozwodzie**

FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL



GAZETA

wyborcza.pl
wyborcza
NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

WARLIKOWSKI
Upiór w operze ▶ 18

FOT. BARTOSZ BOBKOWSKI / AGENCJA GAZETA

wydaje Agora SA,
nr indeksu 348198



**Kristen
Stewart**
Robi to, na co ma
ochotę ▶ 22



FOT. SHUTTERSTOCK

Wybory w USA
Kogo kochają
ludzie z Midwest
▶ 9

Spalona ziemia
Jak nas niszczy
rolnictwo
▶ 35

Ale Historia
W 1920 zgody
w Polsce nie było!
▶ 39

Agnieszka
Kublik

Kaczyński tak ma

Gorszycie się, że Kaczyński krzyknął do jednego z członków Lotnej Brygady Opozycji „putinowska szmato”? Właściwie dlaczego?

10 sierpnia, kolejna miesięcznica katastrofy smoleńskiej, w której zginął jego brat bliźniak Lech (i 95 osób). Kaczyński przybył na plac Piłsudskiego, by pod pomnikiem smoleńskim złożyć wieniec. Jak zwykle miał głośną publikę.

„Jarek, skończ te łgarstwa” – padło w jego stronę. Te „łgarstwa” to powtarzane przez niego od lat oskarżenie, że katastrofa była nie wypadkiem lotniczym, ale „zamachem Putina” na Lecha (nie mylmy żaloby z politycznym projektem).

Każdy, kto temu zaprzecza, jest dla Kaczyńskiego oczywiście „szmatą putinowską”. 10 lutego Kaczyński używał innych słów, by protestujących obrazić: „Do kogo ty, gówniarzu, per »ty« mówisz? Zastrany gnoju”. Wcześniej sam został obrażony, bo usłyszał: „Będziesz siedział, ty kurduplu”. Dziwicie się Kaczyńskiemu?

Miał powód, by się wkurzyć, a wtedy staje się agresywny. A jak jest agresywny, staje się... nieparlamentarny. Tak ma.

Pamiętacie „mordy zdradzieckie”, „kanalie”, „komunistów i złodziei”, „gorszy sort”? Kaczyński przyzwyczaił nas do tego, choć ówczesna opozycja też, wszak niektóre jej transparenty były okropne: „Kurdupel, gnom i karzeł” albo napis „wypierdalał” na płocie przy jego domu na

„Małpa w czerwonym” przy „putinowskiej szmacie” brzmi jak złośliwość, a nie obelga

Żoliborzu. Prezes PiS obniżył standardy, a im wyższe stanowisko, tym bardziej spektakularna obniżka.

Mowa Kaczyńskiego trafiła na ulice, do telewizji, do kabeletów. Kaczyński to pracowity słowotwórca mowy „dobrozmianowej”. Michał Rusinek mówił o „Jarosławach” (z prof. Katarzyną Kłosińską napisał książkę „Dobra zmiana, czyli jak się rządzi światem za pomocą słów”).

Zdziwiło mnie natomiast, jak Lech Kaczyński krzyknął do zaczepiającego go człowieka, „Spieprzaj, dziadu!”, gdy ten zarzucał mu, że „politycy uciekają z partii do partii jak szczury”. Co ciekawe, to właśnie do tego samego mężczyzny Jarosław krzychał: „Do kogo ty, gówniarzu, per »ty« mówisz? Zastrany gnoju”.

To była jesień 2002 r., tuż przed wyborami prezydenckimi w Warszawie. Kaczyński w II turze zgarnął 70,5 proc. głosów warszawiaków. Bo Lech Kaczyński nie atakował agresywnym językiem przeciwników. Tak miał.

Już jako prezydent, w 2006 r., znowu zaskoczył, gdy podczas konferencji prasowej nazwał jedną z dziennikarek „małpą w czerwonym”. Potem się tłumaczył, że „to było powiedziane prywatnie, na ucho” i „że znał się z nią długie lata i mieli nie najgorsze relacje, ale w jednej rzeczy ma do niej żal, ona to wie, i stąd ta małpa”.

„Małpa w czerwonym” przy „putinowskiej szmacie” brzmi jak złośliwość, a nie obelga. W postponowaniu Jarosław Kaczyński wygrywa. Chyba się nie dziwicie? ●

Andrzej rysuje

Korea Południowa
Bliźniacze pandy

Rui Bao i Hui Bao niedawno skończyły rok. Zajądają zimny makaron z butów wykonanych z lodu w parku rozrywki Everland w Yongin, 42 km od Seulu, 14 sierpnia 2024 roku.

Więcej zdjęć z Polski i ze świata oraz niezwykłych galerii na Wyborcza.pl/zdjecia

Kod dostępu
do Wyborcza.pl

Liczba tygodnia

0,2

O tyle procent wzrósł Produkt Krajowy Brutto w drugim kwartale tego roku. To zaskoczenie, ponieważ zakładano, że wzrośnie nie więcej niż 2,8 proc.

Wieści z Marsa
Ukryty ocean

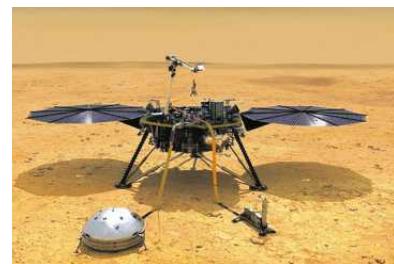
Jest kompletnie niedostępny i może coś w nim żyć.

Blisko trzy miliardy lat temu ponad jedną trzecią powierzchni Marsa – dziś suchego jak pieprz – pokrywał ocean. Z czasem częściowo „schował się” pod powierzchnią planety (m.in. pod postacią lodu), a częściowo wyparował i uciekł w kosmos, razem z marsjańską atmosferą.

Mars, inaczej niż Ziemia, nie ma bowiem globalnego pola magnetycznego, które chroniłoby go przed tzw. wiatrem słonecznym (rozpędzonymi jonami pochodzącymi ze Słońca). Według dominującej hipotezy wiatr słoneczny z czasem zwił więc atmosferę naszego sąsiada. Dziś jest ona 100 razy cieńsza od tej ziemskiej i nie jest w stanie utrzymać wody w stanie ciekłym na powierzchni Marsa.

Co jakiś czas naukowcy dokonują jednak kolejnych odkryć pozostałości dawnej marsjańskiej hydrosfery. Na początku roku opisywaliśmy odkrycie ogromnych lodowców, które pod grubą warstwą pyłu przetrzymują tyle wody, że gdyby rozlała się ona po powierzchni Czerwonej Planety, pokryłaby ją oceanem o głębokości blisko dwóch metrów.

W najnowszym wydaniu tygodnika „PNAS” naukowcy z USA infor-



mują o jeszcze większym – dosłownie! – odkryciu. Opierając się na wynikach pomiarów sejsmicznych, które w latach 2018–22 z powierzchni Czerwonej Planety wykonał należący do NASA lądownik „InSight”, autorzy publikacji stawiają hipotezę, że na głębokości 11,5–20 km pod powierzchnią Marsa znajduje się nasączona wodą warstwa porowatej skały. Jeśli woda naprawdę tam jest, to w takiej ilości, że gdyby wylała się na powierzchnię planety (i została na niej w stanie ciekłym), mogłaby pokryć ją oceanem o głębokości blisko 1,5 km. A więc dużo większym od tego, który kiedyś pokrywał północną półkulę Marsa.

Prawdopodobny marsjański akwen znajduje się jednak zbyt głęboko, byśmy w przewidywalnej przyszłości mogli do niego dotrzeć. Jest jednak możliwe, że coś w nim żyje. Na Ziemi życie – zwykle mikroorganizmy – daje sobie radę w najbardziej ekstremalnych środowiskach. Warunek jego trwania jest jeden: woda w stanie ciekłym. ●

Tomasz Ulanowski

W poniedziałek w „Dużym Formacie”

Jestem gejem,
a to jest mój Kościół

Walczę, żeby móc zawrzeć związek z moim partnerem w moim Kościele i w moim państwie Z Pawłem Dobrowolskim, dyrektorem teatru im. Stefana Jaracza w Olsztynie, rozmawia Tomasz Kwaśniewski



Rozliczenie rządów PiS

Tusk dopieszcza elektorat

Premier, mówiąc o przekrętach poprzednich rządów, wysłał sygnał do potencjalnych małych świadków koronnych.

Wielowieyska



Szef rządu zapowiedział w zeszłym tygodniu na konferencji prasowej walkę z „układem zamkniętym” zorganizowanym przez PiS. Minister finansów Andrzej Domański, szef służb minister Tomasz Siemoniak oraz minister sprawiedliwości Adam Bodnar podpisali porozumienie w sprawie wykrywania nadużyć poprzedniego rządu. Chodzi o ujawnienie przekrętów i patologii oraz odzyskiwanie mienia skarbu państwa.

Od lutego 200 kontrolerów Krajowej Administracji Skarbowej prowadzi postępowania w 90 podmiotach podlegających 17 resortom.

Nadużycia mogą sięgać – zdaniem premiera – 100 mld zł. Kwota udokumentowanych nieprawidłowości to 3,2 mld zł. Kolejne zawiadomienia będą dotyczyć 5 mld zł. Prokuratura otrzymała 149 zawiadomień, postawiła zarzuty 62 osobom.

– To jest pierwszy raz w historii Polski, nie tylko po 1989 roku, żeby funkcjonariusze władzy, którzy musieli ją oddać wskutek wyborów, byli tak skutecznie rozliczani – stwierdził premier. I dodał: – W niektórych przypadkach nasze służby podjęły działania na rzecz wyegzekwowania tych pieniędzy także od osób fizycznych, członków zarządów. Na razie zabezpieczono 112 mln zł z kont powiązanych z firmą Red Is Bad, która sprzedawała KPRM flagi i od której rządowa Agencja Rezerw Strategicznych kupowała po zawyżonej cenie agregaty prądotwórcze.

Tusk, mówiąc o rodzajach patologii za czasów PiS, wymienił m.in.: wykorzystywanie publicznych środków na kampanię poza komitetem wyborczym, szastanie pieniędzmi na prywatne zachcianki (wizyty w klubach nocnych), pompowanie finansowe organizacji związanych z PiS, fikcyjne zatrudnienia w urzędach i spółkach.

Omawiając aferę szefa Rządowego Centrum Legislacji Krzysztofa Szczuckiego, powiedział coś interesującego. Szczucki zatrudnił tam ludzi, którzy udawali urzędników, a w rzeczywistości prowadzili jego kampanię. Wprawdzie skasowali e-maile w komputerach, ale zapomnieli, że w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów i w resortach system robi ich kopie.

– Wstydziłbym się, gdybym miał przeczytać tę wymianę urzędników w rodzaju „kup połówkę dla tego gościa, który wywiesza baner dla naszego kandydata”. Tam są dziesiątki i setki tego typu informacji – mówił premier.

Tym samym wysłał sygnał do potencjalnych małych świadków koronnych: nie liczcie, że wasze maile zostały skasowane, lepiej zgłoście się do prokuratury.

Premier wymienił też wydatki na dwie fundacje: Wolność i Demokracja (szefa KPRM z czasów Mateusza Morawieckiego Michała Dworczyka) i Fundację Pomocy Polakom na Wschodzie. W latach 2020-23 otrzymały one w sumie 191 mln zł dotacji.

Mamy tu do czynienia z konfliktem interesów: z jednej strony KPRM i jej szef Dworczyk, z drugiej – fundacja, którą tworzył. Formalnie już go w niej nie ma, ale jego związki z nią są oczywiste. Ciekawe, jak będzie wyglądało rozliczenie tej sprawy, bo trudno będzie jednak przełożyć tę sytuację na zarzuty prawne.

Poza tym obie te fundacje prowadziły pożyteczną działalność i nie można ich wrzucać do jednego worka z fundacjami ziobrystów. Nie wiemy, czy doszło w nich do nadużyć.

Choć wiadomo, że fundacja Wolność i Demokracja wzięła udział w programie „willa plus” b. szefa MEN Przemysława Czarńka i dostała pieniądze na zakup willi na Żoliborzu, a potem postanowiła kupić ją na Saskiej Kępie.

Czy zadaniem fundacji jest realizacja celów statutowych, czy zakupy drogich nieruchomości w Warszawie? Czy nie był to wstęp do uwłaszczenia się na majątku państwowym? Na siedzibę mogła wybrać skromniejszą lokalizację, a zaoszczędzone pieniądze wydać na działania statutowe.

Konferencja Tuska była kontrofensywą wobec ostatnich niepowodzeń Koalicji 15 Października, m.in. w porażce w sprawie aresztu dla Marcina Romanowskiego. Miała tchnąć nadzieję w twardy antypisowski elektorat, który zaczynał się obawiać, że rozliczenia się rozlażą.

Szczególnie w końcówce rządów PiS dochodziło do rozkradania pieniędzy na niewiarygodną skalę. Przyznawał to nawet b. szef MSWiA Mariusz Kamiński, tłumacząc to kłopotami z utrzymaniem większości w Sejmie. Prawdą jest, że CBA działania w sprawie Red is Bad podjęło jeszcze w czasach PiS. Ale nie można wykluczyć, że był to efekt walk frakcji w partii. Kamiński chciał pogrążyć ludzi Morawieckiego.

Antypisowski elektorat domaga się zatrzymań głośnych PiS-owskich nazwisk. Tymczasem w niektórych przypadkach chodzi o zwykłych gangsterów. Żerowali na publicznym majątku za przyzwoleniem PiS, wykorzystując chaos, jaki zapanował w instytucjach za rządów prawicy. Tak było w Narodowym Centrum Badań i Rozwoju, gdzie dochodziło do gigantycznych kradzieży. Kaczyński w niektórych przypadkach nad tym nie panował, w innych na to przyzwalał, licząc, że dzięki temu utrzyma władzę i posłuszeństwo w swoim obozie.

Podczas konferencji Tuska i jego trzech ministrów przypominały mi się słowa Bartłomieja Sienkiewicza z PO z rozmowy z b. prezesem NBP Mar-

kiem Belką, nagranej przez ludzi Marka Falenty.

„Moje pierwsze doświadczenie jest banalne. Państwo polskie istnieje teoretycznie. Praktycznie nie istnieje, dlatego że działa poszczególnymi swoimi fragmentami, nie rozumiejąc, że państwo jest całością. Tam, gdzie państwo działa jako całość, ma zdumiewającą skuteczność. Tylko jakoś nikt nie chce korzystać z tej... (...) Jak się ją [współpracę między państwowymi instytucjami] wymusza różnymi gestami, takimi, smakimi, to się okazuje, że można dostać jakieś przyzwoite narzędzia” – mówił Sienkiewicz.

Dotyczyło to sytuacji, w której jeden przedsiębiorca unikał odpowiedzialności, bo instytucje nie potrafiły połączyć sił. Słowa Sienkiewicza to motto działań obecnej ekipy.

Jednak, słuchając konferencji prasowej premiera, nie było jasne, skąd wziął te 100 mld zł. W Polsce minister Domański precyzował, że taka suma jest „badana”. To już brzmi bardziej wiarygodnie.

Konferencja Tuska była kontrofensywą wobec ostatnich niepowodzeń Koalicji 15 Października, miała tchnąć nadzieję w twardy antypisowski elektorat

Natomiast 3,2 mld zł i 5 mld zł to kwoty realne. Przypomnijmy, że w błoto wyrzucono co najmniej 1,3 mld zł na elektrownię w Ostrołęce, a kolejne 1,5 mld zł stracili ludzie b. prezesa PKN Orlen Daniela Obajtka, próbując kupić ropę z Wenezueli. Lista takich dokonań jest długa.

Symptomatyczna jest reakcja portalu wPolityce.pl na konferencję Tuska.

„Tylko ktoś mocno stuknięty może twierdzić, że jakakolwiek demokratyczna władza może »ukraść« 100 mld zł” – napisał niemożliwy PR-owiec PiS Stanisław Janecki.

Tymczasem w 2016 roku premier Beata Szydło mówiła: „Polacy przez rządy PO i PSL stracili około 340 mld zł”, razem z późniejszym premierem Morawieckim powtarzała, że „wystarczy nie kraść”.

Janecki nie mówił wtedy, że Szydło jest „stuknięta”.

Kluczowe w rozliczeniach zapowiedzianych przez Tuska będą efekty: ile pieniędzy uda się odzyskać, ile osób stanie przed sądem, ile zostanie skazanych. Dowiemy się tego po kilku latach.

Przy okazji warto sprawdzić, co zostało z rozliczeń, które w 2016 roku zapowiadała premier Szydło. Było wystarczająco dużo czasu, by winnych wykryć i ukarać.

Szefujący wtedy resortowi skarbu Dawid Jackiewicz mówił o niego-

spodarności i braku szacunku dla publicznego grosza w państwowych spółkach. Opowiedział historię mercedesa, którego miał zażądać prezes jednej z nich. Okazało się, że to kilkuletnie auto niższej klasy kupione z drugiej ręki.

Plomienna mowa Jackiewicza podobala się Jarosławowi Kaczyńskiemu. Minister walczył wtedy o pozostanie na stanowisku, więc chciał błysnąć przed prezesem. Wymienił kilka konkretnych spraw kwalifikujących się do prokuratury. Chodziło o prywatyzację spółek: Meble „Emilia”, Kopalnia Węgla Brunatnego „Adamów” SA, Zakłady Górniczo-Hutnicze „Bolesław” oraz Ciech. Co o nich wiemy dziś?

Postępowanie w sprawie Emilii zostało umorzone przed ubiegłorocznymi wyborami parlamentarnymi. O Adamowie i Bolesławie słuch zaginął. Jeśli chodzi o Adamów, to PiS chciał trzymać w szachu Zygmunta Solorza, który tę kopalnię kupił.

Ciech został rzekomo sprzedany za bezcen. Od siedmiu lat b. wiceminister skarbu, doradcy i urzędnicy są grillowani przez prokuraturę, ale nie powstał nawet akt oskarżenia.

Tyle zostało z mowy Jackiewicza.

Zresztą media szybko się zorientowały, że występ premier Szydło i jej ministrów to hucpa. Już w 2018 roku portal Gazeta.pl sprawdził efekty audytu rządów PO-PSL. Dziennikarzom odpowiedziały nieliczne ministerstwa, ale głównie odsyłały do Prokuratury Krajowej, a ta z powrotem do ministerstw.

Śledztwo w sprawie PKP Cargo nie przyniosło żadnych rezultatów. Rzutem na taśmę, gdy obecny rząd rozpoczął już urzędowanie, ziobryści sklecieli akt oskarżenia. Był to jednak raczej rodzaj demonstracji, bo przez tyle lat nie byli w stanie tego zrobić.

PiS wciąż epatuje nazwiskami oskarżonych o korupcję Sławomira Nowaka i Włodzimierza Karpińskiego. Tyle że sprawa pierwszego dotyczy nie rządów Tuska, lecz pracy w Ukrainie i wciąż jest w sądzie. A drugi nie oczekiwał się aktu oskarżenia, a rzecz dotyczyła ostatnich lat.

I jeszcze sprawa senatora KO Stanisława Gawłowskiego, która też jest w sądzie. Ludzie oskarżający go osłabli w zapale i zmieniają zeznania, więc nie wiadomo, jak ta sprawa się skończy. Zresztą jej bohaterowie zostali aresztowani już za czasów poprzednich rządów PO, a zaczęli obciążać Gawłowskiego, dopiero jak PiS przejął władzę. Dziś twierdzą, że stosowano wobec nich areszt wydobywczy.

Okazuje się, że ekipa PO-PSL z lat 2007-15 to szczyt uczciwości w porównaniu z PiS. A zaświadczył o tym... sam PiS, nie potrafiąc nikogo pociągnąć do odpowiedzialności.

Teraz czekamy na efekty rozliczeń prowadzonych przez nowy rząd. Nie ma wątpliwości, że w niczym nie będą przypominały żenujących występów Szydło i jej ministrów z 2016 roku, bo konkretnych dowodów jest bardzo dużo. ●

Dominika Wielowieyska

Zwolniłem wszystkich propagandystów

Od ojca kolegi mojego syna usłyszałem: „Dzięki tobie odzyskałem rodziców. Odlączyłeś ich od trutki”.

Z **TOMASZEM SYGUTEM**, DYREKTOREM
GENERALNYM TVP,
ROZMAWIA **AGNIESZKA KUBLIK**

AGNIESZKA KUBLIK: Ile Telewizji Polskiej winny jest Maciej Świrski, szef Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji?

TOMASZ SYGUT: Na ten moment 198,4 mln zł. Cały abonament przewidziany dla TVP na ten rok to kwota 316 mln zł. Krajowa Rada powinna przekazywać nam te pieniądze sukcesywnie w uzgodnionych kwotach. Niestety, pan Świrski blokuje te pieniądze i łamie prawo.

Jaka to część budżetu TVP?

– W Karcie powinności na ten rok zapisano dla TVP 2,680 mld zł rekompensaty z tytułu utraconych wpływów abonamentowych. Prezydent Andrzej Duda, wetując w styczniu ustawę o kołobudzetową, pozbawił tych środków Telewizję Polską i pracujących w niej oraz dla niej twórców. Do tego dochodzi wspomniane 316 mln zł z abonamentu plus środki z reklamy – ok. 1 mld zł.

Weszliśmy do firmy z rocznymi kosztami ustawionymi na poziomie blisko 4 mld zł. I na dzień dobry dowiedzieliśmy się, że 3 mld nie mamy. W dodatku „w spadku” dostaliśmy 550 mln obligacji, które w momencie postawienia spółki w stan likwidacji stały się wymagalne. Dzisiaj żyjemy z reklamą i środków, które na realizację misji publicznej przekazuje nam Ministerstwo Kultury. To są jednak znacznie mniejsze pieniądze.

To musi pan ciąć.

– Muszę. Staram się robić to tak, żeby nie ucierpieć ludzi i program. Tniemy te obszary, których nie widać, np. wydatki na patologię, która w firmie przez ostatnie osiem lat funkcjonowała i która – mówię to z pełną odpowiedzialnością – została stworzona przez Jacka Kurskiego i jego ludzi. Chodzi o umowy cywilnoprawne dla osób pracujących na etatach. Na przykład dla Jarosława Olechowskiego, który jako szef Telewizyjnej Agencji Informacyjnej zarabiał krocie na dodatkowych umowach cywilnoprawnych. Byłem szefem TAI i w życiu nie przyszłoby mi do głowy, że mogę dorabiać w nadzorowanej przez siebie jednostce. Wykrył to NIK...

Kontrolerzy ustalili, że Olechowski przez trzy lata zarobił w sumie 3,5 mln zł, był najhojniej wynagradzany przez Kurskiego.

– W sumie przez te wszystkie lata zainkasował ok. 7 mln. Moim zdaniem to działanie bezprawne albo na granicy prawa. Dzięki ograniczeniu tylko tej patologii oszczędzamy rocznie 35 mln zł!

Powołaliśmy specjalną komisję, która opiniuje każdy wniosek o wyrażeniu zgody na zawarcie dodatkowej umowy cywilnoprawnej. W tej chwili takie umowy opiewają na kwotę 300 tys. zł i dotyczą

dodatkowych umów dla pracowników, którzy w nocy pełnią dyżury inspektorów emisji.

Jacek Kurski też miał dwie umowy?

– Nie, pracował na kontrakcie. Miał wynagrodzenie stałe i zmienne.

Najwięcej zarobił w 2020 r. – 1 129 286 zł, w tym 739 835 zł premii.

– Zarabiał bardzo dobrze, ale to nie wynagrodzenie było problemem prezesury Kurskiego, tylko to, co z tej telewizji uczynił. Zresztą asystent Kurskiego z Solidarnej Polski, człowiek bez matury, który został w TVP ważnym dyrektorem, rocznie zarabiał więcej od swojego prezesa. Przez te wszystkie lata przytulił około 5 mln zł. W 2022 r. ponad 1 mln 100 tys. zł. Jak niedawno odkryliśmy, nadzorował nawet małe formy internetowe. Oczywiście na dodatkowej umowie... I niech mnie pani nie pyta, na czym ten nadzór polegał.

Prowadzący „19.30” zarabiają dużo mniej niż Michał Adamczyk czy Danuta Holeccka?

– Tego nie da się w żaden sposób porównać. W przypadku tych dwoje mówimy o horrendalnych pieniądzach. Pan Adamczyk w ostatnim roku zarobił ponad 1,5 mln zł. Najwyższa pensja w redakcji „19.30” jest na poziomie 35 tys. zł brutto. Więc ten internetowy spin o gigantycznej pensji Marka Czyża jest zwykłą bzdurą i kłamstwem.

Pan zarabia tu najwięcej?

– Nie! Kiedy przyszedłem do TVP, zastałem kierowników produkcji, którzy zarabiali po 150 tys. zł miesięcznie. Rekordzista wyciągnął w grudniu prawie 220 tys. zł. Dziś takiej patologii nie ma. Skoro więc pyta pani, gdzie tniemy – to na samych pensjach kierowników produkcji zaoszczędzimy rocznie blisko 10 mln zł. A przecież dalej zarabiają bardzo dobrze.

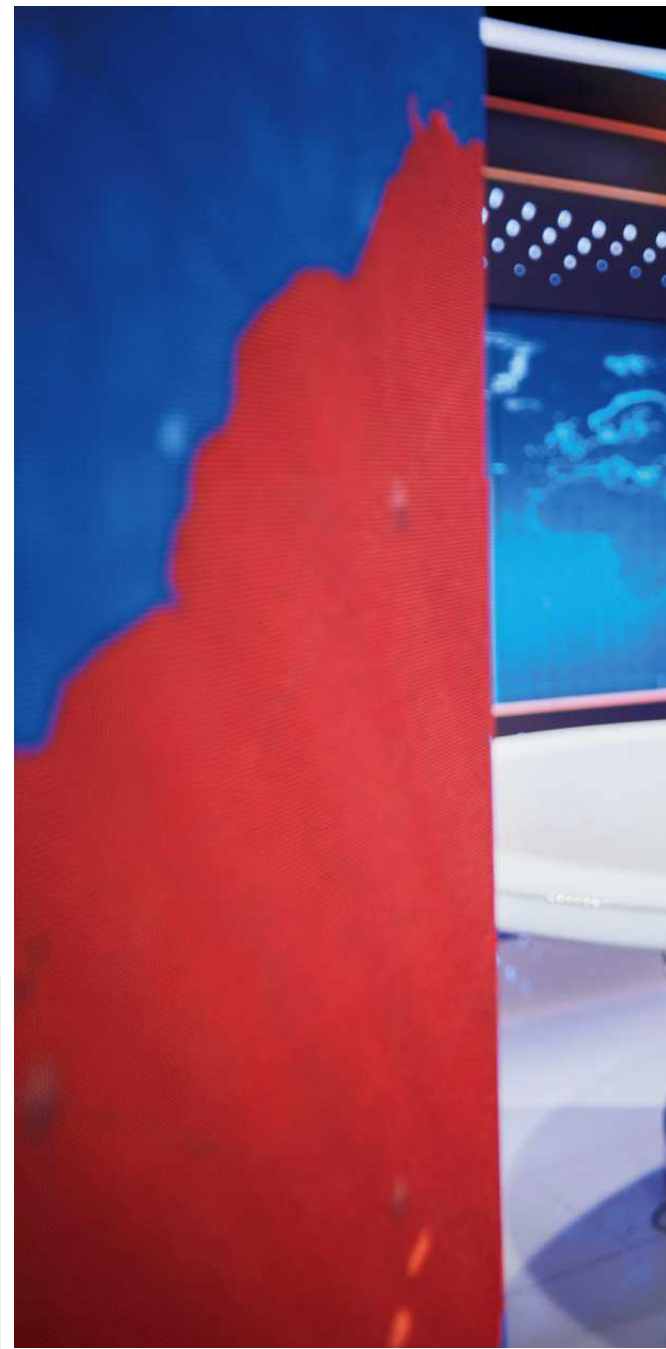
Za co zarobił te 220 tys. zł?

– Za produkcję programów... A mówiąc poważnie, nie ma szans, aby w normalnym trybie wypracować taką kwotę. Ileś produkcji zrobił, do innych musiał zastać dopisany. Rozmawiamy z „Solidarnością”, reprezentatywnym związkiem zawodowym, aby honoraria tej grupy zawodowej zamienić na stałe pakiety, tak jak to jest w przypadku producentów. Myślę, że dojdziemy do porozumienia. Zresztą relacje z „Solidarnością” są partnerskie i bardzo sobie to cenimy. Wymowny był list przewodniczącego związku do szefa KRiRiT wzywający do przekazania środków z abonamentu, podkreślający naszą determinację w odbudowywaniu Telewizji Polskiej i walce z patologiami.

To ile pan zarabia?

– 50 tys. zł brutto. Nie mam żadnego dodatkowego wynagrodzenia zmiennego ani premii.

Żadnych?



– Żadnych. Nie wziąłem i nie wezmę dodatkowej złotówki. To bardzo godna pensja, choć tak jak wspomniałem, wiele osób w firmie zarabia lepiej.

Na początku roku, gdy Świrski przechwycił wasze pieniądze z abonamentu, płaciliście tylko za faktury do 25 tys. zł.

– Tak, ale to dotyczyło kontrahentów zewnętrznych. Wynagrodzenia pracowników i współpracowników są priorytetem. Robimy wszystko, aby wpływały na konto na czas. Bez nich nasza firma stanie.

Teraz już nie ma takiego ograniczenia?

– Nie ma. Nie znaczy to, że nie mamy zobowiązań – są, i to spore. W tej chwili na poziomie 236 mln zł. Kontrahenci zewnętrzni, producenci, ZAiKS, ZASP, STOART, ZPAV, składki do organizacji międzynarodowych jak EBU. Pieniądze dla TVP to nie tylko środki na pensje dla pracowników i współpracowników. To całe środowisko wokół telewizji, od aktorów poczynając, na kompozytorach kończąc. Czekamy na kolejną dotację z Ministerstwa Kultury, wtedy te zobowiązania uregulujemy. I znowu będziemy się zadłużali...

Na szczęście wpływy z reklamy są wyższe od zakładanych. Jednak to nie jest normalne, by publiczny nadawca utrzymywał się z komercyjnych przychodów. W tym kontekście widać, jak szkodliwe jest zachowanie pana Świrskiego. Palcem nie kiwnął, kiedy ta PiS-owska telewizja szczuła na ludzi, kiedy NIK wskazywał na patologię. Przeciwnie – jeszcze w ubiegłym roku, przed wyborami parlamentarnymi, pisał do ministra kultury o zabezpieczenie dodatkowych środków dla nadawców publicznych w kwocie nie mniejszej niż 3 mld zł. Podkreślał, że ta kwota „pozwoliłaby mediom publicznym prawidłowo realizować misję publiczną”. Co się od tego czasu zmieniło? Przecież to nie są moje pieniądze!

Jego też nie.

– Ale jeszcze większym nieszczęściem dla mediów publicznych, bo przecież w tej samej sytuacji jest Polskie Radio, było weto prezydenta Andrzeja Dudy. Ta decyzja oznaczała de facto likwidację mediów publicznych. Wie pani, co jest paradoksem tej sytuacji? Kilka dni temu otrzymaliśmy pismo z Kan-

AGNIESZKA KUBLIK

.....





FOT. MATEUSZ SAWARCEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Na Woronicza wiele osób wprost mówiło mi, że mijając Przemysława Babiara na korytarzach, czuje się, powiedzmy delikatnie, niekomfortowo

celarii Prezydenta z prośbą o transmisję Ceremoniału Dożynek Prezydenckich. Pan dyrektor z kancelarii pisze o misji telewizji publicznej, o edukacji, promocji polskiego dorobku kulturalnego. Piękne i prawdziwe słowa. Gdybym był złośliwy, to zapytałbym, dlaczego prezydent nie wziął tego wszystkiego pod uwagę, gdy podejmował decyzję o zawetowaniu środków dla TVP. Pieniądzy na realizację misji właśnie...

Uważa pana za nielegalnego szefa telewizji.

– A jednocześnie w oficjalnej korespondencji do „dyrektora generalnego” minister Marcin Mastalek, szef gabinetu prezydenta, prosi o wyemitowanie jednego czy drugiego orędzia. Które oczywiście emitujemy. Bez słowa komentarza. Relację z Dożynek Prezydenckich też zrobimy. Na miarę naszych ograniczonych możliwości finansowych. Jestem przekonany, że zarówno Andrzej Duda, jak i jego otoczenie dostrzegają, że TVP traktuje prezydenta z należytym dla tego urzędu szacunkiem. Czego o telewizji Kurskiego nie można było powiedzieć. Pozostawienie TVP bez środków ma jeszcze jedną konsekwencję w postaci odsetek, które musimy zapłacić za nieterminową realizację zobowiązań. Głównie podjętych przez poprzedników. To ponad 50 mln zł. Wyrzucone w błoto...

Gdzie jeszcze tniecie?

– W samej strukturze firmy. Zlikwidowaliśmy 17 stanowisk dyrektorskich, co w skali roku dało 5 mln zł oszczędności. Zmniejszenie liczby kierowników to kolejne oszczędności – ok. 3,5 mln zł. Likwidacja stanowisk doradców zarządu przyniesie następne 2 mln zł rocznie. No i nie ma już słynnego wydzia-

łu bezpieczeństwa korporacyjnego, który zajmował się głównie ochroną Kurskiego. Dziesięć etatów, w tym kierownik. Zaoszczędziliśmy 1,5 mln.

Ale doradców pan ma?

– Mam dwóch konsultantów: Krzysztofa Lufta i Jana Ordyńskiego. Do niedawna był w tym gronie Sławomir Rogowski, od kilkunastu dni wiceminister kultury. Cała trójka zarabiała jednak w sumie mniej niż jeden doradca Kurskiego.

Może gdyby Ministerstwo Kultury przekazywało transze regularnie, płacilibyście na czas?

– Regularne finansowanie ułatwiłoby nam oczywiście zarządzanie firmą. Zdaję sobie jednak sprawę z tego, że po załamaniu dotychczasowego modelu finansowania w postaci rekompensaty i abonamentu, właściciel i ustawodawca muszą znaleźć nowy model. Zapewne pojawi się wraz z ustawą. Do tego czasu musimy sobie radzić. Bywa trudno. Pamiętam dramatyczne rozmowy z UEF-ą na temat przesunięcia terminu płatności za licencję na piłkarskie Euro i widmo jej utraty... Albo telefon na kilka godzin przed transmisją meczu Walia – Polska, decydującego o wyjeździe naszej reprezentacji do Niemiec, z informacją, że jak nie zapłacimy faktury, to tej transmisji nie będzie. To nie jest komfortowa sytuacja, kiedy ktoś wchodzi ci na konto, kiedy niemal codziennie przepraszasz kogoś za opóźnienia w płatnościach. Ale wie pani, co jest budujące? Reakcja kontrahentów i całego środowiska związanego z telewizją publiczną – cierpliwość i pełne zrozumienie: wiemy, że nie jest wam łatwo. Dostrzegamy zmiany i cieszymy się, że wraca do TVP nor-

malność. Że możemy w tej firmie albo dla tej firmy bez wstydu pracować.

Jedna z gwiazd, którą pan sprowadził, ma autorski program i zawsze dostaje pieniądze po terminie, musi się upominać. „Czuje się jak wolontariusz w służbie nowej władzy” – komentuje.

– Myślę, że ta gwiazda doskonale wie, kto odpowiada za sytuację finansową mediów publicznych i wszystkie problemy, które są jej konsekwencją.

Chciałby pan się spotkać ze Świrskim?

– Nie. Trudno rozmawiać z kimś, kto sam o sobie mówi, że jest „talibem PiS-u”. Chciałbym się spotkać z takim przewodniczącym, któremu na sercu leży przyszłość mediów publicznych, dziennikarzy i twórców, a nie jednej partii. Telewizja Polska jest w stanie likwidacji i głębokiej reformy. Zrobię wszystko, aby wyszła z tego zakrętu, ale do tego potrzebny jest normalny dialog z regulatorem. Chciałoby w sprawie nowej Karty powinności, która określi zadania i kształt TVP na najbliższe lata. Tego dialogu nie ma.

Pan Świrski zasypuje nas abstrakcyjnymi pismami i kosztem instytucji oraz ludzi telewizji prowadzi jakąś grę. Nasz kierownik, który wozi odpowiedzi do Krajowej Rady, obliczył, że tylko w tym roku był tam 100 razy. Tak wygląda ten „dialog”. To rodzaj nękania.

Wracając więc do pani pytania: tak, chciałbym rozmawiać z prawdziwym przewodniczącym KRRiT, ale dziś takiego nie ma.

Na co pana dzisiaj nie stać z powodu działań panów Dudy i Świrskiego?

– W czasie rządów PiS do telewizji wpłynęło w sumie kilkanaście miliardów złotych. Nie milionów, tylko miliardów! Śladów tych pieniędzy tutaj nie widać. Powstała jedna hala zdjęciowa. Nie ma szaf pełnych gotowych projektów filmowych czy serialowych. Są te same brudne ściany i korytarze. Przepalono miliardy, a praktycznie złotych nie zainwestowano w technologię na Woronicza, w zespoły emisyjne, w wozy transmisyjne, kamery czy flotę samochodową (do wymiany kwalifikuje się 140 pojazdów), a także w sprzęt, od światła czy ścian diodowych poczynając, który wciąż trzeba wynajmować od firm zewnętrznych. Niewiele inwestowano, za to rozpuszczono rynek.

Czyli?

– Nie liczono się z kasą. Odcinek serialu za ponad 4 mln zł? Proszę bardzo. Ja dzisiaj płacę za to cenę, bo odsyłam takich producentów z kwitkiem, a potem czytam, że TVP jest firmą osiedlową, a Sygut do niczego się nie nadaje. Jeśli więc pyta mnie pani, na co mnie nie stać, to nie stać mnie na rozrzutność. Nie stać mnie na horrendalnie drogie projekty, na zakup licencji sportowej przy wskazywanym przez kontroling zagrożeniu niedoboru środków na prawie 200 mln zł, na pośrednictwo firmy, która w latach 2020-23 na organizacji koncertów dla TVP zarobiła ponad 55 mln zł i po odejściu Kurskiego z TVP zniknęła.

Właśnie wspólnie z Polskim Radiem objeżdżamy Polskę – osiem wakacyjnych weekendów i osiem miejscowości: Zakopane, Elbląg, Białystok, Tarnów, Podębice, Park Śląski, Racibórz oraz Grudziądz. Relacje od rana, a wieczorem koncert. Tłumy ludzi, świetna atmosfera. I gwiazdy na scenie, od Dawida Kwiatkowskiego, Michała Szpaka, Dody, Sarsy, Patrycji Markowskiej czy Tatiany Okupnik po zespoły takie jak Piersi, Big Cyc, Kombi, Lady Pank, Wilki, Golden Life czy Zakopower. Osiem lokalizacji, osiem scen, 80 gwiazd i 20 procent mniejsze koszty od jednego sylwestera Kurskiego...

...który kosztował?

– Nie mogę tego ujawnić, ale mogę pokazać proporcje. I rozumiem, że sylwester rządzi się swoimi prawami, że stawki artystów są wyższe itd., ale to był jednak odlot...

Gdyby miał pan pieniądze z abonamentu i rekompensatę, to jak zaplanowałby pan telewizję?

– Po pierwsze, płaciłbym na czas. Zwłaszcza kontrahentom. Po drugie, w agencjach, głównie w filmowej, pojawiły się genialne i misyjne projekty. A wszystko w związku z tym, że po grudniowej zmianie w TVP na Woronicza ponownie zawitali znakomici producenci, reżyserzy czy scenarzyści. Przez osiem lat omijali TVP szerokim łukiem. Teraz głowimy się, jak to wszystko racjonalnie zaplanować. Gdybym miał pieniądze, więcej projektów zostałoby skierowanych do produkcji, ale mu-

szyć przyznać, że ta trudna sytuacja nauczyła mnie i kadrę menedżerską szukania sposobów na to, jak przy ograniczonych środkach sobie radzić. Rozmawiamy z rynkiem, platformami streamingowymi, wchodzimy w koprodukcje. Udrożniliśmy kontakty z EBU, rozmawiamy ze szkołami wyższymi. Za chwilę we współpracy z SHG ruszymy z cyklem debat z udziałem studentów, lada moment odpalimy „Ziemie obiecane”, wielki projekt dla studentów szkół filmowych, którzy zadebiutują u nas ze swoimi etudami, a zwycięzcy sfinansujemy pełnometrażowy debiut. Jeszcze w tym roku ruszy projekt pokazujący aktywność społeczeństwa obywatelskiego. Przede wszystkim twardo negocjujemy. Tylko dzięki takiej polityce udało nam się m.in. zakupić sublicencję do polskiej ekstraklasy. Liczę na to, że niebawem do TVP wróci również Liga Mistrzów. Będziemy mieli w efekcie fenomenalną ofertę sportową. To dla mnie misja telewizji publicznej i element walki z wykluczeniem. Nie każdego stać na zakup kilku płatnych platform sportowych.

A wracając do pani pytania, gdybyśmy mieli pieniądze z abonamentu i rekompensaty, zaplanowalibyśmy również inwestycje w technologie.

Wedle projektu ustawy medialnej autorstwa Ministerstwa Kultury TVP i Polskie Radio miałyby dostawać 0,09 proc. PKB, czyli około 3 mld zł. Wystarczyłoby?

– Na pytanie, ile pieniędzy potrzeba TVP, jest tylko jedna dobra odpowiedź: to zależy od tego, jaka ona ma być. Obecna jest rozbuchana do absurdu. Wie pani, ile mamy kanałów?

23.

– Mało kto jest w stanie je wszystkie nawet wymienić. To kompletnie bez sensu.

Mają śladową oglądalność.

– Nie wszystkie, ale chodzi nie o oglądalność, lecz o to, że w większości pokazują to samo. Zgrywają ten sam, stary kontent. Produkcji własnej w tych antenach było tyle, co kot napłakał. TVP powinna się skoncentrować na produkcji wartościowej oferty dla Jedynki, Dwójki, TVP Info, regionalnej TVP 3 oraz misyjnych anten tematycznych TVP Kultura, TVP ABC oraz TVP Sport. W propozycji nowej Karty powinności zaproponowaliśmy również połączenie trzech misyjnych kanałów – Historii, Nauki i Dokumentu w jeden porządny kanał TVP Wiedza.

Jest to racjonalne, bo lepiej mieć jeden porządny kanał od trzech powtórkowych. W efekcie misja TVP mogłaby być realizowana przez osiem kanałów. Do tego dwa kanały zagraniczne finansowane przez MSZ. Pracujemy właśnie z resortem nad ich nowym modelem. Oczywiście ta oferta byłaby uzupełniona o kanały bazujące na fenomenalnych archiwach telewizji – jak TVP Seriale, Rozrywka czy HD – takie the best of. To projekty, które nie tylko same się finansują, ale też są źródłem niemałych przychodów dla spółki. Mamy również pomysł na atrakcyjne kanały fast, które chcielibyśmy uruchomić.

Wejście w internet jest koniecznością. To nieprawda, że telewizja się kończy. Zmieni się tylko model jej dystrybucji i konsumpcji.

Niestety, tak głęboka reforma wymaga zmian ustawowych, chociażby w przypadku TVP Polonia i 16 oddziałów regionalnych, a przede wszystkim dialogu i zgody regulatora. Więc jeśli ktoś pyta, dlaczego tego wszystkiego nie robimy, odpowiedź jest prosta: bo nie możemy.

Jaka to byłaby oszczędność?

– Duża. Sam koszt dystrybucji naziemnej na dwóch multipleksach to razem z opłatami rezerwacyjnymi blisko 220 mln rocznie. Ale zmniejszenie liczby kanałów to również oszczędności na zespołach emisyjnych i ich obsłudze, a przede wszystkim ogromnych na kosztach stałych.

A wracając do ustawy i pieniędzy...

– 0,09 proc. PKB oznaczałoby dotację w wysokości 3 mld zł, z czego dla TVP 2,465 mld zł.

I 1 mld z reklam...

– Tak. I to dla TVP, o której mówię wyżej, w zupełności wystarczy. Problem w tym, że założenia do ustawy zakładają znaczne ograniczenie emisji reklam w TVP. To nie jest zły pomysł, niemniej jeśli wpływ z reklam miałyby spaść o połowę, to procentowy wskaźnik założony w tych ministerialnych propozycjach powinien wynosić nie 0,09, ale 0,12 proc. PKB.

Ogromnym problemem tej firmy jest przerost zatrudnienia. Mówię o liczbach globalnych. W spółce na etacie pracuje około 3 tys. osób, ale na umowach cywilnoprawnych, na b2b czy w firmach wieloosobowych z telewizją związanych jest kilkanaście tysięcy osób.

Najlepiej obrazuje to przykład 16 ośrodków regionalnych, gdzie mamy 770 pracowników, ale razem ze współpracownikami jest to prawie 3 tys. osób. To kosmos! Koszty stałe funkcjonowania ośrodków wynoszą ponad 220 mln zł, niemal dwa razy tyle, co środki na program.

Zgodnie z zapisami Karty powinności ośrodki powinny emitować do 7 godzin

„Wiadomości”, a przez dziewięć dni nie było TVP Info. Ile na tym straciliście?

– W związku z bezprawnymi działaniami byłego kierownictwa TAI i blokowaniem budynku przy placu Powstańców TVP nie mogła wykonać świadczeń reklamowych oraz sponsorskich. Straty zostały oszacowane na poziomie 1 mln 330 tys. zł.

Gdyby nie blokowali, zdołalibyście wyprodukować program na żywo?

– Oczywiście! Ta przerwa na pewno miała wpływ na dzisiejsze wyniki TVP Info. Odbudowa tej anteny to największe wyzwanie, przed jakim stoimy. Kierowałem nią do końca 2015 r., a dzisiaj na jej czele stoją ludzie, którzy wówczas byli moimi najbliższymi współpracownikami. Znają się na swojej robocie. W 2015 r. TVP Info było najlepiej oglądanym kanałem informacyjnym w kraju. Niestety, wielu naszych widzów po przyjeździe Kurskiego odeszło do TVN 24.

Dziwi się pan, że odeszli?

– Nie dziwię się. Zrobiłem to samo... Przez osiem lat się przyzwyczaili. Mają swoje ulubione programy, dziennikarzy. Część z tych osób zagląda do nas, ale często słyszę, że logotyp Info przywołuje u nich gorsze wspomnienia. Nazwa również, ale

Dostałem mnóstwo e-maili od osób, które przekonywały, że brzydziły się pracą w telewizji Kurskiego. Strasznie w niej cierpieli. Tylko to czasem było „cierpienie” za sto kilkadziesiąt tysięcy złotych miesięcznie

własnego programu. Nie są w stanie tego robić, więc w pasmach rozłącznych grały...seriale tureckie i te z głównych anten, które z ofertą lokalną nie mają nic wspólnego. Skończyliśmy z tym. Ośrodki muszą się skoncentrować na produkcji lokalnych serwisów informacyjnych, publicystyki oraz obsługi TAI. Do tego nie potrzeba 3 tys. osób. Do końca roku chcemy nie tylko znacznie ograniczyć zatrudnienie, ale też docenić tych, na których te ośrodki stoją – dziennikarzy, realizatorów itd. Bo ich stawki są często uwłaczające. W wielu oddziałach ten proces się już rozpoczął.

Od września ruszy nowa ramówka TVP 3 i nowy układ pasm rozłącznych. Zrezygnowaliśmy w oddziałach z pasm, które generowały koszty, a miały śladową oglądalność. Największym problemem w ośrodkach są koszty stałe i utrzymanie wielkich siedzib. Każdy oddział jest osobną historią. Weźmy jednak Kielce – od lat wynajmujemy pomieszczenia w Kieleckim Centrum Kultury. Warunki do pracy, delikatnie mówiąc, średnie. Koszty spore. Kilka kilometrów dalej wybudowano przepiękną siedzibę dla ośrodka. Prawie 2 tys. m kw. Są biurka, a nawet wieszaki w szafach. Nie ma technologii. Żeby ten ośrodek zmienił się z biurowca w telewizję, potrzeba kilkustu milionów złotych. Stoi pusty i generuje koszty, bo sama ochrona to kilkadziesiąt tysięcy złotych miesięcznie. Udało nam się to znacznie ograniczyć, ale płacić musimy. Nie stać nas dzisiaj na wyposażenie tej siedziby w technologię, ale nawet jak to zrobimy, to co kilkadziesiąt osób docelowo pracujących w ośrodku będzie robiło na 2 tys. m kw.? Absurd goni absurd.

W grudniu zeszłego roku, po zmianie władz spółki, przez jeden dzień nie było

tej nie możemy zmienić bez zgody KRRiT. Z drugiej strony widzowie, którzy oglądali Info przez ostatnie lata, poszli do Republiki...

Dziwi się im pan?

– Żałuję, że nie zostali. Że nie dali nam szansy. Że odrzucili z założenia, nie patrząc na to, co i jak robimy. Wie pani, jaki największy komplement usłyszałem przez te osiem miesięcy? Od ojca kolegi mojego syna: „Dzięki tobie odzyskałem swoich rodziców. Znow mogą z nimi normalnie rozmawiać. Odlączyłeś ich od trutki, która przez osiem lat zatruchiwała im umysł”.

Spadek oglądalności TVP Info jest ogromny – ok. 70 proc. Poszli do Republiki, bo może od tego trującego przekazu są uzależnieni? A może szukają tam potwierdzenia, że przez osiem lat się nie mylili?

– Być może... Musimy robić swoje. Cierpliwie i konsekwentnie. Nie ma innej drogi. To jest budowanie od zera. Potrzeba czasu. We wrześniu zmienimy logotyp i oprawę graficzną. Wejdziemy do pięknego, nowoczesnego studia. To na pewno będzie nowa jakość. Dołączą do nas kolejne znane nazwiska, doskonali dziennikarze: Katarzyna Kasia, Bianka Mikołajewska, Grzegorz Markowski. Razem z Dorotą Wysocką, Justyną Dobrosz-Oracz, Olą Pawlicką, Mariuszem Szczygłem i wieloma innymi będą ciągnąć ten kanał.

Nie żałuje pan, że musieliście się wynieść z placu Powstańców Warszawy?

– Nie, absolutnie.

Przecież tam były świetnie wyposażone studia.

– Ta infrastruktura została przeniesiona w dużej części na Woronicza. Pracowała przy Euro i igrzyskach olimpijskich. Budynek na placu Powstańców jest stary, niski i niefunkcjonalny. Ze względami bezpieczeństwa też nie jest najlepiej. Kilku prezesów próbowało przenieść plac Powstańców na Woronicza, ale nie dali rady. Nam się udało. Zresztą w związku z okupowaniem tego budynku przez posłów PiS nie mieliśmy wyjścia. Udała nam się jeszcze jedna rzecz – po wielu latach redakcja sportowa ma wreszcie nowy newsroom z oknami (śmiech).

Co będzie z budynkiem na placu Powstańców?

– Są tam kanały zagraniczne – World, Belsat i Polonia oraz TVP 3 Warszawa. Docelowo wszyscy powinni zostać przeniesieni na Woronicza, a plac można będzie sprzedać. Podobnie jak wiele innych nieruchomości, chociażby działkę w Zalesiu, którymi dysponuje telewizja, a które generują koszty. Te pieniądze można będzie zainwestować w nowy budynek, a przede wszystkim w technologie. W najbliższych dwóch latach potrzeba co najmniej 200 mln zł na nowe wozy, kamery i zespoły emisyjne. A także na infrastrukturę informatyczną. Bez tego wszystko stanie...

Skąd wziął pan pieniądze na nowe studio TVP Info?

– Z oszczędności. Tylko w pierwszym półroczu, nie zdejmując żadnego programu, a racjonalnie planując wydatki, zaoszczędziliśmy blisko 360 mln zł.

W TVP Info wciąż pracują wydawcy z czasów Kurskiego. Wielu nowym pracownikom i dziennikarzom się to nie podoba. I trudno się dziwić.

– W TVP Info nie ma ani jednej twarzy, która pracowała za czasów Kurskiego. Żadnej, a przecież mówimy o wielkim kanale! I to się stało w zasadzie od pierwszego dnia, kiedy tylko Info ruszyło. Nie ma też żadnego wydawcy zatrudnionego w latach 2015-23. Wydawczyni, o której pani wspomina, to trzy czy cztery osoby pracujące w tej antenie od początku jej powstania.

Tak, pracowały także za Kurskiego. Robiły rzeczy złe i nie zamierzam tego usprawiedliwiać.

Wydawanie serwisów w kanale informacyjnym to orka. Niewiele osób to potrafi. Wciąż szukamy dobrych wydawców i niebawem pojawią się kolejne osoby.

A ci, których nie widać?

– Operatorzy, realizatorzy, montażyści czy kierownicy produkcji to w większości wieloletni pracownicy TVP. Znają tę firmę od podszewki. Wielu ma wąskie kompetencje, których nie ma na rynku. To w sumie kilka tysięcy osób. Jeśli ktoś twierdzi, że wszystkich można w krótkim czasie zastąpić, to nie ma pojęcia, o czym mówi. Albo żółć odebrała mu rozum.

Zwolniliśmy wszystkich propagandystów. W sumie kilkaset osób. Zwolnili-

śmy też ludzie, którzy dawali tej telewizji swoją twarz.

Dostałem mnóstwo e-maili od osób, które przekonywały, że brzydziły się pracą w telewizji Kurskiego, ale przecież nie robiły nic złego. Albo do robienia złych rzeczy zmuszała je sytuacja finansowa. Wielu przekonywało, że strasznie w tej telewizji cierpiało. Sprawdziłem ich zarobki i w niektórych przypadkach było to „cierpienie” za sto kilkadziesiąt tysięcy złotych miesięcznie.

Niedawno ktoś mnie zapytał, dlaczego zwolniliśmy jedną z gwiazd. Co ona takiego zrobiła? No właśnie o to chodzi, że nie zrobiła nic! Nie protestowała, kiedy szczerło na ludzi, nie podniosła głowy, kiedy za przyklejenie pięknego serduszka WOŚP wyrzucano dziennikarzy z pracy, kiedy prowadzono zorganizowaną nagonkę na kolejne grupy społeczne. Nie zrobiła nic, kiedy kolegę wyrzucano z pracy tylko dlatego, że jest homoseksualistą.

Wie pani, jak tu, na Woronicza, nazywano ludzi pracujących przy programach informacyjnych? „Rzeźnicy z placu...”

„19.30” w porównaniu z „Wiadomościami” Kurskiego straciło ok. 30 proc. oglądalności.

– 400 tys. osób w Jedyńce. A „Wiadomości” Kurskiego w porównaniu z 2015 rokiem straciły 1,5 mln. Spadek widowni był nieuchronną konsekwencją tak radykalnych zmian, ale one nie mogły być inne. „Wiadomości” były nie serwisem informacyjnym, tylko propagandową szczujnią, która skrzywdziła wiele osób. Zresztą konsekwencje tego programu TVP odczuwa do dzisiaj. To blisko 10 mln zł, bo tyle wynosi suma roszczeń w sprawach przeciwko telewizji za materiały wyemitowane głównie w „Wiadomościach” w latach 2016-23 z powodztwa osób i instytucji o naruszenie dóbr osobistych.

„19.30” jest zupełnie nowym programem, z nowymi twarzami, ze zbudowanym od zera zespołem reporterów. Jestem z tego programu ogromnie dumny. To bardzo dobrze robiony dziennik. Po przejściu do nowego studia będzie produktem skończonym.

Wierzę, że stanie się najlepiej oglądanym serwisem informacyjnym w kraju. Zresztą, telewizja publiczna nie może być tylko zakładnikiem słupków z oglądalnością, bo wtedy zamiast wymagających programów czy spektakli jak „1989” powinniśmy emitować nieskomplikowaną w odbiorze ofertę.

Stowarzyszenie Demagog oceniło „19.30” – dziennik nie wypadł dobrze.

– Nic nie znaleźli...

Znaleźli. Niepokojące trendy, na przykład pozytywne informacje dla rządu Donalda Tuska, których nie dostrzegła konkurencja („Fakty”, „Wydarzenia”). A także negatywne newsy o rządzącej koalicji wyemitowane przez konkurencję, których nie było w „19.30”.

– Jakże?

Po aresztowaniu Mariusza Kamińskiego i Wąsika u was nie było stanowiska PiS i Kancelarii Prezydenta.

– Pyta pani o rzeczy sprzed ośmiu miesięcy...

No to proszę, oto aktualny raport o tym, ile czasu poświęćcie obozowi władzy – w II kwartale 82 proc., a PiS dostał 13,3 proc.

– Na pewno wpływ na te wyniki ma fakt, że przez długi czas politycy PiS bojkotowali nasze programy. Zaczęli się pojawiać stosunkowo niedawno.

Wracając do raportu Demagoga – dotyczy czasu, kiedy ten program był robiony w spartańskich warunkach i dopiero się kształtował.

Tak, ale to było tuż po obietnicy Marka Czyżą, że teraz będzie to „fotografia

świata i dnia ze wszystkim, co przyniesie”.

– Wie pani, z ogromną pokorą podchodzę do tych raportów i ocen, ale mam wrażenie, że mówimy o detalach. Jak sobie przypomnę, jak wyglądały „Wiadomości”...

Kiepski punkt odniesienia.

– Ale prawdziwy.

Pamiętam, że nie było u was informacji, że Ministerstwo Kultury postawiło spółki medialne w stan likwidacji. Pojawiła się dopiero następnego dnia.

– Nie pamiętam tej sytuacji, ale wiem, że tematowi likwidacji poświęciliśmy i w „19.30”, i w TVP Info wiele miejsca, m.in. prostując liczne manipulacje, że stan likwidacji oznacza koniec „M jak miłość” i wszystkich ukochanych przez Polaków seriali i programów.

Grzegorz Sajór, szef TAI, mówił nam: „Trudno mówić o unikaniu informacji, skoro poświęciliśmy temu tematowi obszerny materiał następnego dnia. W »19.30« nie unikamy żadnych tematów”.

– Bo nie unikamy. Pokazywaliśmy nawet te konferencje Jarosława Kaczyńskiego, w których nas krytykował. Proszę sobie przypomnieć, jak towarzystwo Kurskiego traktowało opozycję w „Wiadomościach” i TVP Info. I jeszcze jedno, ja nie układam szpiglia „19.30”. Jest od tego wydawca, jest szef tej redakcji Paweł Pluska i wspomniany przez panią szef TAI. Wystarczy zerknąć na ujawnioną pocztę ministra Dworczyka i przypomnieć sobie, jak to wyglądało wcześniej...

To jednak pana obciąża zarzut, że cenzuruje się informacje o rządzie Tuska.

– Przecież ta informacja pojawiła się następnego dnia, niczego nie ukrywaliśmy. Zarzut o cenzurze jest absurdalny!

„19.30” to dziennik, dzisiejszy news nie powinien być podawany jutro.

– OK, gdybym wydawał tego dnia „19.30”, to ta informacja znalazłaby się w programie. Jeśli to jest taka straszna wina, to biję się w piersi.

Został pan dyrektorem generalnym TVP, bo taka była decyzja rządu. Może podświadomie dziennikarze czują, że ma obowiązywać taryfa ulgowa dla władzy?

– Do 2015 r. funkcjonował kilkustopniowy model oddzielający politykę od mediów publicznych – Krajowa Rada, rady nadzorcze, zarząd. Może nie był to model idealny, ale przypomnę, że odwołanie prezesa TVP było praktycznie niemożliwe. Niewiele osób pamięta, ale za czasów pierwszych rządów Platformy telewizję zarządzali prezesi niekoniecznie związani ze środowiskiem tej partii.

PiS to wszystko popsuł. Przygotował na kolanie niekonstytucyjną ustawę i za pośrednictwem ministra skarbu przerwał w 2016 r. kadencję legalnie wybranego prezesa Janusza Daszczyńskiego i wprowadził do firmy Kurskiego. Czynnego polityka. Kaczyński mógł go odwołać jednym ruchem. I jednym ruchem powołać. Nie jestem politykiem. Wróciłem do tej firmy po

wielu latach. Wiele lat w niej na różnych stanowiskach pracowałem. Ludzie mnie znali. Nikomu niczego nie narzucam ani nie sugeruję.

Proszę wyobrazić sobie, że mówię Justynie Dobrosz-Oracz, co ma w swoim programie mówić czy robić. Przecież przegryzłaby mi tętnicę (śmiech).

Nie przeczę.

– A naciski? Przy okazji sprawy Przemysława Babiara wiele osób, w tym znanych dziennikarzy, pytało mnie, czy ktoś na mnie naciskał. Pomyślałem sobie, że sami muszą się mierzyć w swoich redakcjach z naciskami, skoro od razu zakładają, że w moim przypadku tak być musiało. Żaden polityk na mnie w sprawie Przemysława Babiara nie naciskał ani nie dzwonił. Żaden!

„Świat bez nieba, narodów, religii – i to jest wizja tego pokoju, który wszystkich ma ogarnąć. To jest wizja komunizmu, niestety” – ten komentarz do „Imagine” Johna Lennona podczas otwarcia igrzysk w Paryżu Babiara wygłosił w piątek wieczorem. Komunikat o jego zawieszeniu opublikowaliście w sobotę przed 15. Co się działo przez tych kilkanaście godzin?

– Dobrze, że pani pyta o tę sprawę, bo narosło wokół niej wiele nieścisłości. To nie jest wcale opowieść o naciskach, bo ich nie było, nie jest to również sprawa interpretacji „Imagine”. Chociaż ten wątek jest ciekawy, ponieważ Lennon faktycznie mówił o komunizmie, ale nadawał tekstowi zupełnie inny sens niż Przemysław Babiara. Podkreślał też, że nie jest komunistą.

Ten utwór od lat używany jest jako swoiste nawoływanie do pokoju na świecie. Od Atlanty jest nieformalnym hymnem igrzysk olimpijskich, odwołuje się do wspólnoty świata zjednoczonego w czasie sportowej rywalizacji. Zostawmy jednak „Imagine”.

W tej historii chodzi przede wszystkim o złamaną umowę. W styczniu 2016 r., kiedy wyprowadzano z gabinetu legalnie wybranego prezesa i wyrzucano wielu świetnych dziennikarzy, Przemysław Babiara stanął do zdjęcia z Kurskim.

To symboliczna fotografia, a dla mnie skaza na jego zawodowym życiorysie. Potem redaktor Jadczał ujawnił jeszcze jeden zawstydzający wątek z odczytaniem przekazu Kurskiego podczas transmisji skoków narciarskich.

Kiedy przyszliśmy na Woronicza, wiele osób wprost mówiło mi, że mijając Przemysława Babiara na korytarzach, czuję się, powiedzmy delikatnie, niekomfortowo. Kuba Kwiatkowski, który stanął na czele redakcji sportowej, też ten temat poruszył. Zdawał sobie sprawę, że to zdjęcie jest tematem rozmów w firmie. Poprosił mnie, aby nie musiał zaczynać swojej pracy od zwolnienia Babiara, który zresztą został przez poprzedników akredytowany na igrzyska olimpijskie. Zapewnił, że porozmawia z nim i poprosi, aby zostawił swoje poglądy w szatni i skoncentrował się na sporcie. Stało się jednak inaczej.

W Polsce wystarczy mała iskra, by wywołać pożar, dlatego tak bardzo zależało mi, aby sport był od tego wolny. Nieste-

ty, nie udało się. Mnóstwo osób, od świata sportu po świat kultury, poczuło się dotkniętych i wyrażało swoje oburzenie, bo – tak jak wspomniałem – jedni widzą w tej piosence Lenina, inni przepełniony miłością hymn o świecie bez wojen. Dlatego postanowiłem zareagować.

Babiara, widząc unijną flagę, stwierdził: „Unia Europejska nie jest reprezentowana jako całość. Wciąż jeszcze narody mają w Europie swoje kraje, oby to jak najdłużej trwało. Ale oczywiście jesteśmy na obszarze Unii Europejskiej”.

– Fundamentalna reguła nakazuje oddzielać informację od subiektywnego komentarza. Kodeks BBC, stacji, którą tak często stawiamy za wzór, mówi wprost: widzowie publicznej stacji nie powinni móc wywnioskować z tego, co mówi dziennikarz, jakie są jego poglądy. Koniec kropka.

Babiara został odwieszony po tym, jak 31 lica Donald Tusk zaczął wierkać na platformie X: „W sumie nie wiadomo, co było głupsze: komentarz pana Babiara czy decyzją jego przełożonych. W obu przypadkach olimpijski poziom”.

– Dwa dni wcześniej zaprosiłem pana Babiara do Warszawy na rozmowę. Może to potwierdzić.

Ale czy już 30 lipca postanowił go pan odwiesić, czy dopiero po ćwierknięciu szefa rządu, który ocenił pana decyzję jako głupią?

– Nie ukrywam, że wpływ na moją decyzję o odwieszeniu Przemysława Babiara miała wypowiedź, a potem moja bezpośrednia rozmowa z Włodzimierzem Szar-

ranowiczem. To komentatorska legenda, człowiek, którego poznałem wiele lat temu i którego ogromnie szanuję. Włodek przekonał mnie, że choć komentarz Babiara był nie na miejscu, to jednak jego odsunięcie całkowicie przykryje igrzyska i medale Polaków.

Żałuje pan, że nie zwolnił Babiara w styczniu?

– Żałuję, że ludzie nie dotrzymują umów.

Pan się teraz bardziej zajmuje budowaniem, likwidowaniem czy rozliczaniem?

– Likwidatorem, osobą reprezentującą spółkę i wpisaną do KRS jest Daniel Gorgosz. Koncentruje się na sprawach finansowych, administracyjnych, ale też restrukturyzacji i rozliczaniu – skierował do prokuratury kilkanaście zawiadomień. I to pewnie nie koniec. Ma też do wypełnienia konkretne zobowiązania, jakie przed likwidatorami wszystkich publicznych spółek medialnych postawił właściciel, czyli walne zgromadzenie.

Agnieszka Romaszewska musiała być zwolniona dyscyplinarnie?

– Tak, ponieważ już po zwolnieniu pojawiła się w firmie i zgłała na zewnętrzne nośniki zawartość komputera wraz z plikami zawierającymi dane wrażliwe. Przepisy w tej sprawie są jednoznaczne. Szanuję Agnieszkę Romaszewską, chociaż w ostatnim czasie atakuje na oślep i obraża nas.

Nikt nigdy nie zamierzał i nie zamierza likwidować Bielsatu. Ani telewizja, ani

MSZ, które tę stację od lat utrzymuje. Bielsat powstał za publiczne pieniądze. W sumie ten projekt kosztował polskiego podatnika blisko 600 mln zł! Kiedy przyszedłem do TVP, jedną z pierwszych i pilnych decyzji było potwierdzenie w MSZ środków zaplanowanych na utrzymanie kanałów zagranicznych w 2024 roku. W tym Bielsatu.

Budżet tej anteny był zaplanowany na 70 mln plus 19 mln środków TVP (emisja i amortyzacja). W sumie blisko 90 mln. Trzy lata wcześniej budżet tej jednostki wynosił 44 mln. MSZ odpisał, że takich środków na kanały zagraniczne nie ma. Jednocześnie poinformowano nas, że Bielsat otrzymał w latach ubiegłych środki na wydzielenie się ze struktur telewizji, do czego nie doszło. Rozpoczęliśmy więc rozmowę o budżecie dostosowanym do finansowych możliwości. Wtedy okazało się, że Bielsat niby jest w telewizji, ale działa na swoich warunkach. Szef technologii nie ma pojęcia o technologii w tej antenie, szef produkcji o sprzęcie, a dyrektor finansowa zna tylko ogólne założenia budżetowe. Nikt nigdy nie był do tego dopuszczony. A wszystkie podejmowane próby były przez dyrektor Romaszewską pacyfikowane. Jak w takiej sytuacji mogliśmy cokolwiek podpisać i wziąć za to odpowiedzialność?!

Zarządziliśmy więc audyt, którego efektem jest zawiadomienie do prokuratury i podjęte śledztwo. Dowiedzieliśmy się m.in., że domenę Bielsatu, utrzymywane z pieniędzy telewizji i podatnika, nie są własnością TVP.

Tylko fundacji Strefa Solidarności, gdzie przewodniczącą rady jest Romaszewska.

– A cały know-how ma prywatna firma zarejestrowana w mieszkaniu, z dostępem do infrastruktury teleinformatycznej TVP, która jest infrastrukturą krytyczną. Audyt wykazał, że zamówienia były składane z naruszeniem obowiązujących w spółce procedur i regulaminów. Przede wszystkim pojawia się wątpliwość, czy wszystkie usługi faktycznie zostały zrealizowane. Chodzi w sumie o ponad 7 mln zł.

Kto zrobił taki przewał?

– Nie wiem. Od wyjaśnienia tego jest prokuratura, a potem sąd.

Jesienna ramówka to będzie już pańska wizytówka, a nie łatanie po Kurskim.

– Na wiosenną ramówkę mieliśmy bardzo ograniczony wpływ. Karty w głównych antenach zostały rozdane wcześniej. Skupiliśmy się na symbolach – przywróciliśmy do TVP Wielką Orkiestrę Świątecznej Pomocy, a ostatnio wróciliśmy na PolandRockFestiwal. Rozpoczęliśmy odbudowę Teatru Telewizji i przywróciliśmy festiwal Dwa Teatry do Sopotu. Symbolem i sukcesem był bez wątpienia festiwal w Opolu, gdzie po latach wróciło mnóstwo świetnych artystów oraz Kabareton. Rzutem na taśmę udało się kupić subwencję na wiosenne rozgrywki piłkarskiej ekstraklasy. Symbolem była też godna relacja z uroczystości piątej rocznicy śmierci prezydenta Gdańska Pawła Adamowicza.

Z przeprosinami w czasie „19.30”: „Żadna telewizja, żaden program informacyjny nigdy nie powinien posługiwać się językiem hejtu i nienawiści. Nie może niszczyć ludzi, podsycać złych emocji w społeczeństwie. Do czego taki język prowadzi, właśnie widzieliśmy. Za to, co w minionych latach działo się w »Wiadomościach« TVP, w imieniu redakcji »19.30« i obecnych władz TVP przepraszamy – zwłaszcza bliskich pana prezydenta Pawła Adamowicza».

– Tak. To była nasza powinność. I wie pani, co było w tym piękne? To była całkowicie oddolna i spontaniczna inicjatywa redakcji „19.30”. Zostałem tylko uprzedzony, że takie słowa padną.

A wracając do jesieni...

– To będzie bez wątpienia jedna z najlepszych ramówek w tej telewizji od lat. Zostały wszystkie programy, które ciągnął TVP – „M jak miłość”, „Na dobre i na złe”, „Barwy szczęścia”, „Na sygnale”, czy „Komisarz Alex”. Odświeżyliśmy formaty rozrywkowe – „Jeden z dziesięciu” z produkcją wrócił do Warszawy i do swojego naturalnego środowiska, czyli Dwójki. Do nowej hali zdjęciowej na Woronicza przemieśliśmy „The Voice of Poland”, który poprowadzą Paulina Chylewska i Maciej Musiał. Do „Jaka to melodia” wrócił Robert Janowski, a „Kółko fortuny” będzie współprowadził Błażej Stencel, który został wyloniony w ramach wielkiej akcji „Włącz się”, do której zgłosiło się ponad 2 tys. osób marzących o pracy w telewizji. Ale to nie będzie jedyna niespodzianka w tym programie.

Bardzo liczę na magazyn śledczy pod kierownictwem Bianki Mikołajewskiej. Mam nadzieję, że znajdą się w nim fenomenalne materiały, takie, jakie miała przez lata konkurencja. Na dużej antenie pojawi się program Agaty Passent, Jerzego Bralczyka i Katarzyny Kasi. I może wreszcie dowiemy się, czy pies umarł, czy zdechł. Do TVP wraca też Jan Wolek z „Pocztą Świrów Polskich”, a rolnik dalej będzie szukał żony. Świetnie zapowiada się też rozrywkowy, ale jednocześnie misyjny format „Cudowne lata” prowadzony przez Barbarę Kurdej-Szatan czy „Daję słowo” – show Macieja Orłosa. Przed nami kolejne premierowe spektakle Teatru Telewizji z wielkimi kreacjami Andrzeja Seweryna, Jana Englerta, Wojciecha Malajkata, Joanny Szczepkowskiej czy Danuty Stenki. Przede wszystkim jednak przygotowaliśmy mocną ofertę filmowo-serialową z „Profilerką”, „Grą z cieniem” Kingi Dębskiej czy drugim sezonem „Krucjaty” na czele.

Czekam również na start TVP Info z nowego studia i w nowej oprawie. Na wielkość tej firmy pracowały pokolenia twórców i fachowców przez ponad 70 lat. Darzymy ich wielkim szacunkiem. Różne Telewizja Polska miała koleje losów i różnych prezesów, ale nigdy tak instrumentalnie, jak przez ostatnie kilka lat, nie wykorzystano jej do bieżącej polityki, niszcząc przy okazji jej dorobek i pozycję w wielu sferach.

A logo TVP?

– Zostanie zmienione. Potrzebne są czas i pieniądze. Kurski doprowadził do tego, że ta cudowna firma stała się najmniej wiarygodną marką medialną w Polsce. Chcemy to zmienić. Nowe logo będzie również symbolem tych zmian, bo przecież musimy poznać się na nowo. ●

Tomasz Sygut

● dziennikarz i menedżer, od grudnia 2023 roku jest dyrektorem generalnym spółki Telewizja Polska w likwidacji. Publikował m.in. w „Przeglądzie” i „Super Expressie”, w TVP w latach 2009-15 był wydawcą i współtwórcą programów „Punkt widzenia” oraz „Newsroom”. W TVP był m.in. zastępcą dyrektora Ośrodka Programów Regionalnych, dyrektorem TVP Info i szefem Telewizyjnej Agencji Informacyjnej. W latach 2016-19 pracował w Nowa TV jako szef informacji i publicystyki.

Kto ma większego pranka

Czy ktoś z Koalicji zwróci uwagę Giertychowi, że zachowuje się jak Krystyna Pawłowicz w spodniach?



Marcin Matczak

P o ostatnich wyborach napisałem, że polska polityka przypomina kreskówkę „Tom i Jerry”: przez cztery lata jedna strona próbuje ukatrupić drugą, a potem zamieniają się rolami. Napisałem to, żeby się zastanowić, czy nie czas na inną wizję polityki. I żeby ostudzić triumfalizm i nie przedstawiać wajchy całkowicie w drugą stronę. Żeby zamiast 1000 lekcji religii nie proponować 1000 lekcji wychowania seksualnego, a Ziobry nie wymieniać na Giertycha.

Chodzi nie o miękkość wobec przestępców, ale o styl – o to, żeby ich karać, ale nie poniżać i nie atakować wartości ważnych dla ich wyborców. Bo oni mimo przegranej PiS nie wyemigrowali. Ciągłe tu są i będą głosować w następnych wyborach.

Jednak polityka à la Tom i Jerry weszła nam w krwiobiegu. Już nie wystarczy, jak robi to Bodnar, zebrać dowody na nielegalne finansowanie kampanii wyborczej przez PiS i wysłać do PKW. Nie wystarczy, żeby Tusk przedstawił opinii publicznej oburzające e-maile Krzysztofa Szczuckiego, które pokazują, jak wyglądało zaangażowanie urzędników RCL w kampanię wyborczą. To za mało agresywne, za mało sadystyczne. Trzeba, jak w ostatnim tweecie Roman Giertych, napisać do drugiej strony: „Wyjcie, wyjcie”.

Czy chodzi tu o praworządność, czy o sadyzm, który czerpie przyjemność z zeszmacenia innych? Na pewno nie o wyważony wyrok w imieniu Rzeczypospolitej, raczej o wyrok w imieniu krzywdy pana Romana. Można by to robić niesadystycznie, ale wtedy będzie nudno. A gdy duży, niebieski kot Tom goni Jerry’ego i wali go w łeb młotem, nudno nie jest. Tylko potem relacja się zaburzy i po czterech latach kot znowu zamieni się w mysz.

PiS był jeszcze gorszy, jeszcze bardziej sadystyczny, zalewał nas propagandą nienawiści jak szambem, ale wychodzi na to, że wielu po drugiej stronie tego szamba potrzebuje, bo inaczej się nudzi i niecierpliwi. Jak widzowie kreskówki, w której nic się nie dzieje. Ludzie ślubują dzisiaj wierność emocjom, nie dobru, prawdzie czy sprawiedliwości z konstytucyjnej preambuły. Chcą być widzami filmu dla dzieci, w którym postaci celowo rysuje się grubą kreską, żeby nie były zbyt wyrafinowane, bo to mogłoby komuś przegrzać zwoje.

To jest wizja polityki sadystycznej uprawianej wcześniej przez Czarnka i Kowalskiego, wizja „dziennikarstwa” sadystycznego młodego Wildsteina. Dzisiaj wszyscy oni mają godnych następców. Łączą ich jedno: to, w co wierzą w danym momencie, staje się prawdą objawioną, w imię której warto uruchomić każdą inkwizycję.

Dlatego nie wystarczy im być jedynie srogim śledczym. Trzeba być przywódcą bandy, który zakpi i poniży przeciwnika, jak to na podwórku bywało. Nie wystarczy im być dziennikarzem – trzeba wzywać do lustra-

cji, do ujawnienia zdrajców, bez dowodów tworzyć teorie, kto na kogo ma jakie kwity. A jeśli w tej zaciekłości stracą rozsądek i ustawkę Stanowskiego uznają za rzeczywistość, będą iść w zaparte – jak PiS, dla którego zwycięstwem była porażka 1:27. Rzecz możliwa tylko w stanie dwójmyślenia, które przez osiem lat przypisywało się innemu, a które teraz samemu się uprawia.

W ten sposób zabija się i ideę praworządności, i ideę niezależnego dziennikarstwa. I to jest powyborcze zwycięstwo Kaczyńskiego – przecież to on i jego ekipa chcieli zniszczyć i jedno, i drugie.

Ludzie podziwiający sadyzm w polityce przypominają kilkulatnie dzieci. „Złapie go czy go nie złapie?”, „urwie mu ogon czy nie?”. A Polska staje się parodią poważnego państwa, w którym człowiek będący twarzą rozliczeń publikuje wpisy o odwrotnie założonym krawacie Kaczyńskiego i o tym, że ten ukradł mu kurtkę z za długimi rękawami. Zastanawiam się, czy kiedyś ktoś z polityków Koalicji zwróci uwagę Giertychowi, że swoimi sztubackimi zachowaniami kompromituje ideę rozliczeń. Że zachowuje się jak Krystyna Pawłowicz w spodniach.

Na razie mamy więc albo politykę sadyzmu, albo politykę parodii. Każda dyskusja zamienia się w debatę wyborczą, w której drugiego trzeba albo zmasakrować, albo wyśmiać, i po której każdy czuje się zwycięzcą.

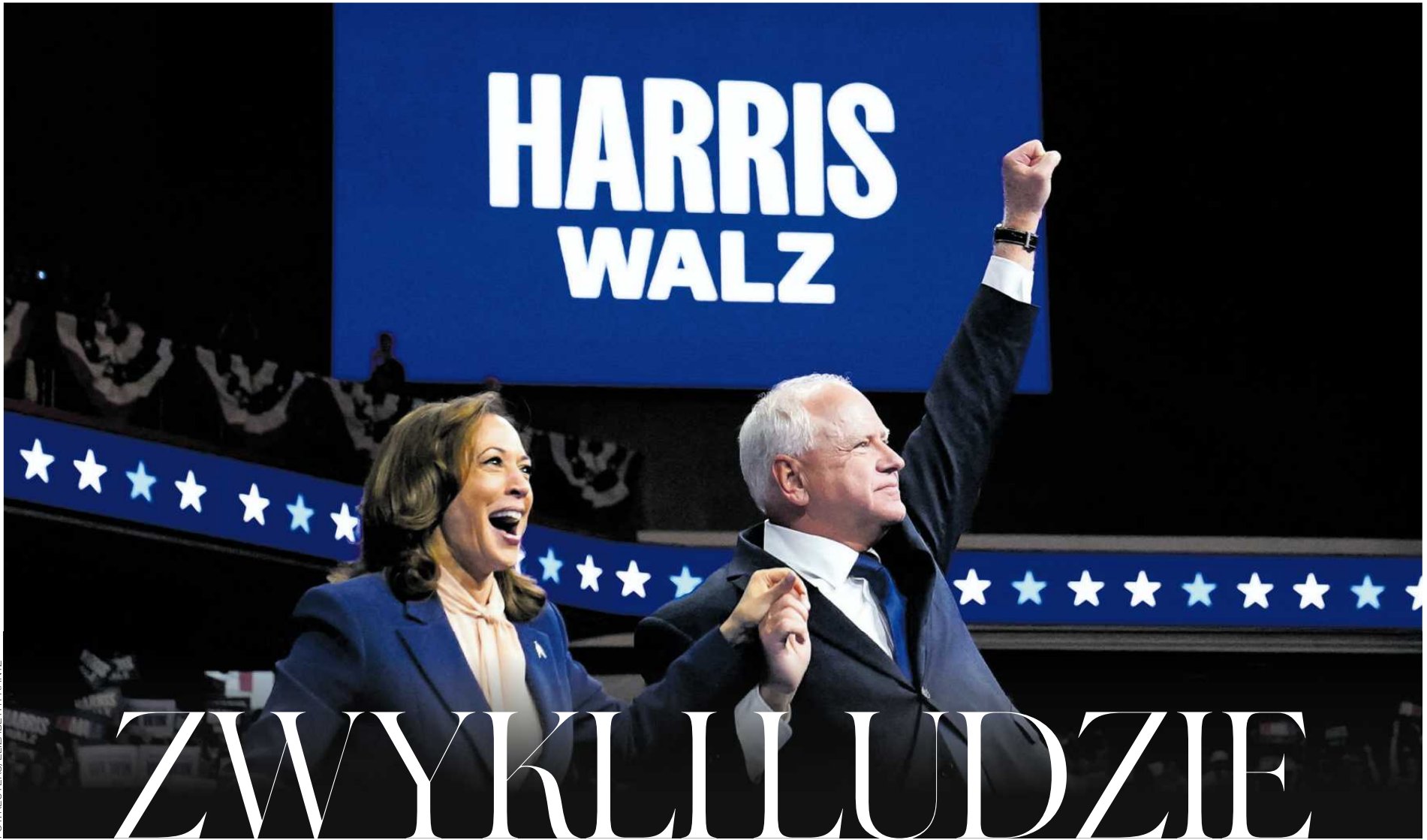
A rozmowa, w której ktoś musi być zwycięzcą, jest tak samo bez sensu, jak kolacja, po której ogłasza się zwycięzcę. Jak wizyta u lekarza, po której pacjent pyta: „Panie doktorze, kto wygrał?”. Nie o wygraną tu przecież chodzi, ale o współdziałanie i diagnozę, czyli o rzeczy wprawdzie nudne, ale niezbędne.

Niestety, górę bierze wizja życia publicznego, która jest jak ulubiona gra nastoletnich chłopców, pod tytułem „Kto ma większego prowokacyjnego pranka w zanzardzu”. Jak tak dalej pójdzie, prezydentem Polski zostanie nie ktoś mający pomysł na „ten kraj”, ale ten, kto będzie śmiał się ostatni. A my będziemy się śmiać z nim, choć tak naprawdę, jak w „Rewizorze”, z samych siebie.

Powiecie, że politycy, choć powinni wiedzieć lepiej, odbijają emocje elektoratów, które w dużej części chcą sadystycznej rozrywki. Chcą, żeby polityk był jak Tomasz Fornal w meczu z Amerykanami i żeby jego słowa stały się credo prawdziwego Polaka: „Dawać, kurwa, napierdalamy się z nimi!”. Bo polski suweren po prostu lubi się napierdalać. Kiedyś był to zew bojowy PiS, ale dzisiaj jest godnie kontynuowany. Napierdalanie się jako kwintesencja polskości.

Jeżeli rozsądna Polska pozwoli, aby ton debacie publicznej narzucali ludzie wyjęci z kreskówki, źle się to skończy. Sadyzm w polityce zwiększa plemienne podziały, a głębokie, polaryzujące rowy prowadzą społeczeństwa do autorytaryzmu. Bo jeśli sądzisz, że ta druga połowa Polaków to ludzie pozbawiani moralności, przestępcy, zdrajcy i agenci obcego wywiadu, to jaki masz powód, żeby organizować wybory i oddawać im władzę? To proste, jeśli chwilę o tym pomyślisz – im większa polaryzacja, tym większe ryzyko dla demokracji.

A Hannah Arendt pisała, że autorytaryzmy rodzą się z nudy egzystencjalnej, z której ludzi wyprowadza atrakcyjna naparzanaka. Bo wreszcie coś się dzieje, bo to naparzananie się jest bardziej interesujące niż dyskusja jajogłowych. Tyle tylko, że z igrzysk nie ma chleba, z parodii – poważnych rozwiązań, a z sadyzmu – dobra. Co z tego, skoro jest rozrywka? ●



Maciej Czarnecki

Program programem, ale zawsze dobrze, jak polityk może opowiedzieć o sobie fajną historię. Kiedy w lipcu Donald Trump ogłosił, że jego kandydatem na wiceprezydenta będzie J.D. Vance, wydawało się, że trudno będzie mu dorównać.

Oto chłopak z rozbitej rodziny w mieście w Ohio, w której matka zmagą się z uzależnieniem od narkotyków, a dzieci wychowują głównie „Papaw” i „Mamaw”, czyli dziadkowie, kończy liceum, zaciąga się do piechoty morskiej, a po zakończeniu służby zdobywa dyplom prawniczy na Yale.

Następnie opisuje swą mozolną wspinaczkę po drabinie społecznej w książce „Elegia dla bidoków”, która staje się bestsellerem zekranizowanym przez Netflix. W 2022 roku w wieku 38 lat zdobywa mandat republikańskiego senatora z Ohio.

Tymczasem 7 sierpnia Kamala Harris jako kandydata na wiceprezydenta wybrała kogoś, o kim kiedyś pewnie też powstanie film. Sześćdziesięcioletni gubernator Minnesoty Tim Walz również urodził się w małej miejscowości na środkowym zachodzie USA (Midwest), tyle że w Nebrasce.

Opowiadał, że żyło tam 400 osób, a w jego klasie było 24 uczniów, z czego połowa to kuzyni.

Nim trafił do wielkiej polityki – najpierw jako kongresmen, potem gubernator – był nauczycielem w Mankato w Minnesocie, szkolnym trenerem futbolu amerykańskiego i członkiem Gwardii Narodowej, z którą jeździł nawet za koło podbiegunowe.

Sprawia wrażenie, że dalej jest „zwykłym człowiekiem”: często pojawia się w miejscach publicznych w czapeczkach baseballowych i T-shirtach; mówi prosto z mostu i nieraz z przymrużeniem oka. Reformy, które wprowadza w Minnesocie – choćby płatne urlopy wychowawcze i zdrowotne – przysłużyły się milionom pracowników, choć Republikanie określają je mianem „skrajnie lewicowych”.

Wiadomo było, że Harris jako kobieta z mniejszości etnicznej musi wybrać na wiceprezydenta białego mężczyznę. Nama-

Z MIDWESTU

Obaj kandydaci na wiceprezydenta USA – J.D. Vance i Tim Walz – pochodzą ze środkowego zachodu. To tam może się rozstrzygnąć walka o Białą Dom.



ściła faceta, który dorobił się ksywki „Tata Ameryki”, idealnie wpisującego się w stereotypowe postrzeganie prostolinijnego i dowcipnego ojca z Midwestu.

Pamiętam, że gdy podczas szczytowego lockdownu utknąłem w leśnej chacie znajomych nieopodal Minneapolis, Walz ogłosił, że wśród dozwolonych aktywności jest „jeżdżenie samochodem po okolicy dla przyjemności”. Drobiazg, panie gubernatorze, ale doceniony.

Obaj wybrańcy mają przysporzyć kandydatom głosów właśnie w tym regionie, kluczowym dla wyniku wyborów. Należą do niego Michigan i Wisconsin, zaliczane do swing states – grupy sześciu-siedmiu stanów, które raz głosują na republikanina, raz na demokratę.

Bajdurzenie kontra uśmiech

Obok jest jeszcze Pensylwania, która geograficznie nie jest Midwestem, ale kulturowo już owszem, przynajmniej jeśli chodzi o rozległe połacie na zachód od Filadelfii. Kto zgarnie te trzy stany, najpewniej wprowadzi się do Białego Domu.

J.D. Vance, który niegdyś zawzięcie krytykował Trumpa, teraz jest jego lojalnym bulterierem. Bez mrugnienia okiem powtarza jego bajdurzenia o skradzionych wyborach. Błyskotliwy, sprawny retorycznie.

Walz to jedyna osoba w ekipie Harris, która uśmiecha się częściej od niej. Nie porwie tłumów jak trybun, za to wprowadzi dobry nastrój.

Wszystko to pasuje jak ulał do głównego przekazu: Trump uderza w mroczne to-

ny, grzmiąc o „oszustwach wyborczych”, „inwazji imigrantów”, „spisku liberalnych elit”. Vance przekonywał niedawno na wiecu w Michigan, że pod rządami Bidena i Harris polityka imigracyjna USA to „największa katastrofa” w historii, kraj ma praktycznie „otwarte granice”.

– Przywróćmy rządy prezydenta Trumpa, zamknijmy granicę i dajmy krajowi trochę zdrowego rozsądku i bezpieczeństwa – wzywał Vance.

Harris obiecuje „lepszą przyszłość”, nową, progresywną i tolerancyjną Amerykę. Wobec rozmontowania przez Sąd Najwyższy konstytucyjnego prawa do aborcji czy forsowanych przez konserwatywne środowiska zakazów niektórych książek w bibliotekach szkolnych leitmotivem swojej kampanii uczyniła wolność. Wychodzi na wiece przy dźwiękach piosenki Beyoncé „Freedom”.

– Republikanie kiedyś mówili o wolności, ale nie ci obecni! Kiedy oni mówią o wolności, oznacza to, że rząd powinien mieć wolną rękę, by wejść z butami do gabinetu, w którym bada was lekarz – przekonywał Walz na piątkowym wiecu w Arizonie.

Obaj self-made mani wyciągnęli ze swoich doświadczeń inne wnioski. Walz uważa, że słabsi potrzebują pomocy. Poza wspomnianymi reformami preforsował też bezpłatną naukę w college’ach dla członków rodzin zarabiających poniżej 80 tys. dol. rocznie i posiłki dla dzieci w szkołach. Wymógł na Uberze czy Lyftcie minimum zabezpieczenia socjalnego kierowców. Wzmocnił ochronę konsumentów przed „śmieciowymi opłatami”.

Vance w swojej książce oskarżył białą biedotę z Appalachów, z której się wywodzi, że w dużej mierze sama jest sobie winna, co współgra z wyznawaną przez Republikanów od dawna zasadą, że każdy jest kowalem własnego losu. Co prawda na Kapitolu po cichu dogadywał się z Demokratami, by ograniczyć niebotyczne zarobki szefów banków czy zlikwidować ulgi podatkowe dla korporacji. Na konwencji Republikanów odgrażał się, że zadba o „pracującego człowieka”, a nie Wall Street. A na środowym wiecu w Wisconsin krytykował zamykanie szpitali w okolicznych miasteczkach. Ale przecież zajmowałby stano-

wisko u boku Trumpa, który podczas swoich rządów obniżał podatki najbogatszym.

Republikanie straszą, że jeśli Harris i Walz dorwą się do władzy, to zaprowadzą w USA komunizm. Demokraci ostrzegają, że rywale pogorszą sytuację klasy średniej i okroją państwowe programy ubezpieczeń zdrowotnych Medicare i Medicaid.

Nie udawaj wojaka

Już w pierwszych dniach po ogłoszeniu kandydatury Walza Vance, który służył w Iraku jako wojskowy specjalista od komunikacji publicznej, zaatakował jego przeszłość wojskową. Wytknął, że gubernator nigdy nie brał udziału w walkach i odszedł ze służby do polityki krótko przed wysłaniem jego jednostki do Iraku.

Co więcej, oskarżył go o kłamstwa.

Walz wielokrotnie przyznawał, że są osoby o większym dorobku niż on, a jego misje sprowadzały się głównie do pomocy ofiarom powodzi czy huraganów, ale w niefortunnym klipie opublikowanym przez sztab Harris wypalił, że trzeba ograniczyć dostęp do broni, jaką on sam nosił „w wojnie”.

Według Vance’a wszystko byłoby w porządku, gdyby powiedział „podczas wojny”. Walz rzeczywiście nosił broń, a Ameryka była wtedy na wojnie z Afganistanem. Ale taka wypowiedź to już przypisywanie sobie fałszywych zasług weterana. Amery-

le biografia, ile styl i temperament kandydatów.

„Vance naprawdę jest synem klasy pracującej, a jest mniej popularny od Trumpa, w tym pośród republikanów. A to być może dlatego, że wrażenie, które sprawia, odpowiada temu, kim tak naprawdę się stał: wykształconym na Yale intelektualistą z kręgu prawicowych mówców. Być może i on, i Walz uwielbiają napój Diet Mountain Dew, ale jeśli to Walz okaże się lepszym wyborem na wiceprezydenta, to może dlatego, że tylko on wydaje się typowym konsumentem tego napoju” – peroruje Edelman.

Jak podliczył „The Wall Street Journal”, Walz nie posiada własnego domu ani zbyt wielu oszczędności. Gdyby został wiceprezydentem, pensja 235 tys. dol. rocznie oznaczałaby dla niego ponad 50-procentową podwyżkę. Za to Vance jest multimilionerem, ma kilka nieruchomości oraz oszczędności w złocie i kryptowalutach, nie wspominając o okazałych tantiemach za „Elegię...”. Pytanie retoryczne: który wyda się bardziej „autentyczny” klasie pracującej z Midwestu?

Między nami, Midwestczykami

Ten ogromny region USA – niegdyś ziemie Siuksów – rozciąga się ze wschodu na zachód od Appalachów po Góry Skaliste, a z północy na południe od granicy z Kana-

mik z programu satyrycznego „The Daily Show”. Wcielający się w rolę reportera komik Michael Costa odwiedził Duluth, w którym urodził się Bob Dylan.

– Czy to miasto przyszłości? Sprawdźmy! – zapowiedział profesjonalnie, po czym utknął obok śnieżnej zasy. – Czy ja się poruszam? Nie czuję nóg – dodał do kamerzysty

Po mediach społecznościowych krąży nagranie, w którym Walz przekomarza się z córką podczas wizyty na popularnych targach stanowych.

– Corndoga? – pyta (to smażona parówka w cieście kukurydzianym).

– Jestem wegetarianką – odpowiada

23-letnia Hope.

– W takim razie indyk.

– Indyk to też mięso!

– Nie w Minnesocie. Indyk to co innego – wyrokuje niezrażony „Tata Ameryki”.

Doug Stone zastrzega, że tożsamość Midwestu mocno się zmienia. Miasta i wieś oddaliły się od siebie w sprawach politycznych i kulturowych, przez co „wielu członków rodziny czuje się niepewnie podczas kolacji na Święto Dziękczynienia”.

„W ostatnich 20 latach Minnesota przekształciła się z głównie białego stanu w znacznie bardziej zróżnicowany, z dużymi społecznościami amerykańskich Somalijszczyków, Hmongów czy Latynosów. Moim zdaniem to dobrze, ale napędziło to dysku-

konserwatywnych sędziów do Sądu Najwyższego, obiecywał, że rozwiąże problemy zwykłych ludzi.

Utkwiła mi w głowie rozmowa z farme-rem Dennisem Fultzem, który pamiętał jeszcze lata 50., w których było nie do pomyslenia, żeby jako protestant randkował z katolicką dziewczyną. To było, zanim maszyny zastąpiły większość pracowników na polach, a hipermarket Walmart wykończył sklepiki przy głównej ulicy miasteczka. Trump zapowiadał, że cofnie czas, uczyni Amerykę znów wielką.

Cud nie nastąpił.

Czy ktoś taki jak Walz mógłby przekonać do siebie Fultza i spółkę?

A może to Vance uwiedzie swoją opowieścią mieszkańców okolicznych miasteczek: ludzi znacznie biedniejszych, którym pod rządami Bidena dają się we znaki rosnące koszty życia?

Minnesota i tak wybierze Demokratów. Chodzi o takie miejsca w Michigan, Wisconsin i Pensylwanii. W 2016 roku Trump wygrał m.in. dlatego, że poszli za nim ci, którzy czuli się odstawieni na gorszy tor przez pędzący świat i rządzących w Waszyngtonie; tacy jak sąsiedzi i rodzina Vance’a. Teraz ten, któremu udało się wybić, będzie przekonywał, że pod rządami Republikanów amerykański sen ziści się po raz kolejny.

– Nie wiem tylko, czy opowiadanie klamasy pracującej w kolejnej kampanii o wykonywaniu własnego sukcesu będzie wystarczająco przekonujące – zastanawia się Mateusz Piotrowski z Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych (PISM). – Dla części wyborców – być może, ale jeśli ktoś będzie słyszał to kolejny rok z rządu i dalej nie widzi zmian, ciężko pracuje, a mimo to wciąż żyje od wypłaty do wypłaty, to może atrakcyjna okaże się nie obietnica wykucia własnego sukcesu, który jakoś nie chce się wykuć pomimo szczerych chęci, tylko pomocy ze strony państwa?

Mniej ważni, ale ważni

Piotrowski podkreśla, że główne starcie rozegra się pomiędzy Harris a Trumpem, a na pewnym etapie kampanii może się okazać, że Walz jest ledwie jednym z jej wielu orędowników.

– Widać, że rzucono wszystkie ręce na pokład. W Filadelfii na pierwszym wiecu po wyborze kandydata na wiceprezydenta przez Harris witał ich gubernator Pensylwanii Josh Shapiro. Walz będzie miał większe znaczenie w ewentualnej przyszłej administracji, bo ma duże doświadczenie w Izbie Reprezentantów, gdzie angażował się w ponadpartijną współpracę, i na poziomie stanowym. Harris tego doświadczenia brakuje – mówi ekspert PISM.

– Korzyści, jakie przynosi kampanii kandydat na wiceprezydenta, są ograniczone – potwierdza O’Donnell. – Jednak zły wybór potrafi być zabójczy. W 1972 roku senator Thomas Eagleton był kandydatem u boku George’a McGoverna. Eagleton cierpiał na depresję i był hospitalizowany, co zatajono. Kiedy wyszło to na jaw, zmuszono go do wycofania się z wyścigu, co było ciosem dla sztabu McGoverna. Prawdopodobnie tak czy inaczej przegrałby z Richardem Nixonem, ale ta sprawa na pewno nie pomogła.

– Z drugiej strony dobranie sobie przez Johna McCaina Sarah Palin było prawdopodobnie najgorszym wyborem kandydata na wiceprezydenta od czasów Eagletona. A analiza naukowa pokazuje jednak, że [wbrew narracji, że zaszkodziła mu w umiarkowanym elektoracie] Palin raczej miała pozytywny wpływ na wyborców – ciągnie O’Donnell.

Podkreśla, że Ameryka jest podzielona, ale niezupełnie pół na pół.

– O wyniku wyborów decyduje te 10-15 proc. wyborców, którzy nie mają jasno określonej filozofii politycznej i o których walczą sztaby. Zobaczymy, które ataki na kontrkandydata zapadną im w pamięć – mówi O’Donnell. ●

Mieszkańcy Midwestu wyznają to, co uważa się za staromodne amerykańskie wartości: ciężką pracę, szczerłość, rodzinę, społeczność, a także bycie miłym i twardo stąpającym po ziemi

kanie mają na to specjalne określenie: „stolen valor”.

– Nie udawaj kogoś, kim nie jesteś – przestrzegł Vance.

Jedni to podchwycili, inni uznali za zwykłe przejęcie Walza. W ocenie Michaela O’Donnella, profesora dziennikarstwa z University of St. Thomas w St. Paul w Minnesocie, Republikanie mają w tej kwestii słabe karty.

– To zagranie rodem z kampanii George’a W. Busha z 2004 roku – komentuje O’Donnell. – Kandydat Demokratów John Kerry służył w Wietnamie na pokładzie szybkiej łodzi [ang. swift boat] do patrolowania rzeki Mekong. 527-osobowa grupa SBVT, czyli Swift Boat Veterans for Truth, zakwestionowała w telewizji i książce „Unfit for Command” szczegóły dotyczące służby przytaczane przez Kerry’ego i jego zaślugi bojowe. Ich kampania została później zdyskredytowana i dała początek nowemu pojęciu „swiftboatingu”, czyli niesprawiedliwego czy nieprawdziwego ataku politycznego. Dawni członkowie załogi Kerry’ego oświadczyli, że zarzuty pod jego adresem są fałszywe – opowiada „Wyborczej” O’Donnell.

Człowieku, bądź autentyczny!

Walz odwzajemnił się Vance’owi zarzutem o brak autentyczności.

– Wszyscy w Ameryce idziemy na Yale, potem mamy karierę finansowaną przez miliarderów z Doliny Krzemowej i piszemy książkę, w której wylewamy pomyje na swoje rodzinne strony. Dajcie spokój, Wisconsin takie nie jest. Minnesota taka nie jest. Zaslugujemy na coś więcej – perorował na wiecu gubernator.

Gilad Edelman na łamach czasopisma „The Atlantic” twierdzi, że liczy się nie ty-

dać po stany amerykańskiego Południa.

Rozległe farmy, na których falujące kłosa kukurydzy ciągną się po horyzont, a nad sennymi miasteczkami górują zbożowe silosy, układają się w słynny „pas kukurydziany”. Rozsiane po Ohio i Michigan zakłady przemysłowe próbują odżyć, by do lamusa przeszło inne określenie – „pas rdzy”.

Midwest to wielkie równiny Dakoty i tętniące życiem ulice Chicago. Wielkie Jeziora i Detroit. Stany demokratyczne (jak Illinois i Minnesota), republikańskie (jak Ohio, Indiana czy Kansas), i te najbaczniej obserwowane – swingujące. Mieszka tu 69 mln Amerykanów, czyli nieco ponad 20 proc. populacji kraju.

Kim są? W co wierzą? Gdy Harris wybrała Walza, zapytałam o to na Messengrze paru znajomych z Minnesoty.

Paul Sherburne, emeryt: „Mieszkańcy Midwestu wyznają to, co uważa się za staromodne amerykańskie wartości: ciężką pracę, szczerłość, rodzinę, społeczność, a także bycie miłym i twardo stąpającym po ziemi. Uważa się, że elity na wybrzeżach oraz południowcy tych wartości nie zachowali. Walz ucieleśnia to wszystko”.

Doug Stone, specjalista ds. komunikacji współpracujący z organizacjami pozarządowymi: „Tożsamość środkowego zachodu zakłada, że jesteś praktycznym realistą, osobą przyjacielską, dobrym sąsiadem, dobrym obywatelem. Większość ludzi nie bierze siebie za bardzo na serio”.

À propos tego ostatniego: gdy amerykańskie media opublikowały niedawno serię materiałów o tym, jak Minnesota może przyciągać w przyszłości uchodźców klimatycznych zmęczonych ekstremalną pogodą np. w Kalifornii, inny znajomy – wielki miłośnik regionu – podesłał mi fil-

sję polityczne i kulturowe” – dodaje.

„Dla mnie Walz znacznie lepiej reprezentuje Midwest niż Vance. Ma poczucie humoru, jest praktyczny, wydaje się wyznawać wartości typowe dla mniejszych miejscowości. Vance zmienił swoje poglądy polityczne o 180 stopni, pracował w funduszach hedgingowych ze wsparciem multimilionera, głosi ekstremalnie konserwatywne hasła, choćby ta jego tyrada, że krajem rządzi lewicowe »bezdzielnne kocia-ry«. Nie spodziewałem się, że Harris wybierze Walza, ale moim zdaniem wnosi on do kampanii ogromną dozę energii i bezpośredniości. Nie każdy w Minnesocie za nim przepada, ale wielu naprawdę go lubi”.

Sen o amerykańskim śnie

Zanim został gubernatorem, Walz przez 12 lat reprezentował w Kongresie w przeważającej części rolniczy i przychylny raczej Republikanom okręg wyborczy na południu stanu, przy granicy z Iową.

Króluje tam wielohektarowe, nowoczesne gospodarstwa, których właściciele jeżdżą nowymi pikapami, latają na zimę do ciepłych krajów, finansują swoim dzieciom edukację w dużych miastach i eksportują swoje produkty do innych krajów. W rozmowach o Ameryce przypominają jednak swoich rodziców i dziadków, którzy orali pole mulem.

Odwiedziłem te ziemie cztery lata temu, gdy badałem nastroje wśród mieszkańców. Na ogół byli za Trumpem, choć wyraźnie nie podobali im się jego tyrady na Twitterze i rozdęte ego. Nie tak załatwiał się sprawy w Midwescie.

Trump jednak ograniczał regulacje środowiskowe i zasadniczo biurokrację, wypłacał rolnikom dopłaty, łagodząc skutki wojny handlowej z Chinami, mianował

Stan gospodarki może zaszkodzić Demokratom

Co nam mówi reguła Sahm

Dla zwykłego Amerykanina giełda jest ważniejsza niż kredyty. Spadki indeksów mogą wpłynąć na wynik wyborów prezydenckich.

Gadomski



W piątek 9 sierpnia nowojorska giełda odnotowała zyski, które zniwelowały część strat poniesionych przez inwestorów na początku miesiąca. Indeks największych spółek S&P 500 wyniósł 5344,16 i był niższy niż w ostatnim dniu lipca o 3,2 proc. Giełda Nasdaq, na której notowane są spółki technologiczne, straciła prawie 5 proc., choć odbiła się od najniższego poziomu.

Wygląda na to, że na giełdzie wygasła panika, która wybuchła w poniedziałek 5 sierpnia wywołana rozczarującym raportem o zatrudnieniu, w którym zawarta była informacja, że stopa bezrobocia wzrosła w lipcu z 4,1 proc. do 4,3 proc. Ekonomiści przypomnieli sobie regułę Sahm, czyli sytuację, gdy trzymiesięczna średnia stopa bezrobocia wzrasta o 0,5 pkt proc. lub więcej w stosunku do swojego najniższego poziomu z poprzednich 12 miesięcy. Reguła ta traktowana jest przez Rezerwę Federalną jako ważny wskaźnik wyprzedzający świadczący o zbliżającej się recesji.

Regułę stworzyła Claudia Sahm, główna ekonomistka w New Century Advisors i była ekonomistka Rezerwy Federalnej, która po raz pierwszy opisała ją w 2019 roku. Powoływać się na nią zaczęli znani ekonomiści, tacy jak Larry Summers, a także media. „Stworzyłam potwora” – żartowała w 2022 roku Claudia Sahm.

Recesję definiuje się jako spadek aktywności gospodarczej przez co najmniej dwa kwartały. Jednak gospodarka w drugim kwartale wzrosła o 2,8 proc., a bezrobocie wzrosło z powodu zwiększenia podaży pracowników, a nie zwalniania. 8 sierpnia pojawiła się informacja, że liczba wniosków o zasiłek dla bezrobotnych spadła.

To nie znaczy, że gospodarka jest w bardzo dobrym stanie. Rynki finansowe niepokoi utrzymująca się podwyższona inflacja – w czerwcu 3 proc. – która zniechęca Rezerwę Federalną do cięć stóp procentowych.

Giełda papierów wartościowych ma dla przeciętnego Amerykanina, większe znacznie niż dla mieszkańców Europy. Amerykańskie firmy częściej niż europejskie pozyskują kapitał na rynku finansowym, emitując akcje lub obligacje. Rządziej sięgają po kredyt. A gospodarstwa domowe trzymają oszczędności w funduszach, które inwestują na giełdzie.

Spadki giełdowe mogą spowodować recesję przez efekt majątkowy. Konsumentci na spadek wartości swojego majątku ulokowanego w akcjach odpowiadają zmniejszeniem wydatków. Dlatego indeksy giełdowe obserwują zarówno finansjści i politycy, ale też przeciętni Amerykanie.

Dla najdłuższej urzędującego szefa Rezerwy Federalnej Alana Greenspana



• **Giełda Nasdaq, na której notowane są spółki technologiczne, straciła na początku sierpnia prawie 5 proc.** FOT. REUTERS/EDUARDO MUNOZ

giełdowe indeksy były ważnym punktem odniesienia. Inwestorzy byli przekonani, że jeśli zaczną spadać, szef Fed pomoże im, obniżając stopy procentowe. Greenspan dbał, by giełda rosła. Sytuację tę nazywano „Greenspan put”. Opcje put inwestorzy kupują dla zabezpieczenia się przed spadkami.

Jerome Powell, szef Fed od 2018 roku, zareagował na silne spadki giełdowe, jakie wywołała epidemia Covid w 2020 roku. Wówczas od 20 lutego do 20 marca indeks giełdy nowojorskiej obniżył się przeszło 30 proc. Fed dwukrotnie obciął stopy funduszy federalnych do poziomu 0,0 proc.-0,25 proc. Giełda odżyła i rosła przez kilka lat. W połowie lipca br. indeks S&P 500 był przeszło dwukrotnie wyższy niż w czasie dolki covidowego. Wprawdzie wartość dolara zjadała inflacja, ale i tak inwestorzy giełdowi mieli znaczne zyski.

Hossa jednak nie trwa wiecznie. Może po niej nastąpić korekta, a nawet załamanie. W czerwcu przed krachem ostrzegał John Hussman, prezes Hussman Investment Trust. Prognozował spadek indeksów o 50–70 proc.

Na początku sierpnia graczy giełdowych wystraszyła informacja, że Warren Buffett, uważany za najwybitniejszego inwestora w historii, gromadzi gotówkę i bony skarbowe, wyprzedzając akcje spółek, w tym Apple’a.

Fed tym razem nie zareagował na spadki, a Jerome Powell dał do zrozumienia, że giełda nie będzie narzucała polityki banku, który nie zakończył walki z inflacją. Podstawowa stopa Rezerwy Federalnej fed fund rate waha się w paśmie 5,25 proc. – 5,50 proc., gdy Europejski Bank Centralny obniżył w czerwcu stopę do 4,25 proc., a Bank Anglii 1 sierpnia obciął stopę do 5,0 proc. Wysokie stopy hamują nie tylko inflację, ale także gospodarkę.

Harris musi bronić programu Bidena dotyczącego miejsc pracy i lokalnego rozwoju. Podczas gdy Trump sprzedaje wspomnienie Ameryki sprzed pandemii, w której życie wydawało się łatwiejsze

Ocena stanu amerykańskiej gospodarki nie jest prosta, gdyż w ostatnich latach przeżyła ona – jak większość gospodarek na świecie – szoki wywołane czynnikami zewnętrznymi: pandemią, zaburzeniami na rynku energii oraz wojną w Ukrainie, która znacznie bardziej wpływa na gospodarkę europejskie, ale nie jest obojętna Stanom Zjednoczonym.

Gdy Donald Trump kończył swoją kadencję, 12-miesięczna inflacja wynosiła 1,4 proc. PKB wzrósł w czwartym kwartale 2020 roku w stosunku do trzeciego kwartału o 1,5 proc., ale wciąż był o 2 proc. niższy niż czwartym kwartale 2019 roku. Gospodarka amerykańska miała za sobą blokadę z powodu pandemii, która spowodowała gwałtowne skurczenie gospodarki i początkowo spadek inflacji.

Przez trzy lata rządów Bidena średni wzrost PKB wynosił 3,4 proc. rocznie. Przykrą niespodzianką była jednak inflacja, będąca wtórnym efektem pandemii, podczas której gospodarstwa domowe w USA otrzymały od rządu czeki opiekujące na 1200 dol. W 2021 roku inflacja rosła w każdym kolejnym miesiącu, osiągając szczytowy poziom w czerwcu 2022 roku – 9,1 proc. To nie była wina administracji Bidena, ale wielu Amerykanów jego właśnie obwinia za inflację.

Administracja Bidena odziedziczyła też gigantyczny deficyt budżetu federalnego, który w roku 2020 wyniósł 3,1 bln dol., i dług publiczny w wysokości 26,9 bln dol. W tym roku deficyt wyniesie 1,9 bln dol., a dług 35,1 bln dol. Trump zwiększył zatem zadłużenie USA o 7,4 bln dol., a Biden o 8,2 bln dol.

Przeciętnego Amerykanina rosnący dług publiczny niepokoi w umiarkowany sposób. Patrzy na swoje dochody, łatwość znalezienia nowej pracy, ceny nieruchomości. Inflacja spowodowała, że realne dochody przeciętnego Amerykanina spadły, zwłaszcza w roku 2022. W dwóch kolejnych rosły, ale wolniej niż w czasie kadencji Trumpa – w latach 2016-20 wzrosły prawie o 15 proc.

Bezrobocie po pandemii szybko spadało i nie jest największym problemem Amerykanów, choć ostatnio wskaźniki się pogorszyły. Przybyło też w okresie rządów Bidena kilka milionów miejsc pracy.

Za to sprzedaż domów z powodu wysokiego oprocentowania spadała. W czerwcu na rynku wtórnym spadła

do jednego z najniższych poziomów od 2010 r. Sprzedający utrzymują wysokie ceny – mediana to 426,9 tys. dol. – mając nadzieję, że popyt ruszy, gdy Fed zacznie obniżać stopy procentowe, a kupujących na razie wysokie ceny odstraszają. Średnie oprocentowanie kredytu hipotecznego to 6,87 proc. To mniej niż w szczytowym momencie w kwietniu, jednak wciąż dwukrotnie więcej niż w końcu 2021 roku.

Sytuacja wygląda różnie w różnych stanach. Sondaże i analizy ekspertów wskazują, że o tym, kto zostanie prezydentem, przesądzą elektorzy z siedmiu wahających się stanów, gdzie może wygrać zarówno Trump, jak i Kamala Harris. Są to: Arizona, Karolina Północna, Georgia, Nevada, Michigan, Pensylwania i Wisconsin. Ważna jest zwłaszcza Pensylwania, która wysłała na zgromadzenie wybierające prezydenta 20 elektorów.

Według Bloombergu w latach 2020-23 PKB na mieszkańca USA zwiększyło się realnie średnio o 6,3 proc., mieszkańca Arizony o 12,8 proc., ale Pensylwanii zaledwie o 0,9 proc., a Wisconsin spadło o 0,7 proc.

W Arizonie, która zanotowała silny realny wzrost, inflacja i rosnące koszty utrzymania mocno uderzyły w budżety gospodarstw domowych, podobnie jak w Nevadzie i Karolinie Północnej. Dla mieszkańców problemem są wysokie stopy procentowe, a tym samym koszty kredytów. W 2019 roku typowe gospodarstwo domowe w Nevadzie, które kupiło dom średniej wielkości, wydawało około 20 proc. swojego dochodu na raty kredytu hipotecznego. Według obliczeń Bloomberg Economics w 2023 roku rata wzrosła do prawie 37 proc. dochodu.

Georgia skorzystała na nowych inwestycjach w zakłady produkujące pojazdy elektryczne. Koniunktura przyciągnęła tysiące nowych mieszkańców. Nominalny PKB Georgii wzrósł od 2019 roku o prawie 25 proc., ale z powodu inflacji i wzrostu liczby mieszkańców wzrost realny per capita wyniósł zaledwie 2,5 proc.

Zróżnicowane pod względem możliwości są też poszczególne hrabstwa (powiaty). Siedem stanów wahających się ma nieproporcjonalnie duży odsetek populacji żyjącej w hrabstwach, które do końca 2022 roku nie osiągnęły jeszcze PKB sprzed pandemii. W takich stanach mieszka jedna piąta populacji USA, a w stanach wahających się jedna czwarta. Przykładem jest hrabstwo Erie w Pensylwanii. Jego skorygowany o inflację PKB na mieszkańca był w końcu 2022 roku o 3,2 proc. mniejszy niż w 2019 roku, a odbicie po pandemii wolniejsze niż w większości USA.

Region ten od dziesięcioleci przeżywa deindustrializację i jej następstwa. Populacja hrabstwa zmalała, a liczba miejsc pracy w przemyśle przetwórczym spadła o 10 proc. Jak dotąd renesans sektora wytwórczego, o którym mówią Demokraci, nie pojawił się w Erie. To może mieć znaczenie w listopadzie: Biden wygrał w tym hrabstwie w 2020 roku zaledwie 1400 głosami. ● **Witold Gadomski**

WYBIERZMY NASZĄ EUROPE

• Prezydenci Stanów Zjednoczonych Joe Biden i Ukrainy Wołodymyr Zełenski w Gabinetcie Ovalnym w Białym Domu. Waszyngton, 21 września 2023 roku

FOT. EVAN VUCCI/AP

POKÓJ JEST MOŻLIWY
TYLKO BEZ PUTINA

Ukraina może stać się Republiką Federalną Niemiec XXI wieku.

Stefan Aust, Martin Scholz

WELT

Wary Elise Sarotte wyklada historię na Uniwersytecie Johnsa Hopkinsa w Waszyngtonie i na Uniwersytecie Harvarda. Jest jednym z czołowych ekspertów od czasów zimnej wojny. Dzięki jej głośnej książce „Not One Inch: America, Russia, and the Making of Post-Cold War Stalemate” (2021) lepiej rozumiemy strukturę konfliktu Zachodu z Rosją. Udało jej się uzyskać dostęp do wielu wcześniej tajnych dokumentów z negocjacji z Kremlu po upadku muru berlińskiego.

Rozmawiamy dokładnie na dawnej zimnowojennej granicy Zachodu ze Wschodem – w redakcji „Die Welt” w nowym budynku wzniesionym we wschodniej części Berlina.

Liderzy państw NATO spotkali się niedawno w Waszyngtonie na szczycie z okazji 75. rocznicy powstania Sojuszu. Jak NATO będzie musiało się zmienić, aby móc świętować swoje 80. urodziny?

– Największym wyzwaniem jest bez wątpienia wojna na Ukrainie. Ale nawet jeśli miałyby się ona wkrótce zakończyć – co niestety nie nastąpi – Sojusz musi przygotować się na niebezpieczną przyszłość. Ponownie żyjemy w czasach, w których możliwa jest wojna pomiędzy głównymi mocarstwami. NATO musi dostosować się do nowych realiów, podobnie jak my wszyscy.

Czy zna pani niemieckie słowo „Erklärbar”?

– Nie, brzmi zabawnie...

Tak nazywamy ludzi, którzy są w stanie wyjaśnić bardzo złożone kwestie w przystępny sposób. Od czasu publikacji książki „Not One Inch...” pani także do nich należy: chodzi nie tylko o rozszerzenie NATO na wschód, ale także całą prehistorię rosyjskiej agresji przeciwko Ukrainie. Jest pani w związku z tym częstym gościem w mediach.

– Podoba mi się określenie „wyjaśniacz”. Ale zapewne w tym wypadku wołałabym nie mieć racji. Mam na myśli to, że od kiedy zaczęłam pracować nad tą książką w 2005 roku, często słyszałam: „Po co zajmować się tym tematem? Nikogo już nie interesuje polityka bezpieczeństwa, NATO czy Rosja”. Nagle jednak interesuje to wszystkich...

To podejście było dość powszechne nawet tuż przed rosyjską wojną agresji. W dodatku prezydent Francji Emmanuel Macron oznajmił już w 2019 roku, że NATO „znajduje się w stanie śmierci mózgowej”.

– Ale mylił się w tej ocenie. Istnieją dwie strategicznie ważne potęgi nuklearne, USA i Rosja.

Tylko one dysponują środkami, które mogą zniszczyć naszą cywilizację w ciągu jednej godziny. W tym kontekście nie ma nic ważniejszego niż poznanie i przeanalizowanie relacji między tymi dwoma mocarstwami.

Ekspansja NATO na wschód zawsze była cierniem w boku Rosjan, zakłóciła tę relację. Po ataku Rosji na Ukrainę z dnia na

dzień wszyscy nagle chcieli dowiedzieć się ode mnie, co dokładnie w najnowszej historii wpływa na decyzje Putina.

Rezygnacja NATO z rozszerzenia na wschód – to był eksperyment myślowy, który ówczesny sekretarz stanu USA James Baker i jego niemiecki kolega Dietrich Genscher omawiali w rozmowach z Michaiłem Gorbaczowem po upadku muru berlińskiego. Baker sformułował to jako hipotetyczną możliwość – aby móc zaoferować Rosji coś za zgodę na zjednoczenie Niemiec.

– Owszem. Jednak Baker został szybko zganimy za to oświadczenie przez prezydenta George’a Busha, podobnie jak Genscher przez kanclerza Helmuta Kohla. Tzw. traktat dwa plus cztery, który Rosja podpisała i ratyfikowała, nie wspomina ani słowem o opcji „ani kroku dalej na wschód”.

Ale do rzeczy: Putin ma historyczną obsesję, osobliwie – na punkcie epoki carskiej, ale przede wszystkim ekspansji NATO na wschód. I używa historii jako broń. I przynajmniej w tym obszarze da się go rozbroić. Putin np. wielokrotnie powtarzał publicznie, że istniało porozumienie co

do tego, że NATO nie powinno rozszerzać się ani o krok dalej na wschód. Upraszcza w ten sposób bardzo skomplikowane kwestie dyplomatyczne, które znam bardzo dobrze. Wprawdzie nie jako świadek tamtych wydarzeń, ale ze studiowania dokumentów, które przez lata pozostawały tajne.

Złożyłam tysiące wniosków i zbadałam źródła archiwalne w USA, Wielkiej Brytanii, Niemczech, Francji, Polsce i Rosji. Przełom nastąpił w 2018 roku, kiedy otrzymałam dostęp do wszystkich dokumentów dotyczących spotkań między Bilem Clintonem i Borysem Jelcynem.

W tej sprawie zresztą zaprotestował Dmitrij Pieskow, rzecznik prasowy Kremla. Poskarżył się Fundacji Clintonów na ujawnienie tych akt. Wtedy pomyślałam sobie: „Kurczę, jeśli Kreml oficjalnie reaguje w taki sposób, to te akta muszą być naprawdę dobre”. I tak było.

Putin wybiera z historii wygodne dla siebie detale jak rodzyнки z ciasta. Historycy mogą w tej kwestii zaoferować Ukraincom trochę wsparcia.

No dobrze, więc dlaczego odpowiedź na pytanie, jak dokładnie doszło do ekspansji NATO na wschód, jest tak skomplikowana?

– Kiedy zaczęłam pisać tę książkę, pomyślałam: wszyscy będą mieli mi to za złe. Amerykanie, którzy twierdzą, że to kłamstwo, mit, że kiedykolwiek istniały porozumienia z Rosjanami, by nie rozszerzać NATO. Faktycznie, nie było żadnych porozumień, ale kwestia ta była omawiana – przez wysokich rangą przedstawicieli amerykańskiego rządu. Z kolei Rosjanie twierdzą, że istniały prawnie wiążące porozumienia, które nie zostały dotrzymane, a więc Rosja została zdradzona i oszukana. Tymczasem źródła są w tym względzie jasne: traktat „dwa plus cztery”, podpisany przez Rosję, umożliwiał rozszerzenie NATO. Niemniej jednak rozmawiano o innych opcjach. Można na to spojrzeć w ten sposób: jest poziom faktów historycznych i jest poziom psychologiczny, czyli to, jak negocjacje były postrzegane.

Należy żałować, że „Partnerstwo dla Pokoju” zainicjowane przez Billa Clintona w 1994 roku nie przetrwało?

– Choć nadal formalnie istnieje, nie stanowi już bramy do członkostwa w NATO, którą pierwotnie miało być. Swego czasu Rosja również dołączyła do tego partnerstwa. Model ten początkowo miał ratować twarz Moskwy i być do zaakceptowania przez kraje Europy Środkowej i Wschodniej, które miały zostać zbliżone do NATO dzięki tej

koncepcji – bez natychmiastowego oferowania im członkostwa.

Jednym z powodów, dla których Clinton wycofał się z „Partnerstwa dla Pokoju”, była presja polityczna w kampanii wyborczej w USA. I to w jej rezultacie wiele krajów Europy Wschodniej zostało przyjętych do NATO.

– Gdybyście panowie teraz nalegali, abym powiedziała, która z poszczególnych decyzji w tym procesie miała najpoważniejszy skutek, przede wszystkim broniłabym się przed nadawaniem przesadnego znaczenia poszczególnym czynnikom. Ale gdybyście nalegali dalej, powiedziałabym, że pewne wydarzenia w Rosji były wówczas decydujące.

Jakie?

– Z jednej strony Jelcyn poczynił pozytywne postępy, Rosja stała się demokracją w krótkim okresie, nie idealną, ale jaka demokracja jest idealna? Potem jednak popełnił szereg poważnych błędów. W 1993 roku wysłał czołgi pod parlament z powodu sporu o zmiany w konstytucji. Zginęło około stu osób. Wielu ludzi na Zachodzie było coraz bardziej zaniepokojonych: „Och, Rosja wcale nie jest aż taka stabilna”. Rozpoczęcie wojny w Czeczenii zaostrzyło te obawy.

Sam Clinton powiedział niedawno w wywiadzie: „Czuję się częściowo odpowiedzialny [za wojnę w Ukrainie], ponieważ przekonałem Ukrainę do rezygnacji z broni nuklearnej, żałuję mojej mediacji w tamtym czasie, która doprowadziła do Memorandum Budapesztańskiego”.

– Tak, ale Clinton rozpoznał wybuchowy charakter sytuacji już na szczycie NATO w styczniu 1994. W tamtym czasie Polska i Czechy desperacko pragnęły przystąpić do NATO. A Clinton powiedział polskiemu prezydentowi Lechowi Wałęsie: „Żelazna kurtyna upadła, mur zniknął, usunęliśmy linię frontu zimnej wojny. Dlaczego miałbym teraz rysować nową?”. W takim przypadku, dodał Clinton, pozostawilibyśmy Ukrainę poza nawiasem. A tego już wówczas nie chciał.

W swojej książce cytuje pani również Joe Bidena, który w 1997 roku ostrzegał, że ekspansja NATO na wschód stwarza nieobliczalne ryzyko nuklearne.

– Takie było wówczas myślenie w USA.

Nie możemy nie zadać w tym momencie tego pytania: jak ocenia pani panikę w obozie Partii Demokratycznej, która

zaowocowała jego rezygnacją i nominacją Kamali Harris?

– Biden jest dobrym prezydentem i uczciwym człowiekiem. Ale jego występ w debacie telewizyjnej był niepokojący. Trump to niezwykle niebezpieczny polityk, nie tylko dla demokracji w moim kraju, ale także dla całej polityki międzynarodowej. Niedawno w magazynie „Foreign Affairs” ukazał się artykuł napisany przez byłych urzędników Białego Domu z czasów prezydentury Trumpa. Napisali wprost, że jeśli Trump zostanie ponownie wybrany, USA naprawdę opuszczą NATO. Zgadzam się z tą tezą – a to byłaby katastrofa dla całego Zachodu.

Trump obwiniał Bidena za wojnę na Ukrainie i wezwał Europę do płacenia za większą pomoc dla Kijowa. Wciąż twierdzi, że błyskawicznie zakończy wojnę, jeśli zostanie wybrany. Jaki wpływ te obietnice będą miały na wybory w USA?

– Niewielki. Amerykańscy wyborcy są znacznie bardziej zainteresowani kwestiami inflacji i imigracji niż wojną na Ukrainie. Ubolewam nad tym, ale tak jest.

Rozmawiała pani z ponad setką polityków, którzy mieli wpływ na obecny kształt geopolityki. O co zapytałaby pani Putina, gdyby była okazja?

– Nie wiem, czy zadawanie pytań Putinowi ma sens. Ponieważ nie można wierzyć w szczerłość jego odpowiedzi. Dla mnie wyzwaniem było nawet podjęcie decyzji, jakie znaczenie nadać Putinowi w mojej książce. W czasie, gdy podejmowano kluczowe decyzje, które doprowadziły do ekspansji NATO na wschód, Putin jeszcze nie był szczególnie ważny. Wspominam go na początku książki, kiedy był jeszcze oficerem KGB w Dreźnie w 1989 roku, a także na końcu, w 1999 roku, kiedy był już premierem. To, co nie zmieniło się w nim przez ten czas, to oburzenie, że Rosja jest traktowana „protekcjonalnie”.

Jak można zakończyć wojnę na Ukrainie?

– Powinniśmy uczyć się z historii. W tym konkretnym przypadku Ukraina może wyciągnąć wnioski z historii Republiki Federalnej Niemiec. Bo może stać się RFN-em XXI wieku.

Ukraina powinna stać się krajem podzielonym?

– Spośród możliwych scenariuszy chciałabym zobaczyć znów Ukrainę w granicach z 1991 roku.

Z Krymem, Donieckiem i Ługańskiem, które Rosja zaanektowała z naruszeniem prawa międzynarodowego.

– Tak. Ale niestety mogą sobie też wyobrazić, że Rosjanie ponownie zbliżają się do Kijowa. Ukraińcy przegrywają – nie dlatego, że nie są wystarczająco waleczni, ale dlatego, że Zachód daje im broń w ilości niewystarczającej do wygrania wojny. Dostają tylko tyle, by z grubsza utrzymać swoje obecne pozycje – a czasem nawet nie to. Wierzę również, że pokój możemy osiągnąć tylko bez Putina.

Co pani przez to rozumie?

– Putin nie jest wiarygodny, więc nie negocjowałabym z nim.

Trzeba poczekać, aż Putin przemieni. Moją propozycją byłoby ustanowienie przez Ukraińców nowej, tymczasowej granicy, której można skutecznie bronić militarnie – ale która nie jest uznawana na arenie międzynarodowej i nie jest ostateczna. Podobnie jak 75 lat temu, gdy powstała Republika Federalna Niemiec, Ukraińcy mogliby dziś powiedzieć: „Dążymy do jedności naszego kraju, ale nie możemy go wykrawiać. Dlatego teraz tworzymy państwo, które jest celowo tymczasowe”.

W Republice Federalnej Niemiec obowiązywała prowizoryczna ustawa zasadnicza, a nie konstytucja, a Bonn było tymczasową stolicą. Wiem, że Ukraińcom trudno jest obecnie zaakceptować podobny scenariusz, co w pełni rozumiem. My na Zachodzie musielibyśmy zrobić wiele, aby przekonać ich do następującej tezy: „Nawet z tej tymczasowej Republiki Federalnej rozwinęło się coś trwałego – bogaty, silny kraj, który doświadczył cudu gospodarczego i stał się członkiem NATO”. Czy nie byłaby to dobra perspektywa na przyszłość także dla Kijowa? ●



Parlament Europejski

- Projekt WYBIERZMY NASZĄ EUROPE, współfinansowany jest przez Unię Europejską w ramach programu dotacji Parlamentu Europejskiego w dziedzinie komunikacji.
- Wszelkie informacje i wypowiedzi zawarte w tekstach przedstawiają wyłącznie poglądy ich autorów. Parlament UE nie uczestniczył w przygotowaniu materiałów, nie odpowiada za ich treść i nie może być pociągany do odpowiedzialności za pośrednie lub bezpośrednie szkody mogące wynikać z realizacji projektu.

REKLAMA

Kraj/34331242

**ZAPRASZAMY
NA PREMIERĘ
NA FESTIWALU
LITERACKI
SOPOT**

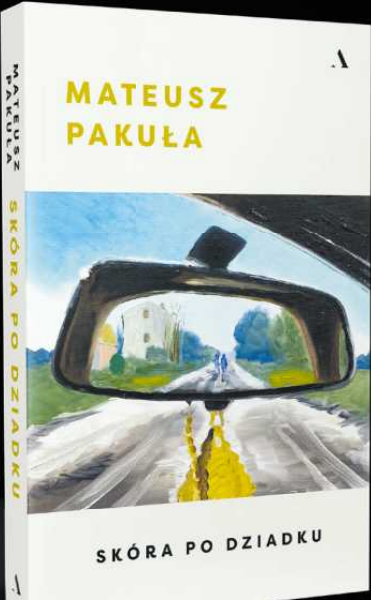
22 SIERPNIA
(czwartek)
GODZ. 15.00

Prowadzenie:
MICHAŁ NOGAŚ



JAK NA NAS LEŻĄ, DZIURAWIE NICZYM PAMIĘĆ, SKÓRY PO DZIADKACH?

Nowa książka autora „Jak nie zabiłem swojego ojca i jak bardzo tego żałuję”



To książka—lustro, w przeszłości odbija się teraźniejszość, w losach rodziny Mateusza Pakuły pobrzmiewa opowieść o skomplikowanych dziejach wielu naszych bliskich.

MICHAŁ NOGAŚ

Każda rodzina jest nieopowiedzianą do końca historią. Mateusz Pakula mierzy się z w swej nowej książce z kolejnym szalenie trudnym wyzwaniem.

AGNIESZKA HOLLAND

„Skóra po dziadku” to książka, w której źli bohaterowie bywają dobrzy, a dobrzy nie zawsze czynią dobro.

To książka, w której przenikają się pokoleniowe perspektywy, a wzajemne oceny z czasem ustępują miejsca rozumieniu relacji międzyludzkich.

MIKOŁAJ GRYNBERG

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYSZ NA  KULTURALNY SKLEP.PL WOLISZ EBOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA  **publio.pl**

 **Wydawnictwo
Agora**

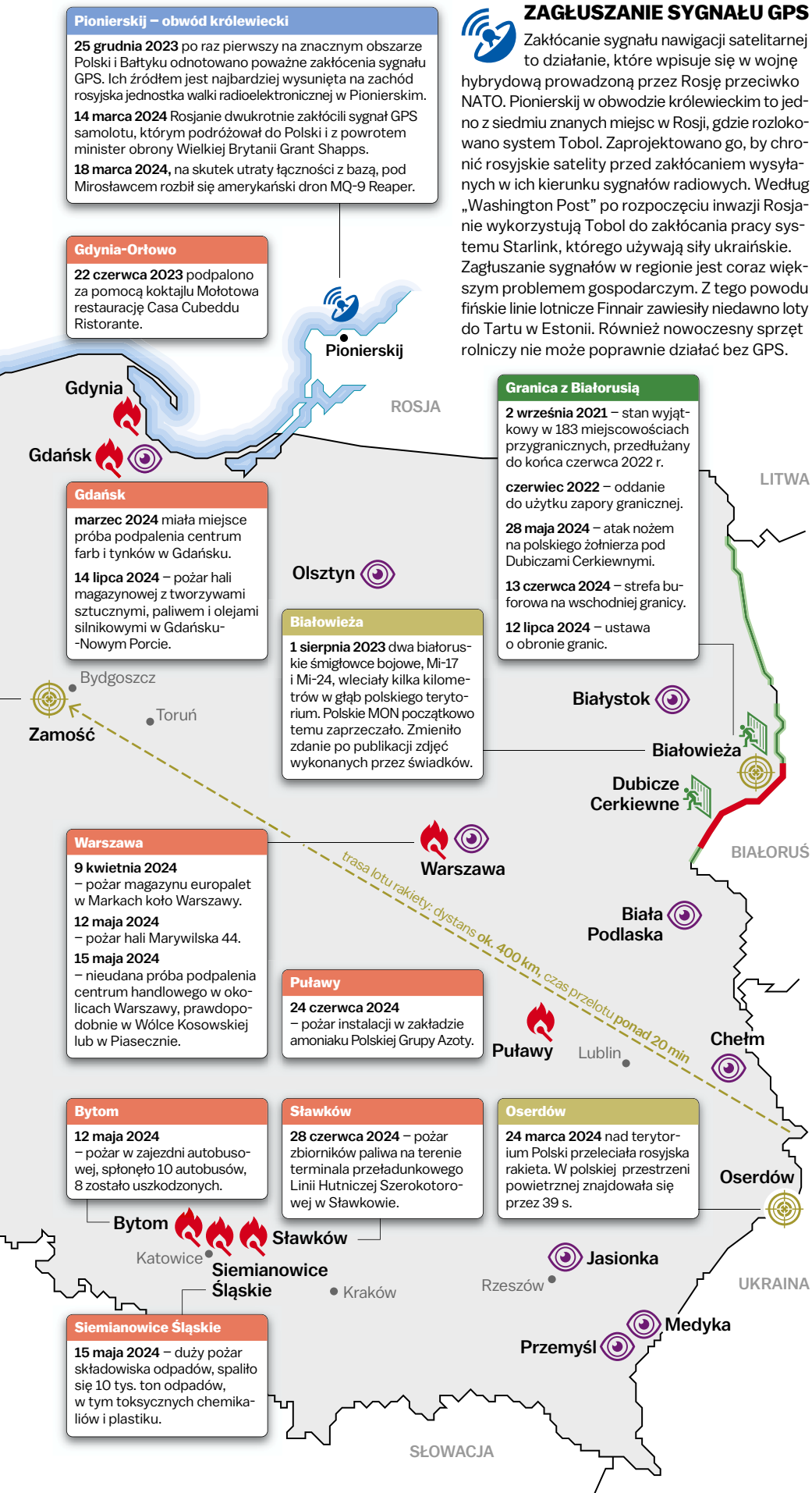
1RP

eprasa.pl 88be3b3032

Siewcy niepokoju

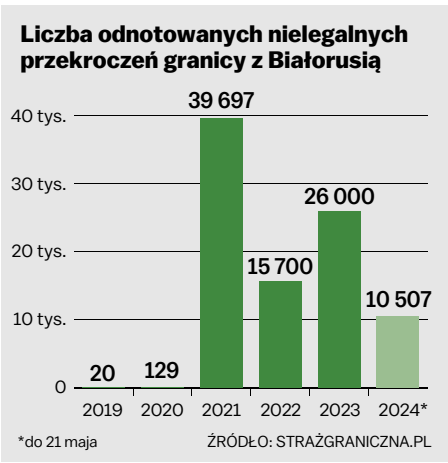
tekst wprowadzający **Bartosz T. Wieliński** infografiki **Wawrzyniec Świąciecki**

Zatrzymanie Rosjanina oskarżonego o szpiegostwo i korupcję. W kwietniu 2024 r. został skazany na 2,5 roku więzienia



KRYZYS MIGRACYJNY NA GRANICY Z BIAŁORUSIĄ

W czerwcu 2021 r. Unia Europejska nałożyła na Białoruś sankcje gospodarcze. Była to reakcja na fałszerstwo wyborcze Aleksandra Łukaszenki z 2020 r. Dwa miesiące później białoruskie KGB rozpoczęło operację „Śluza” polegającą na sprowadzeniu na Białoruś tysięcy migrantów z Bliskiego Wschodu zachęconych obietnicą łatwego przedostania się na teren UE, a następnie na nielegalnym przetrzucaniu ich przez granicę z Polską, Litwą i Łotwą. Celowo wywołany kryzys migracyjny na granicy to zemsta Łukaszenki za sankcje i wspieranie białoruskiej opozycji, ale też próba destabilizacji sytuacji w Europie przez podział zachodniego społeczeństwa i wzmocnienie ruchów skrajnie prawicowych i antymigracyjnych.



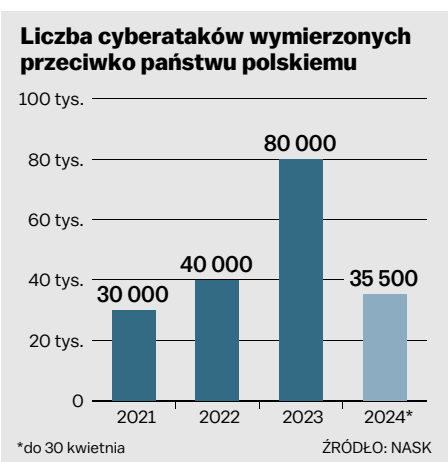
PROWOKACJE MILITARNE

W przeciwieństwie do tragedii, którą spowodowała przypadkowa eksplozja ukraińskiej rakiety w Przewodowie w listopadzie 2022 r., powtarzające się przypadki naruszania polskiej przestrzeni powietrznej przez rosyjskie pociski i białoruskie śmigłowce nie są przypadkiem. Potwierdza to zachowanie ambasadora Rosji Siergieja Andriejewa, który po ostatnim takim incydencie w okolicach Oserdowa ostentacyjnie zignorował wezwanie do polskiego MSZ. Przez tego typu prowokacje Rosja próbuje podważyć wiarygodność instytucji państwa polskiego i zasiać wątpliwości co do skuteczności jego działań. Dodatkowo chce zmusić rządzących do skupienia się na bezpieczeństwie własnego państwa i zmniejszenia pomocy dla Ukrainy.



CYBERATAKI

W zeszłym roku polskie MON podało, że od początku rosyjskiej agresji na Ukrainę liczba cyberataków na systemy związane z obronnością wzrosła w Polsce pięciokrotnie. Przeciwnik szukał słabiej zabezpieczonych systemów, np. małych firm uczestniczących w pomocy dla Ukrainy, by w ten sposób dotrzeć do informacji związanych z resortem obrony, lepiej zabezpieczonym przed tego typu atakami. Według analityków firmy Thales współpracującej z polskim NASK destrukcyjne operacje cyberwojskowe stanowiły tylko 2 proc. wszystkich incydentów. Większość dotyczyła administracji publicznej – 49 proc., transportu – 20 proc. oraz lotnictwa, energetyki i obronności – 12 proc.

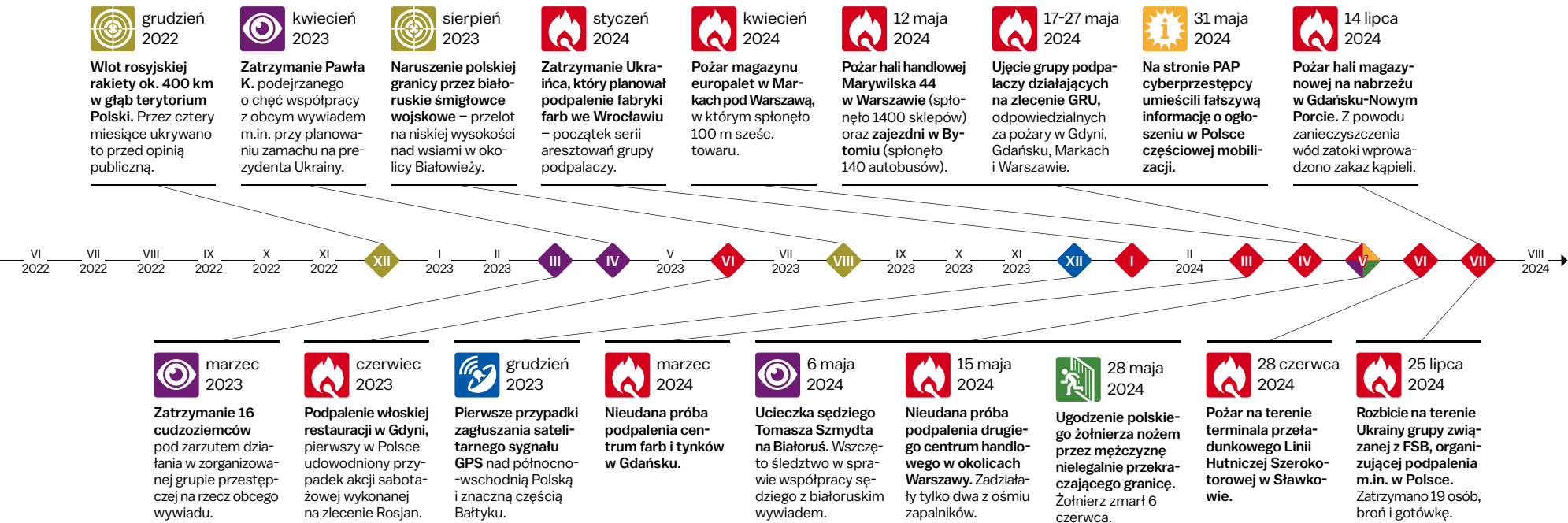


SABOTAŻ

Charakterystyczną cechą nasilającej się w krajach NATO rosyjskiej kampanii sabotażu jest posługiwanie się lokalnymi wykonawcami – amatorami. GRU werbuje ich przez rosyjskojęzyczne platformy, takie jak Telegram, oferując im od 10 do 15 tys. euro. Dzięki temu Rosjanie utrudniają wykrycie sprawców, jednocześnie tworząc wrażenie lokalnego oporu wobec wspierania Ukrainy. Faktem jest też, że na skutek wydalenia większości rosyjskich agentów z placówek dyplomatycznych krajów NATO po próbie zamachu na Siergieja Skipała w 2018 r. i po ataku na Ukrainę w 2022 r. Rosjanom brakuje własnej agentury.

DEZINFORMACJA

Jednym z elementów wojny hybrydowej jest tzw. wojna kognitywna, czyli walka o umysły. Toczy się ją głównie wirtualnej przestrzeni mediów społecznościowych za pomocą setek kanałów i tysięcy postów propagujących zmanipulowane lub nieprawdziwe informacje. Celem jest zasianie wątpliwości, wprowadzenie sprzecznych narracji, spolaryzowanie opinii i wywołanie niepokojów społecznych. Najbardziej spektakularnym przykładem dezinformacji w ostatnim czasie była informacja o rzekomej częściowej mobilizacji Polaków, która pojawiła się w maju na stronie PAP.



ŹRÓDŁA: PAP, STRAŻGRANICZNA.PL, NASK, NATO.INT, OKO.PRESS



Pod gruzami studia zostały
dziesiątki moich obrazów,
wszystkie wspomnienia.
I moja kotka Sarah.

Agnieszka Jucewicz

Oiała w czerni i bieli. Często z przemieszczonymi kończynami, jakby złamane. Oczy zwykle zamknięte. Usta wykrzywione w bólu albo w smutku, czasem ułożone do krzyku. W tle czołgi, samoloty, spadające rakiety. W rękach zwiędnięte kwiaty, tuleni zmarli bliscy, dzieci owinięte w prześcieradła. I ten sam podpis: „Wciąż żyję. Tusz na papierze Canson. 21 na 30 cm”.

Maisara Baroud, palestyński artysta z Gazy, od początku października zeszłego roku prowadzi graficzny dziennik z wojny, a kiedy to możliwe, zdjęcia swoich prac (jest ich w tej chwili grubo ponad 200) zamieszcza w mediach społecznościowych. To „wciąż żyję” to z jednej strony wiadomość dla przyjaciół i znajomych, a z drugiej – list do świata: „jesteśmy tutaj”, „to moje świadectwo”, „nie zapominajcie o nas”.

Z Baroudem kontaktuję się na początku czerwca. Ze względu na jego trudności z dostępem do internetu nasza korespondencja jest urywana. Czasem między jedną a drugą wiadomością mija wiele dni. Jego konta w mediach społecznościowych też wtedy milkną i zastanawiam się, czy jeszcze uda nam się wymienić parę myśli. Czy możliwe, że ta ostatnia wiadomość, ta ostatni grafika były już naprawdę ostatnimi? Po wielu tygodniach Baroudowi udaje się w końcu opowiedzieć swoją historię. Oto ona:

**Postanowiłem odłożyć swoją
żałobę na później.**

„Jak wyglądało moje życie przed wojną? W tym piekle ledwo jestem w stanie przy-

MÓJ PTAK SIMBA ODLECIAŁ W CIEMNĄ NOC



pomnieć sobie jego zarys. Razem z moją małą rodziną, żoną i dziećmi mieszkaliśmy w dużym domu w mieście Gaza na północy. Miał pięć pięter, w piwnicy znajdowało się moje studio.

Codziennie rano wstawałem i szedłem na Uniwersytet Al-Aqsa, gdzie pracowałem jako wykładowca na Wydziale Sztuk Pięknych. Dni spędzałem wśród studentów i moich kolegów i koleżanek, popołudnia z rodziną, a późnymi wieczorami pracowałem w studio w otoczeniu książek, albumów, niezliczonych rysunków, papierów, kolorów. Rysowałem, eksperymentowałem. Taka była moja rutyna, dopóki trzeciego dnia wojny izraelskie samoloty nie przerwały jej, równając nasz dom z ziemią. Dzień wcześniej zbombardowały słynny 12-piętrowy blok al-Watan Tower w dzielnicy Rimal, gdzie mieściło się moje biuro.

Straciłem wszystko. Większość swoich prac oraz tych podarowanych przez przyjaciół. Pod gruzami studia znalazło się całe moje archiwum, grafiki zgromadzone na przestrzeni ostatnich 30 lat. Straciłem narzędzia pracy, dziesiątki obrazów, setki szkiców i bibliotekę z ponad trzema tysiącami tytułów. Zniknął mój mały, prywatny świat i wszystkie wspomnienia. Ani z biura, ani ze studia nie zdołałem niczego ocalić. Pod gruzami domu została też moja ukochana kotka Sarah. A mój ptak Simba odleciał w ciemną noc, nie mówiąc mi, dokąd się wybiera, więc i jego bezpowrotnie utraciłem.

W jednej chwili pogrzebane też zostały moje marzenia, że oto niebawem będę mógł zebrać owoce 30 lat poświęcenia i ciężkiej pracy, że stworzę jakąś przyszłość dla swoich dzieci. Nie ma szkół, uniwersytetów, szpitali, domów, ulic. Nie ma przyszłości, a nasze wspomnienia uległy zniekształceniu.

Od początku tego koszmaru, przez siłę zdarzeń, które potem nastąpiły, i prędkość, z jaką to się działo, nie miałem ani chwili, żeby móc poczuć cały ten smutek i żal.

Albo inaczej – staram się nie dopuszczać, żeby rozpacz sączyła mi się do serca, bo inaczej by mnie pokonała.



RYS. MAISARA BAROUD (2)

Postanowiłem odłożyć swoją żalobę na później. Nie ma na to teraz czasu, ponieważ nie-szczęście, jakiego doświadczamy, jest więk-sze niż oplakiwanie rzeczy i ludzi, których utraciliśmy. Rozumie pani? Priorytetem jest utrzymanie się przy życiu. Potrzebujemy teraz energii na poszukiwanie jedzenia, wody i lekarstw. Na rozpacz przyjdzie jesz-cze czas.

Jakby ręka Boga ją zmiotła
Od pierwszych dni wojny wszystko uległo całkowitej zmianie i zaczęła się nasza tu-laczka w poszukiwaniu bezpiecznego schro-nienia. Naszej walce o przetrwanie towa-rzyszy dźwięk bomb, rakiet i wystrzałów z karabinów.

Najpierw, po tym, jak nasz dom legł w gruzach, schroniliśmy się u sąsiada, póź-niej u mojej siostry. Następnie, kiedy izrael-skie wojsko wydało nakaz opuszczenia mia-sta Gaza, ruszyliśmy na południe, do Wadi Gaza, gdzie przebywaliśmy krótko. Potem udaliśmy się do Deir al-Balah, gdzie zostali-smy dwa miesiące, zmieniając domy dwu-krotnie, dopóki nie zaczęła się izraelska in-wazja naziemna.

Z Deir al-Balah na piechotę posłaliśmy do Khan Younis, jednak i stamtąd wkrótce musieliśmy uciekać. Tym razem do Rafah, gdzie zostaliśmy przez pięć miesięcy. Prze-prowadzaliśmy się tam trzy razy ze wzglę-dów bezpieczeństwa.

Rafah miało być bezpieczną przysta-nią, jednak niedługo potem izraelska armia z niego również zrobiła swój cel i musieli-smy je opuścić. Jak tylko zaczęła się inwazja w Rafah, wróciliśmy do centrum Gazy i dziś znów jesteśmy w Deir al-Balah, które po na-szej kilkumiesięcznej nieobecności stało się nie do poznania. Okolica, w której wcześniej mieszkaliśmy, została kompletnie zniszczo-na, jakby ręka Boga zmiotła ją z powierzch-ni ziemi.

W sumie ponad 10 razy zmienialiśmy miejsce pobytu. Za każdym razem prze-strzeni jest coraz mniej, przez co codzien-ność robi się nie do wytrzymania. Obecnie mieszkamy z moimi braćmi, ich żonami, dziećmi, moją siostrą, jej mężem, ich dzieć-

**Maisara Baroud, palestyński
artysta z Gazy, prowadzi
graficzny dziennik z wojny.
Prace podpisuje: „Wciąż żyję.
Tusz na papierze Canson.
21 na 30 cm”**

mi i moją matką – 25 osób w niewielkiej części domu.

Przestrzeń urządziliśmy tak, że mamy je-den pokój, jeden salon, łazienkę i kuchnię. Jak wygląda w tej chwili moja rutyna? Nie ma jej. Panuje chaos. Każdy dzień jest niepodobny do kolejnego. Codziennie, jak tylko mogę, staram się dopasować do zmie-niających się okoliczności, ale kiedy tylko sytuacja się trochę stabilizuje, wygląda to mniej więcej tak: wstaję około 9 i idę kupić jedzenie oraz zdobyć wodę. Tak, żeby star-czyło nam jej do picia i do umycia się.

To wszystko zajmuje dużo czasu. Wie-czorem omawiamy różne sprawy – co się wydarzyło w ciągu dnia, jak się przygotować na jutro, kwestie związane ze stale rosną-cymi cenami. Rozmawiamy o zawieszeniu broni, o możliwym końcu wojny itd.

Kiedy inni kładą się spać, zaczynam rysować i robię to aż do świtu.

Jak najwięcej korzystam z kartek forma-tu A4. Głównie dlatego, że je łatwiej zabrać ze sobą, ale też dlatego, że nie mam specjal-nie przestrzeni na rysowanie. Kartki i tusz z wielkim trudem zdobyłem, wypytując o miejsca, które mogłyby mi sprzedać arty-kuły plastyczne, wszędzie, gdzie byliśmy.

Trzymam je w kartonowym pudle po da-rach żywnościowych. Sporą część prac uda-ło mi się wysłać poza Gazę. O ich przetrans-portowanie prosiłem osoby, którym udało się wyjechać. Resztę mam ze sobą.

Niektórzy mogą się zastanawiać, dla-czego w ogóle zależało mi na tym, żeby je wysłać. Naszym życiem rządzi w tej chwi-li konieczność ciągłego ustalania prioryte-

tów. Być może w pewnym momencie będę musiał porzucić teczkę z pracami na rzecz dźwignia wody albo materacy, czegoś istot-niejszego z punktu widzenia naszego prze-trwania. Powodem jest zwykły strach przed ich utratą. Tyle już straciłem...

**Położymy kwiaty na grobach
naszych ukochanych.**

Zdrowie psychiczne? Można je zachować je-dynie, nie rozpamiętując przeszłości. I przy-pominając sobie nieustannie, że wciąż jako rodzina stanowimy całość, że przynajmniej fizycznie nic nam nie dolega. Prawdą jest, że od 7 października warunki, w jakich żyjemy, są tragiczne, ale wierzę, że wszystko ma swój koniec.

Mnie osobiście w radzeniu sobie z tą sy-tuacją bardzo pomaga rysowanie. Dlatego ważne jest, żebym mógł robić to codzien-nie. Wygospodarowanie czasu i przestrzeni na to nie jest łatwe, ale to konieczność. Sta-ram się też nie rozmyślać za dużo o tym, co się dzieje. Nie umiem tego dobrze wytłuma-czyć, bo to nie jest apatia, nie jest to też rezy-gnacja... Po prostu trzymanie się życia i co-dziennych obowiązków i niezatrącanie się w smutku pomagają mi przezwyciężyć cier-pienie.

Wierzę, że to, przez co teraz przecho-dzimy, jest tymczasowe, że ostatecznie mi-nie, a kiedy to się stanie, stworzymy jeszcze piękniejsze życie. Odbudujemy to, co zosta-ło zniszczone.

Położymy kwiaty na grobach naszych ukochanych. I ruszymy dalej w naszą po-dróż.

Sztuka palestyńska od samego zarania jest jedną z form oporu i jako odpowiedzial-ny człowiek i artysta już na początku swojej drogi zawodowej podjąłem decyzję, że bę-dę głosem „palestyńskiej sprawy” i będę ja-sno mówił o okupacji, o bezprawnych aresz-towaniach, codziennych zabójstwach, mu-rze separacyjnym, niesprawiedliwościach, ucisku itd.

Uważam, że polityka i oficjalna propa-ganda straciły wiarygodność w oczach opi-nii publicznej, co skłoniło wielu do poszu-kiwania prawdziwych historii. A ponieważ sztuka jest w stanie dotrzeć do każdego, nie-

zależnie od języka, jakim ta osoba się posłu-guje, ma większe szanse przebić się do świa-domości ludzi z różnych stron świata.

I mam nadzieję, że ludzie to dostrzegą, dostrzegą prawdę o naszej rzeczywistości w tych rysunkach. Staram się oddać to, cze-go doświadczam, jak najlepiej, opowiadając o tym językiem sztuki.

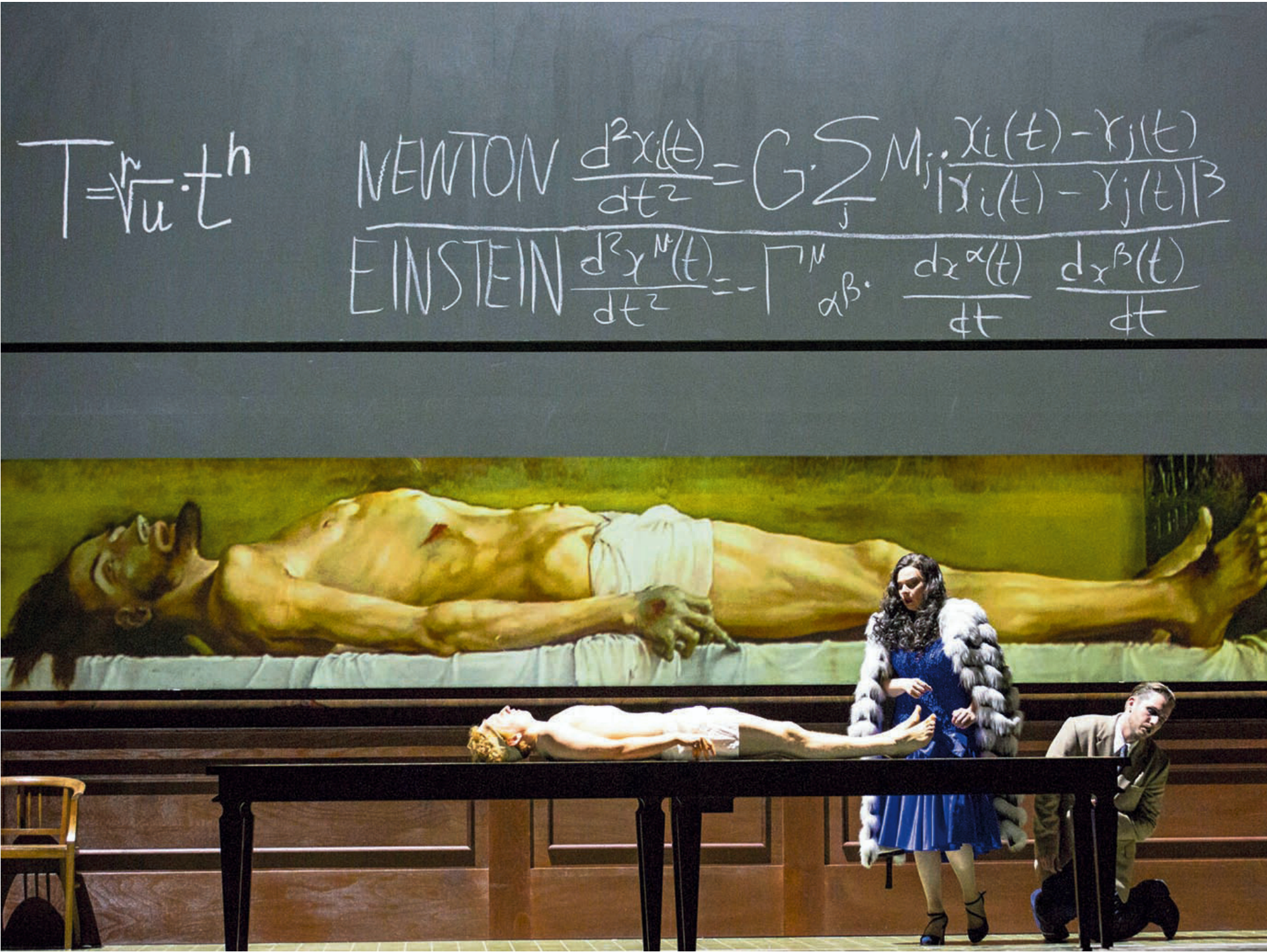
Cykl tych grafik ma dla mnie ogromne znaczenie. To moje wiadomości do przyja-ciół i znajomych, których mogę w ten spo-sób zapewnić, że mimo bólu, śmierci i co-dziennej destrukcji wciąż się trzymam.

Ale rysowanie podczas wojny jest też ak-tem sprzeciwu, sposobem na przełamanie oblężenia i strachu, wyzwaniem rzuconym murowi, barierom i nieustannemu zabija-niu. Udostępnianie moich prac do niczego odbiorcy nie zobowiązuje. Dostaje on jedy-nie wgląd w pewną rzeczywistość. Co zrobi z tą wiedzą? Decyzja należy do niego”. ●



Maisara Baroud

- (ur. w 1976 r.) – palestyński artysta i wy-kładowca na Wydziale Sztuk Pięknych na Uniwersytecie Al-Aqsa w Gazie. Licencjat uzyskał na Uniwersytecie Al-Najah w Nabulus, a tytuł magistra na Akademii Sztuk Pięknych w Zamalek w Kairze. Brał udział w licznych wystawach, m.in.: w Gazie, we Francji, USA, we Włoszech, w Japonii, Kanadzie, Egipcie, Jordanii i Indiach.
- Jego prace z cyklu „Wciąż żyję” można oglądać na Biennale w Wenecji na grupowej wystawie palestyńskich artystów pt. „Fore-igners in their Homeland” (Palazzo Mora, do 24 listopada), także na Instagramie na profilu @Maisarart



Anna S. Dębowska

Wojna wybuchła w Operze Paryskiej w 2006 r. – wojna o „Ifigenię w Taurydzie” Glucka. Krzyki, wycie, buczenie. Trzaskanie drzwiami. Niektórzy wołają „brawo!”, inni „precz!”. Ktoś wrzeszczy: „Reżyseria do wyrzucenia!”. „Idiota!” – odkrzykuje elegancki brunet w okularach. To dyrektor opery Gerard Mortier.

Na scenie kuli się sprawca całego zamieszania – drobny mężczyzna z wąską bródką i czupryną czarnych włosów. Krzysztof Warlikowski, reżyser z Polski. Debiutant w Operze Paryskiej – Palais Garnier. Po kilku realizacjach w Operze Narodowej w Warszawie. Na ustach błąka mu się uśmieszek. Być może tego się właśnie spodziewał.

Po premierze jego żona i scenografka Małgorzata Szczęśniak dostaje list, w którym anonimowa ręka pisze po francusku: „Madame Szczęśniak, niech się pani trzyma z dala od opery. My tego nie chcemy oglądać”. List przechowuje do dziś.

A przecież Warlikowski był już we Francji postacią dość znaną – jego „Dybuk” i „Krum” zrealizowane z zespołem Teatru Rozmaitości w Warszawie spotkały się z bardzo dobrym przyjęciem na festiwalu w Awinionie i w paryskim Bouffes du Nord. Operowa publiczność pokazała mu jednak żółtą kartkę.

Aria

PRZED KOŃCEM ŚWIATA

Warlikowski:
„W Idiocie widać katastrofę relacji obu płci, porozumienie między nimi okazuje się niemożliwe”

– To był bunt, który wynikał z totalnego niezrozumienia. A później naszą „Ifigenię” wznawiano w Paryżu wielokrotnie. Za każdym razem było coraz lepsze przyjęcie. Rok po premierze – tłum ludzi, nie można było dostać biletów. Wszyscy chcieli to „ohydztwo” zobaczyć – śmieje się Małgorzata Szczęśniak.

Pięć gwiazdek dla Warlikowskiego od „Financial Timesa”

Marzec 2023 r. W Opera Bastille grana jest dziesiąta paryska premiera operowa Warlikowskiego i Szczęśniak – „Hamlet” Ambroise’a Thomasa. Z widowiskowej, nieco trąceją myszką francuskiej grand opéra na motywach Szekspirowskiej tragedii, zrobili brawurowy spektakl o ucieczce w głąb jaźni i zacieraniu się granicy między poczuciem rzeczywistości i oblędem.

Do Opery Paryskiej są zapraszani niemal co roku – jeśli nie do pracy nad nowym spektaklem, to po to, aby przygotować wznowienie wcześniejszej inscenizacji. Publiczność czasem jeszcze zabuczy, ktoś wstanie, opuści salę, ale bilans jest dla polskiego reżysera korzystny.

Mówi siedzący obok mnie na premierze Francuz w podeszłym wieku, który pamięta batalię o „Ifigenię”: – Pani z Polski? Pewnie na Warlikowskiego? Proszę wybaczyć, nie przepadam za nim, ale nie omijam żadnej premiery. On zawsze ma coś ważnego do powiedzenia – kiwa głową.

– Publiczność – i w teatrze, i w operze – zawsze dzieliła się na jego fanów i na tych, którzy go nie cierpią. Krzysztof po prostu nikogo nie pozostawia obojętnym, nie można go pominąć – dodaje Piotr Gruszczyński, dawniej krytyk teatralny, dziś dramaturg wielu przedstawień War-

• „Pięć gwiazdek dla Warlikowskiego” - ocenił „Financial Times”, salzburską inscenizację opery „Idiota”. Sierpień 2024

FOT. BERND UHLIG / SALZBURGER FESTSPIELE

• Maciej Stuhr, czyli Józef K. w spektaklu „Konić” Warlikowskiego. 2010 r.

FOT. BARTOSZ BOBKOWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

• Scena ślubu w spektaklu „Dybuk” z 2003 r.

FOT. BARTŁOMIEJ SOWA / AGENCJA WYBORCZA.PL



Którego wieczoru Poniedziałek usłyszał z widowni polecenie: „Hamlecie, załóż majtki”



likowskiego, wicedyrektor ds. programowych Nowego Teatru w Warszawie.

„Pięć gwiazdek dla Warlikowskiego” – napisał na początku sierpnia tego roku „Financial Times”, oceniając salzburską inscenizację opery „Idiota”. Premiera odbyła się 2 sierpnia.

Z kolei „The New York Times” wymienia go wśród najlepszych reżyserów operowych, których nazwiska pojawiają się co roku na najważniejszych scenach i festiwalach muzycznych. Guth, Kosky, Castellucci, Carsen, Czerniakow, Kratzer, Stone, a na pierwszym miejscu Warlikowski, reżyser, który – jak pisze Joshua Baron – tworzy „wymagające intelektualnego wysiłku studia na temat relacji międzyludzkich”. „Zawsze kontrowersyjny, ale wychyleni z niecierpliwością” – taki jest polski reżyser w opinii zachodniej prasy.

Międzyplanetarna katastrofa w Monachium

W tym roku przeżywa dwa następujące po sobie triumfy – premiery.

Pod koniec czerwca w Monachium pokazał „Wielką makabrę” György’ego Ligetiego, muzycznie porywającą feerię pomyślnych instrumentalnych i wokalnych, a teatralnie – ocierającą się o wulgarność groteskową opowieść o ludziach, którzy rozpaczliwie boją się końca świata i równie rozpaczliwie go pragną.

Warlikowski znów sięgnął do świata filmu, nawiązując do „Melancholii” Larsa von Triera i tworząc obrazy międzyplanetarnej katastrofy, której ofiarą będzie Ziemia (projekcje filmowe Kamil Polak).

Zanim nastąpi apokalipsa, świat zwariuje. Zaleje go fala uchodźców, biednych ludzi bezradnych wobec bezdomności

i zagubienia, żona zaspokoi męża, wkładając mu rękę w odbyty, a politycy będą rywalizować, który lepiej wypada przed kamerami.

Warlikowski, Szczęśniak i ich dramaturg Christian Longchamp podstawili zachodniej publiczności krzywe zwierciadło. Przypomnieli także postać samego Ligetiego, jednego z największych kompozytorów XX w., który był zarazem niedoszłą ofiarą holocaustu i uciekinierem przed sowiecką interwencją w Budapeszcie w 1956 r.

„Idiota” w Salzburgu

Prosto z Monachium reżyser i scenografka udali się na próby do Salzburga. O Salzburgu mówi się, że jest „sceną świata” („Die Bühne der Welt”). To coś więcej, niż hasło reklamowe. Odbywający się tam gigantyczny festiwal Salzburger Festspiele to bez wątpienia najważniejsze w Europie wydarzenie teatralno-operowo-muzyczne. I właśnie na tym festiwalu Warlikowski przygotował „Idiotę” Mieczysława Weinberga, operę na podstawie powieści Fiodora Dostojewskiego.

„Idiota” to opera uznana dziś za arcydzieło, ale wystawiana niezwykle rzadko, pierwszy raz dopiero 17 lat po śmierci swego twórcy. Weinberg skomponował ją w latach 80. XX w. To kompozytor polsko-żydowski pochodzenia, urodzony i wychowany w Warszawie, którego wybuch wojny rzucił na wschód. Znalazł początkowo schronienie w Mińsku i Taszkencie, a później w Moskwie.

I znów Warlikowski mierzy się z postacią uciekiniera, kogoś ocalonego z katastrofy. Wiecznie obcego, zarówno w kraju, w którym się wychował, jak i w tym, któ-

ry stał się jego drugą ojczyzną. Weinberg czuł się mocno związany z kulturą polską, prosił rosyjskich znajomych, aby mówili do niego Mietek, kultywował polszczyznę, wiele utworów napisał do słów Juliana Tuwima. Gdy jednak w latach 60. przyjechał na krótko do Warszawy, poczuł się obco w nowym mieście wyrosłym na miejscu starego, które znał.

W 1953 trafił na Łubiankę pod zarzutem „żydowskiego burżuazyjnego nacjonalizmu”. Od pewnej śmierci uratował go wtedy wielki kompozytor Dymitr Szostakowicz, który sam cudem przetrwał czas stalinowskiego terroru. To właśnie Szostakowiczowi dedykowany jest „Idiota”.

Bohaterem jest Książę Myszkina, który naiwnie wierzy w „miłość i piękno”. Ostatecznie jednak sprowadza na siebie i innych nieszczęście.

W czasach, gdy Putin prowadzi wojnę w Ukrainie, nie można zapominać, że Dostojewski był Wielkorusem. Genialny pisarz wierzył, że tylko Rosja – ów „Chrystus narodów” – jest w stanie uratować zdegenerowaną Europę, a prawosławie to ratunek dla chrześcijaństwa. Polakami gardził, czemu dał wyraz w „Idiocie”, „Graczu”, „Wspomnieniach z domu umarłych”. Być może też z tego powodu realizację operowej adaptacji jego powieści szefowie Festiwalu w Salzburgu powierzyli przedstawicielom ludów niegdyś podbitych przez imperializm rosyjski: Warlikowskiemu i litewskiej dyrygentce Mirdze Grażynyt? -Tyli.

Ale „Idiota” to także opowieść o nienawiści mężczyzn do kobiet i ich niezależności – Rogożyn morduje Nastazję Filipówną, na której punkcie miał obsesję i nie mógł sobie poradzić z jej autonomią.

Mówi Warlikowski: „Dostojewski przedstawiał kobiety i mężczyzn jako wrogów. W »Idiocie« widać więc katastrofę relacji obu płci, porozumienie między nimi okazuje się niemożliwe”.

„Poskromienie złošnicy”, czyli tresura kobiet

Dzięki operze ma dziś uznanie, sławę i pieniądze, tym bardziej że budżety w teatrach operowych są dużo większe niż w teatrach dramatycznych.

Z Małgorzatą Szczęśniak przygotowuje po dwie premiery w roku, na przemian w Paryżu, Salzburgu, Monachium, a wcześniej także w Brukseli i Madrycie.

W Monachium przemienili „Kobietę bez cienia” w hipnotyczne widowisko. Hipnotyczny miał być też „Tristan i Izolda”, chociaż tutaj publiczność się przepelowała: jedyni byli zachwyceni, inni potwornie znudzeni tym, że na scenie „nic się nie działo”.

Jego „Elektra” w Salzburgu na otwarciu festiwalu w 2020 r. była agresywna, drażliwa, współgrająca z muzyką Richarda Straussa. W „Opowieściach Hoffmanna” w Brukseli zabrał widzów w świat hollywoodzkiego kina, robiąc przy tym aluzję do głośnego filmu „Joker” z Joaquinem Phoenixem.

Kiedyś twierdził, że „opera jest więzieniem”, ale chyba to więzienie polubił. Piotr Gruszczyński: – Z początku ograniczało go to, że utwór muzyczny jest niezmienny, integralny. Teraz widać, że rośnie w nim chęć współpracy z kompozytorem i librecistą. Uważnie szuka tego, co można w ich dziele odczytać.

Z buntownika, skandalisty, „genialnego ekscentryka”, jak pisał o nim kiedyś dziennik „Le Monde”, stał się klasykiem, autorytetem. Skandalista zrozumianny? Z biegiem lat coraz przenikliwiej pokazuje prawdę o człowieku. Kiedyś robił to w sposób drastyczny, a zarazem poetycki. Teraz – w bardziej wyrafinowany, podszyty sarkazmem, często autoironią.

Na początku kariery pochłaniał go odsłanianie społecznych tabu, zwłaszcza seksualnych, co drażniło pruderyjnych Polaków. W Szekspirowskim „Poskromieniu złošnicy” (1998, Teatr Dramatyczny m.st. Warszawy) złożonymi środkami scenicznymi pokazał tresurę kobiet do posłuszeństwa wobec mężczyzn. Uderzał w stereotypy religijne, seksualne, obyczajowe.

O tym były jego głośne przedstawienia w Teatrze Rozmaitości w Warszawie zrealizowane na przełomie wieków, gdy jeszcze nie przekroczył czterdziestki. Przedstawienia bardzo potrzebne w Polsce czasów wielkich przemian. Do tego stopnia, że gdyby nie było Warlikowskiego, należałoby go wymyślić.

W „Oczyszczonych” Sarah Kane (2002) psychopata homofob torturuje Carla, obcinając mu kolejne części ciała. Kochanek Carla Rod kładzie mu rękę na penisie. Obaj są nadzy. „Zawsze będę cię kochał” – mówi. W tym samym przedstawieniu kobieta o imieniu Grace postanawia przystoczyć się w mężczyznę. Widzi w lustrze własne odbicie z doszytym członkiem.

22 lata temu transpłciowość i korekta płci były w Polsce objęte silnym tabu społecznym, ale Warlikowski wyprzedzał czas i przemianę w mentalności Polaków.

Hamlet ugania się za Horacym

Nagość w teatrze też szokowała. Owszem, chętnie rozbierano aktorki, jak np. Maciej Englert Katarzynę Figurę w „Mistrzu i Małgorzacie” w stołecznym Teatrze Współczesnym (1987). Ale aktor w stroju Adama na scenie? To niedopuszczalne. Po każdej premierze wrzała konserwatywna część krytyki, a więc część dominująca.

Zarzucono reżyserowi brak oryginalności, kalki z teatru niemieckiego, a także sprzeniewierzenie się polskiej tradycji teatralnej, która zawsze wadziła się z Bogiem i historią. A Warlikowski nie zamierzał tego robić – interesowały go zupełnie inne rejony myślenia.

W 1999 r. jego główny aktor i ówczesny partner życiowy Jacek Poniedziałek grał Hamleta, tytułową rolę w jednym z najważniejszych przedstawień tamtych czasów.

Któregoś wieczoru Poniedziałek usłyszał z widowni polecenie: „Hamlecie, załóż majtki”. Ktoś groził zerwaniem przedstawienia, jeśli aktor nie zakryje penisa i pośladków.

Ten Hamlet odwracał się plecami do powinności nałożonych przez ojca. Robił to w rytmie transowej muzyki Pawła Mykietyna. Rozbierał się, ale chodziło nie o striptiz, lecz o teatralny znak odrzucenia konwencji i norm, wszystkiego, co zakłamuje człowieka. Ten Hamlet był też obojętny na wdzięki Ofelii, za to uganiał się za Horacym. Jego słowa: „Ofelio, idź do klasztoru” nabrały u Warlikowskiego nowego znaczenia.

W Szekspirowskiej „Burzy” reżyser przedstawił „bolesną i uniwersalną wizję świata”, ale dotknął też specyfiki polskich problemów. Coraz częściej nawiązywał do zagłady Żydów na ziemiach polskich. „Pamięć o Holocaulście określa moje myślenie o współczesności” – deklarował.

Otoczył się wiernym zespołem aktorów gotowych z nim na wszystko – Magdalena Cielecka, Małgorzata Hajewska-Krzysztofik, Ewa Dałkowska, Maja Ostaszewska, Magdalena Popławska, Jacek Poniedziałek, Andrzej Chyra i Mariusz Bonaszewski pracują z Warlikowskim od lat. „Jestem reżyserem uwikłanym w relacje z aktorami, niemal wszystko tworzymy wspólnie” – mówił.

Nie inaczej jest ze śpiewakami, a ma regularnie do czynienia z najlepszymi, choćby z Litwinką Asmik Grigorian, wspaniałym sopranem, zarazem niezwykle plastyczną aktorką, która bywa też tancerką i mimem. W zeszlórocznym salzburskim „Makbecie” Verdiego stworzyła wielowymiarową postać Lady Makbet, kobiety podszytej rozpaczą z powodu bezpłodności, co ma wpływ na wszystkie jej zbrodnicze decyzje. Ta Lady Makbet nie była potworem, pokonanie jej przez siły dobra nie przynosiło satysfakcji, budziło litość dla kogoś, kto wpadł w spiralę autodestrukcji.

„Ciesz się, że mogę pracować z Krzysztofem Warlikowskim. Zawsze interesują mnie motywacje postaci, w którą się wcielam, aspekty, które sprawiają, że mogę stworzyć kogoś nieoczywistego, niepodającego się łatwym ocenom. Z Krzysztofem mogę tak właśnie pracować” – mówiła Asmik Grigorian w wywiadzie dla austriackiej telewizji ORF.

J.M. Coetzee, Kafka, Proust, Krall – pozszywani

Warlikowski i Szczęśniak są tytanami pracy. Ze sobą – w teatrze i w życiu – są od blisko 40 lat. On był romanistą, ona po liceum plastycznym studiowała psychologię – spotkali się na początku lat 80. na wydziale filozofii Uniwersytetu Jagiellońskiego. Na pierwszej randkę umówili się do opery na „Rigoletto” Verdiego.

– On był ze Szczecina, ja z Krakowa. Wydawało się, że nic nas nie łączy, a łączyło wszystko – wspomina scenografka.

W końcu Warlikowski ukończył reżyserię w krakowskiej PWST (1992). Studiował m.in. pod kierunkiem Krystiana Lupy. Na początku drogi zawodowej zrealizował kilkadziesiąt spektakli, nie tylko w Polsce, ale też we Francji, Niemczech, Holandii i Włoszech.

Pole zainteresowań to tragedia antyczna, Szekspir, dramaturgia współczesna. Wyrósł w umiłowaniu antyku – na studiach uczył się greki starożytnej, łaciny, ale też angielskiego, francuskiego i włoskiego. To nie była ucieczka od świata – rzeczywistość u Eurypidesa czy Ajschylosa jest równie brutalna i okrutna, jak u Sarah Kane. Dzieci zabijają rodziców, rodzice mordują dzieci, wojna niszczy wszystkich.

To musiało pociągać reżysera, który od początku „budował swój teatr w głębokim mroku, na krawędzi otchłani, za którą

nie można już formułować żadnych pytań w ludzkim języku”.

Od momentu, gdy w 2008 r. został dyrektorem artystycznym Nowego Teatru w Warszawie, coraz częściej tworzy wielowątkowe adaptacje tekstów literackich, np. J.M. Coetzee, Franza Kafki, Marcela Prousta, Hanny Krall zszytych w teatralny scenariusz. Nie zniknęły z nich mrok i krew, ale bunt ustąpił miejsca wnikliwemu przyglądaniu się światu, ludzkim wyborom i postawom.

„Teatr był dla mnie narzędziem do użytkowania mądrości, drogą uczenia się. I w pewnym sensie jestem specjalistą »od życia«. Żeby stworzyć te historie, które pokazujemy, międlimy dużo faktów z naszej, też prywatnej, rzeczywistości, zanim dochozimy do czegoś, co jest przedstawieniem” – mówił 13 lat temu w rozmowie z Piotrem Najsztabem.

Adaptacjami były m.in. „(A)pollonia”, „Koniec”, „Francuzi”, „Odys. Historia dla Hollywoodu”, a ostatnio „Elizabeth Costello”, od kwietniowej premiery w Warszawie pokazana na kilku europejskich festiwalach, m.in. w Awinionie. Na przygotowanie takiej produkcji trzeba jednak więcej czasu – adaptacja to dla Warlikowskiego „nieustanne dłubanie” w materiale literackim. Dlatego premierę teatralną w Nowym przygotowuje raz na trzy lata.

Myszki Miki i King Kong

Minęły już czasy, kiedy pisano o nim, że nie nawidzi opery. Wcześniej go atakowano, bo dopowiadał treści librett, okalał akcję ramą retrospekcji, co wywrało poświęcone tradycją interpretacje, zmieniał akcenty, nadawał opowieściom inne sensy.

Nie podobało się, że chór i postaci dla niego nieistotne umieszczał w kanale orkiestrowym pod sceną, a do teatru żywego planu, w którym najważniejsze są muzyka i śpiew, wpuszczał projekcje filmowe – trzeba mu oddać sprawiedliwość, że nie.

Czasem niezrozumienie intencji reżysera prowadziło do sytuacji komicznych. Druga część „Parsifala” Wagnera zaczynała się u Warlikowskiego fragmentem filmu Roberto Rosselliniego „Niemcy – rok zero” – Trwała raptem 40 sekund, a już ktoś na widowni zdążył w tym czasie krzyknąć: „Gdzie jest nasza muzyka?!” – wspomina Piotr Gruszczyński.

Przeciętnego widza operowego ogarniała bezradność. Przyszedł słuchać, jak śpiewają primadonny, a Warlikowski serwował mu na scenie grupę Myszek Miki (warszawski „Wozzeck”) lub King Konga („Sprawa Makropulos” w Paryżu). Bardziej to uchodziło w repertuarze XX-wiecznym, ale i tak długo uważano go za barbarzyńcę w ogrodzie.

A przecież on uwielbia operę, potwierdza to Małgorzata Szczęśniak. Zawsze pociągał go ten gatunek jako połączenie wszystkich sztuk dające reżyserowi możliwość oddziaływania na wielu poziomach. Mieszkając za młodu we Francji, spędzał wieczory w operze lub balecie na przedstawieniach, które „odznaczały się pięknem i wycuciem stylu”.

– Pamiętam, jak w tej samej Operze Paryskiej, w której dziś reżyserujemy, kupowaliśmy za 5 czy 10 franków miejsca bez widzialności. Trzeba było swoje odstać w kolejce. A potem biegliśmy z balkonu na parter, na wolne miejsca z nieograniczoną widocznością, które wcześniej wypatrzyliśmy – wspomina Szczęśniak.

– Warlikowskiemu zarzucano nadmierną teatralizację opery. A przecież to właśnie jego wyrafinowane rozwiązania dramaturgiczne sprawiają, że postaci nabierają prawdy psychologicznej, a libretta zyskują głębię. Polifoniczne prowadzenie akcji, z artyzmem konstruowane na wielkich scenach europejskich teatrów operowych przez Małgorzatę Szczęśniak, przełamuje ograniczenia czasu i przestrzeni. Sprawia, że tak inscenizowana opera przewyższa możliwości narracji filmowej, bo ukazuje jednocześnie wiele planów i akcji – mó-



FOT. MAURYCJ STANKIEWICZ / NOWY TEATR

Przychodzili słuchać, jak śpiewają primadonny, a Warlikowski serwował im na scenie grupę Myszek Miki lub King Konga

wi Katarzyna Naliwajek, muzykolog z Uniwersytetu Warszawskiego.

Do wielbicieli polskiego reżysera należał Gerard Mortier, długoletni dyrektor Festiwalu w Salzburgu, a później Opery Paryskiej. To on powierzył Polakowi reżyserię „Sprawy Makropulos” Leoša Janáčka, a wcześniej „Ifigenii w Taurydzie”.

Mortier wypromował reżyserów, którzy przyszli do opery z filmu – Romeo Castelluccio czy Michaela Hanekego. Chciał ożywić operę, rozkruszyć skostniałą formę teatralną, w którą obrósł ten gatunek. Odważne rzeczy pokazywał w Salzburgu, chciał tego samego w Paryżu. Warlikowski był mu potrzebny, a dla polskiego reżysera spotkanie z Mortierem było łutem szczęścia. Otworzyło mu drogę do wielkiej kariery.

Ifigenia z domu starców

Małgorzata Szczęśniak twierdzi dziś, że „Ifigenia” wzbudziła furję Francuzów z powodu starości, którą pokazali na scenie. Na plakatach reklamujących spektakl paryżanie widzieli dwoje ludzi w podeszłym wieku, którzy trzymali w zniszczonych dłoniach fotografię z czasów młodości.

Ifigenia była jedną z pensjonariuszek domu starców na Łazurowym Wybrzeżu. Przeżywała jeszcze raz koszmar swego życia. Pamięć to zresztą jeden z naczelnych tematów Warlikowskiego, może wręcz obsesja.

Ale Polak – jak się okazało – naruszył tabu. I to na długo przed ukazaniem się książki Didiera Eribona „Życie, starość i śmierć kobiety z ludu” o „siwym zlocie”, niedoinwestowaniu opieki społecznej i skrytym lęku Francuzów przed osunięciem się w starość, na margines życia.

Ten zabieg odebrał też operze Glucka klasycystyczne ornamenty, kostiumy, balety. Na tym reżyserowi zależało.

– Jemu zawsze chodzi o to, aby myślowo stymulować ludzi. Widz ma współtworzyć przedstawienia, jego wyobraźnia ma zacząć się ruszać. Krzysiek nie atakuje widza złośliwie, tylko chce sprawić, żeby ten się otworzył. I przyszedł drugi raz z potrzeby rozmowy, dialogu – uważa Małgorzata Szczęśniak.

Kilka lat później, wystawiając w Paryżu „Króla Rogera” Karola Szymanowskiego, jedną z nielicznych polskich oper, którymi interesują się zagraniczne teatry, ponownie nawiązał do przemijania.

Była tam scena, w której przebrany za hipisa Pasterz (Dionizos) uczy króla Rogera współczucia. Ów człowiek sukcesu i splendoru wchodzi więc do basenu,

w którym pielęgniarki pomagają zniedołężniałym starcom poruszać kończynami. Roger zaczyna się rozglądać i widzieć – vanitas vanitatum.

Mówi sławny baryton Mariusz Kwiecień, wykonawca tytułowej roli w tej inscenizacji: – Pierwszy raz brałem udział w wydarzeniu, po którym połowa sali buczała na reżyserię, a druga połowa krzyczała »brawo!« dla śpiewaków i obie starały się wzajemnie przekrzyczeć.

Krytycy uznali spektakl za chaotyczny i tak zagmatwany, że nikt nie rozumiał, o co chodzi. Polscy recenzenci byli oburzeni podwójnie. Przyjechali z nastawieniem, że premiera to wielki dzień dla kultury narodowej. A tymczasem: gdzie tu mistycyzm, duchowość, metafizyka? – zapytali z żalem.

Oglądany po latach spektakl broni się bez tych kategorii.

W operze też chciał pokazywać głębsze motywacje postaci, odsłaniać strachy i słabości, którymi są podszyci. Analizie poddawał kompozytorów, twórców uświęconych przez tradycję arcydzieł. Na przykład „A Quiet Place”, jedyna opera Leonarda Bernsteina, to w jego inscenizacji opowieść o coming oucie słynnego dyrygenta-showmana. Warlikowski pokazał ją w Paryżu w marcu 2022, na półtora roku przed premierą filmu „Maestro” w reżyserii Bradleya Coopera.

Był tak odważny, jak odważni bywają niektórzy reżyserzy filmowi, np. Ang Lee. Nakręcona przez tego chińsko-tajwańskiego reżysera Oscarowa „Tajemnica Brokeback Mountain” (2005) to film o miłości na całe życie, bez której nie ma życia. O miłości dwóch kowbojów. Nie żadnych ekscentryków, ale zwykłych, ciężko pracujących fizycznie młodych ludzi. Film, który wyrócił do góry nogami amerykański mit o legendarnych bohaterach hollywoodzkich westernów.

W trzy lata po premierze „Brokeback Mountain” wybucha wojna w Operze Warszawskiej w Monachium. Połowa widowni wyje, połowa wiwatuje. Dyrygent Kent Nagano przerywa przedstawienie „Eugeniusza Oniegina” Piotra Czajkowskiego. Odkłada batutę, czekając, aż publiczność się uspokoi.

I znów sprawcą zamieszania jest Warlikowski. Wyciągnął wnioski z biografii Czajkowskiego, nawiązał do filmu Anga Lee. Operę skomponowaną na podstawie poematu Puszkina i rozgrywającą się w majątku ziemskim przeniósł w lata 60. XX wieku na amerykańską prowincję, gdzie Tatiana umiera z nudów, a Oniegin – z niezrozumiałej dla siebie miłości.

Zamiast pojedynku, w którym lekkomyślny bohater zabija swego przyjaciela Leńskiego, polski reżyser pokazał nieudane zbliżenie seksualne obu mężczyzn. Oniegin mierzyl z pistoletu do półnagiego Leńskiego, przerażony własną namiętnością.

Gdy rozlegały się dźwięki poloneza, otaczali go roztańczeni, rozebrani do pasa kowboje. Ta scena wywołała skandal, przede wszystkim dlatego, że nie była tą uroczystą sceną balową z III aktu „Oniegina”, na którą widzowie zawsze czekają.

– Inszenizacje Krzysztofa budziły kontrowersje z powodu jego ogromnej wolności myślenia. Świetnym przykładem tej swobody skojarzeń jest właśnie scena z kowbojami z „Brokeback Mountain” – mówi Piotr Gruszczyński.

– Czy Warlikowski się zmienił, czy ma teraz swój czas wielkiej syntezy? – dopytuję.

– Widzę to inaczej – odpowiada Piotr. – To my, widzowie, nauczyliśmy się więcej o jego teatrze. Łatwiej nam z tym teatrem obcować. O jego sile świadczy to, że w Monachium do dziś grają tego „Oniegina”. I zawsze jest sold out.

Ale dziś scena z kowbojami nie może już robić takiego wrażenia. Jest bardziej oswojona, bezpieczna dla widza. Bo to widz się zmienił, Krzysztof od początku idzie tą samą, własną drogą. ●

Patoreaktywacja

Tym razem nie przez Matę, ale przez Kaczyńskiego i PiS



Michał Rusinek

PiS postanowiło przypuścić atak na Donalda Tuska i jego rząd za pomocą wyrazów z przedrostkiem „pato-”, przy okazji stając w szranki z Matą, który w 2019 r. rozpropagował ten przedrostek w piosence „Patointeligencja”, a rok później w utworze „Patoreakcja”. Piosenkach nieco już zapomnianych, a przecież przedrostek jest piękny, grecki i niedobrze by się stało, gdyby odszedł w niepamięć.

Owszem, żyje on ciągle w lewicowym dyskursie antydeweloperskim w takich wyrazach jak „patodeweloperka” (termin ten wprowadził ponoć Jan Śpiewak), „patoosiedla”, „patourbanistyka” czy ciekawy fonetycznie „patoparking”. Nawet jeśli dodamy do tego „patostreamerów”, „patoinfluencerów” czy „patocelebrytów”, to i tak jest to życie dość wąsko zakrojone. Czym innym jest 69 milionów odsłon na YouTube „Patointeligencji” i 89 milionów „Patoreakcji”.

10 sierpnia PiS zorganizowało konferencję prasową, która na razie ma 20 tysięcy wyświetleń, ale kiedy piszę te słowa, minęła ledwie doba, od kiedy została ona umieszczona

na YouTube. Na konferencji tej ogłoszono, że uruchomiona została strona internetowa www.stoppatowladzy.pl. Pierwszy przemawiał Jarosław Kaczyński i powiedział: „Dzisiaj już jest jasne, że ta władza, którą [Tusk] zyskał, to jest patowładza. I ta patowładza tę swoją patologię nieustannie pogłębia”, przy okazji przypominając znaczenie przedrostka, który oznacza to, co chore, nieprawidłowe, zdegenerowane czy gorszące. Czyli – patologiczne. Potem prezes wspomniął o konferencji Tuska, na której oszacował on nadużycia finansowe za czasów rządów PiS-u na kwotę 100 miliardów złotych. Kaczyński nazwał tę informację wprowadzie nie patopropagandą, ale „fałszywą propagandą” oraz „oszukańczą kampanią o złodziejach”, podchwytywaną przez „lumpenproletariat”, i zasadniczo przyjął postawę defensywną, w jego przypadku dość rzadką.

Po Kaczyńskim przemawiał Mariusz Błaszczak i też odniósł się do rzeczonej konferencji: „13 grudnia powstał rząd patologiczny. Wczoraj mieliśmy przykład takiej sceny, jak zachowuje się patowładza. Takiej sceny, która ma rys wyraźnie ruski, moskiewski”. Oto bowiem Tusk zapowiedział, że 200 urzędników będzie walczyć z opozycją. A to jest „czysta patologia”. Rozliczanie PiS-u to łamanie prawa, które ma wyeliminować opozycję. Natomiast nad zarzutami ze strony zwolenników i sympatyków PiS należy się pochylić. A są to zarzuty, że „nie jest dość aktywne, jeśli chodzi o wykazywanie patologii dzisiejszej władzy”. W odpowiedzi PiS powołało zespół „stop patowładzy”. Następnie głos zabrał poseł Zbigniew Bogucki, przewodzący wspomnianemu zespołowi. Zdawał sobie sprawę, że stoi przed nie-

powtarzalną szansą, jak olimpijczyk w finale. Postanowił więc dać z siebie wszystko i sprawić, że jego przemówienie zapadnie głęboko w pamięć, zwłaszcza prezesowi. Oprócz użycia wielu wyrazów z przedrostkiem „pato-” posługiwał się kilkakrotnie określeniem „Tusk i spółka”, zapewne będącym trawestacją tytułu animacji „Potwory i spółka” (bo raczej nie tytułu książki Kiplinga „Stalky i spółka”). Ale nie tylko. Przyjrzyjmy się jego retorycznej strategii: „Patorząd Tuska i spółki jest niezwykle żywy, jeżeli chodzi o propagandę (...), ale jest martwy, jeżeli chodzi o program, jest martwy, jeżeli chodzi o założenia merytoryczne, jest martwy, jeżeli chodzi o sprawczość, jest martwy, jeżeli chodzi o rozwiązywanie problemów Polaków, jest martwy wreszcie, jeżeli chodzi o realizowanie swoich obietnic”. Rzuca się w oczy anafora, ale przede wszystkim zdumiewa komiczna drastyczność pary przeciwstawnych znaczeniowo metafor: „żywy” i „martwy”. Chodziło zapewne o aktywność i bierność, ale widocznie wydały się one Boguckiemu za mało wyraziste. Oznajmił, że „amok rozliczeń” jest „powodowany chęcią zemsty” i ma być „swego rodzaju zasłoną dymną” i „pudrowaniem tej martwicy, pudrowaniem tego trupa i tego braku działań”. Pan poseł rozsunął nam więc przed oczami wizję Tuska uwijającego się w amoku z pudernicą nad trupem swojego rządu. Tak gwałtownie, że chmura pudru zasłania nam prawdziwy widok. Takiej wizji nie da się, jak to się teraz mówi, odzobaczyć.

Na tym nie koniec makabry. Na stronie www.stoppatowladzy.pl znajduje się bowiem formularz, za pomocą którego można „złożyć informację o nadużyciach pato-

władzy”. Cóż, składa się raczej zeznania, ale mniejsza o to. Można tam też poinformować o „takich tłustych kotach Tuska, którzy dzisiaj skleili się ze spółkami skarbu państwa”. Domyślam się, że na Kaczyńskim wizja sklejania kotów musiała zrobić piorunujące wrażenie. Pudrowanie trupa to pestka przy takim okrucieństwie. Bogucki powtórzył jednak, że stoi po stronie życia: „Ta strona będzie żywa, będzie się rozwijała”, i dodał: „Pokażemy, jakie pieniądze są rozdawane znajomym i znajomym Królika”. Jeśli miał to być cytat z „Kubusia Puchatka”, to powinien brzmieć „krotnym i znajomym Królika”. Jeśli zamierzona trawestacja, to rodzi się pytanie, czy poseł Bogucki nie ma aby omamów i nie widzi w zarządach spółek skarbu państwa – oprócz znajomych Tuska – także znajomych Królika, czyli Puchatka, Klapouchego i Prosiaczka. Tygryska mógłby zobaczyć co najwyżej na czele jednego z ministerstw.

Bogucki zakończył sprytnym – acz, jak się okazało, ryzykownym – odwołaniem do olimpiady: „Już niebawem polscy siatkarze wyjdą powalczyć o olimpijskie złoto, a my zachęcamy Polaków i Polki, żeby także z nami wyszły na to boisko i żebyśmy zawalczyli z patowładzą. Żebyśmy skoczyli do takiego potrójnego bloku i zablokowali te ataki Tuska i spółki, patorządu”. Znowu powiało horrorem: skoro „patowładza” jest martwa, to widzimy teraz drużynę zombi, potwory i spółkę, które grają z nami w makabryczną siatkówkę. Znamy jednak fabuły filmów o zombi: zwykle dobrze się kończą. W przeciwieństwie do meczów siatkówki, które kończą się różnie, ale wtedy są to patomecze na patoolimpiadach.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34328807

ZAMÓW DO 24 SIERPNI

PRENUMERATĘ TECZKOWĄ NA WRZESIEŃ
W PREZENCIE KSIĄŻKA* ORAZ DOSTĘP DO WYBORCZA.PL**

CODZIENNIE

CENA
159,90 ZŁ***

* Książka do odbioru od 17 września w punkcie sprzedaży ** Aby otrzymać dostęp do Klubowego pakietu prenumeraty Wyborcza.pl oraz do archiwum tekstów „Wyborczej”: 1. Skontaktuj się z naszą infolinią, tel. 22 555 54 55 (od poniedziałku do piątku w godz. 8-17). 2. Podaj numer dowodu zakupu prenumeraty teczkowej. *** Cena sugerowana



KRISTEN STEWART

Onura Snieżka

To mogła być jeszcze jedna smutna historia o dziecięcej aktorce, przeżutej i wyplutej przez Hollywood.

Maja Staniszevska

Przez Kristen Stewart zapaliłam papierosa. Nie palę, nigdy nie paliłam, ale gdy prawie dekadę temu w filmie „Sils Maria” Stewart, która grała asystentkę gwiazdy francuskiego kina (w tej roli autentyczna gwiazda francuskiego kina Juliette Binoche), paliła papierosy, wyglądała tak cool, że zapragnęłam być jak ona. Ktoś ze znajomych mnie poczęstował, zaciągnęłam się, rzuciłam okiem na szybę, w której odbijałam się z papierosem w ręce. I go zgasiłam. Nie wyglądałam cool. Wyglądałam bardzo not cool.

Cezar dla dziwnej Amerykanki

Kristen Stewart za tamtą rolę dostała Cezara, najważniejszą francuską nagrodę filmową. Jako jedyna jak na razie amerykańska aktorka w historii. Za to, że wyglądała cool. Za to, że dotrzymywała kroku Binoche. I też trochę zapewne za to, że zdecydowała się wystąpić w filmie, który opowiadał jej historię. Historię aktorki, od której widzowie czegoś oczekują, a ona nie zamierza im tego dać. Zamierza robić to, na co sama ma ochotę.

„Sils Maria” była pierwszym filmem w naszych kinach po tym, jak aktorka zamknęła rozdział zwany sagą „Zmierzch”. Grała w niej Belle, introwertyczną nastolatkę, która zakochuje się z wzajemnością w wampirze. Przez pięć lat pięć kolejnych filmów z serii dominowało w kinach. Twarze Stewart i partnerującego jej Roberta Pattinsona były wszędzie. Byli też parą w życiu prywatnym i paparazzi nie odstępowali ich na krok. Łącznie saga „Zmierzch” zarobiła 3,3 mld dol.

Stewart mogła się pławić w blasku fleszy i zarabiać miliony w kolejnych hollywoodzkich superprodukcjach. Ale w blasku fleszy nie czuła się dobrze, w wywiadach wyglądała na skrzepowaną i wypadła nieco dziwnie (w czym zresztą wtórował jej Pattinson). Druga kinowa franczyza, w której miała być gwiazdą, nie wypaliła, bo Stewart do roli Królowej Śnieżki średnio się nadawała. Na dodatek paparazzi uchwycili, jak namiętnie całuje żonatego, dużo od siebie starszego reżysera filmu „Królowa Śnieżka i Łowca” i wybuchł skandal. Mimo że film zarobił prawie 400 mln dol., w kolejnej części Stewart już nie zagrała.

O romansie, a przede wszystkim o tym, że „zdradziła Pattinsona”, w 2012 roku szeroko dyskutowano w mediach i portalach społecznościowych. Do dyskusji włączył się nawet, wtedy wciąż jeszcze tylko dziwny przedsiębiorca i gwiazdor reality show, Donald Trump. Pisał o Stewart 11 razy na Twitterze/X, głównie „radząc” Pattinsonowi, by jej nie wybaczał i nie pozwalał do siebie wrócić (Pattinson go całkowicie zignorował). Do tego wątku wrócimy.

Gwiazda „Zmierzchu” wybiera kino niezależne

Stewart, wtedy jedna z najlepiej zarabiających aktorek na świecie (w 2012 roku była nawet, z 34 mln dol., na szczycie listy „Forbesa”), miała zupełnie inny pomysł na swoją karierę. Jeszcze między kolejnymi częściami sagi „Zmierzch” zaczęła grać w niezależnych filmach. I robi to do dziś. W styczniu na festiwalu kina niezależnego Sundance pokazała swoje filmy numer 11 i 12 i dostała Visionary Award. Nie ma drugiej takiej aktorki.

Jednym z tych filmów było „Love Lies Bleeding”, szalony, krwawy, ekscytujący lesbijski romans, który właśnie wszedł do naszych kin.

Jego reżyserka Rose Glass, która napisała go razem z Polką Weroniką Tofilską (reży-

serką m.in. kilku odcinków „Reniferka” Netfliksa), relacjonowała ze śmiechem dziennikarzowi „Variety”, co Stewart powiedziała, gdy przeczytała scenariusz: „Czasem dostajesz propozycje roli i myślisz: nie wiem, czy potrafię to zagrać, a kiedy przeczytałam twój scenariusz, pomyślałam: kogo ona niby, kurwa, znajdzie, żeby jej to zagrał?”.

Zaintrygowało ją, jak otwarcie queerowy był to projekt, także na poziomie odczuć, emocji, a nie tylko treści. Ale też jak mekska, abnegacka i spragniona drugiej głównej bohaterki jest jej postać. Jak zupełnie inna od granych przez nią wcześniej. I jak bliska jej samej.

Kristen Stewart, która dorastała na oczach widzów, na ich oczach również odkrywała siebie. Gdy w końcu odkryła swoją orientację i wcale się z nią nie ukrywała, ci sami widzowie długo nie chcieli uwierzyć, na co patrzają.

Dziecko Hollywoodu

Aktorką została z przypadku. Wychowywała się na przedmieściach Los Angeles z rodzicami, którzy pracowali w przemyśle rozrywkowym – ojciec był kierownikiem planów m.in. Oscarów, programów reality czy talk-show, matka zajmowała się pilnowaniem ciągłości w scenariuszach i montażu. Młoda Kristen



niej chwili, tak żeby wypadły naturalnie. Bała się zawieść ekipę i współpracowników, nabawiła się więc stresowych reakcji: chciało się jej wymiotować, pociły się jej ręce. Ale też nic nie sprawiało jej większej satysfakcji niż zrobienie wrażenia na dorosłych, wzruszenie ich lub rozśmieszenie.

Chciała tego doświadczać jak najczęściej.

Dojrzewanie na oczach milionów

Jednocześnie, jak wspomina w marcowym numerze „Rolling Stone”, którego okładka z nią trzymającą rękę w majtkach i podpisem „Kristen Stewart. Nieocenzurowana” oburzyła amerykańskich konserwatystów, zaczął się okres dojrzewania i wszystko się skomplikowało. Widziała, jak różnie koledzy traktują jej „dziewczęce” koleżanki, a jak ją.

– Moja seksualność jest płynna. Obejmuje całe pieprzone spektrum i myślę, że wtedy też tak było. Ale też wtedy naprawdę chciałam być normalna i seksowna, więc pomyślałam: „Spoko. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, aby spróbować, kurwa, się dowiedzieć, jak wyglądać jak dziewczyna, i sprawić, by faceci mnie polubili”. To wszystko. To całkowicie banalna historia – mówiła w magazynie.

Grała w kolejnych filmach, m.in. „Wszystko za życie” czy „Kraina przygód”. W tym drugim partnerował jej siedem lat starszy Jesse Eisenberg (grali później razem w „American Ultra” i „Śmietance towarzyskiej” Woody’ego Allena), który już wtedy czuł, że ma do czynienia z gwiazdą. – Enigmatyczna jakość połączona z naturalnością, połączona z emocjonalną głębią – mówi o Stewart.

Rzadkie powody do uśmiechu

A potem Catherine Hardwicke, której powierzono ekranizację popularnej powieści dla młodzieży „Zmierzch”, zobaczyła jej tęskne spojrzenia rzucane w kierunku Emila Hircha, głównego bohatera „Wszystko za życie”,



• Gwiazdy „Zmierzchu”, Kristen i Patison, wybrały kino niezależne

na. Jej zdjęcie służy nawet za ilustrację tego terminu w Wikipedii. Nie da się ukryć, Stewart po prostu nie uważa, że powinna się uśmiechać na zawołanie, jej bohaterki też rzadko mają powody do uśmiechu. Ale gdy już to robią, często nieco krzywo czy kpiarsko, ma się wrażenie, że na ekranie zrobiło się jaśniej.

Stewart miała jednak dobre powody, żeby się nie uśmiechać: przez lata towarzyszyły jej stany lękowe. Musiała znać drogę do łazienki w każdym miejscu, w którym się znajdowała, bo wciąż zbierało się jej na wymioty. Dłonie zaciskały jej się w pięści, których nie była w stanie otworzyć. Jak na Cesarach, gdzie nie była w stanie wziąć nastrody od wręczającego. Miała też długi etap bezsenności, od której wręcz się uzależniła. – Kochałam być smutna i czuć się głównianie – mówiła w „Rolling Stone”.

Spojrzenie Diany, zagonionej sarenki

Wyrosła z tego. Po drodze dzięki rolom w niezależnych produkcjach zyskała reputację ak-

Nie robiła coming outu, po prostu na zdjęciach paparazzich zamiast za rękę z mężczyzną szła za rękę z kobietą

sluchala ich opowieści z pracy. Energia planu wydawała się jej pociągająca.

Po raz pierwszy wystąpiła przed publicznością jako ośmiolatka, śpiewając chanukową piosenkę (jej matka została adoptowana przez żydowskiej małżeństwo, rodzina ojca wywodzi się z Wysp Brytyjskich) w szkolnym przedstawieniu. Niedługo później ktoś z rodziców zapraszał na warsztaty castingowe dla dzieci i ku zaskoczeniu jej mamy Stewart poprosiła, żeby ją zapisać. Dostała rolę w reklamie Porsche, a zaraz potem rolę córki Patricii Clarkson w niezależnym filmie „Witamy w naszej dzielnicy”.

Reklamę zobaczył w telewizji David Fincher, który obsadził Stewart w roli córki Jodie Foster w swoim thrillerze „Azyl”. – Wszyscy wokół mówili wtedy: „Słuchaj, jeśli ten dzieciak chce to dalej robić, to absolutnie ma predyspozycje, ma wrażliwość” – wspominał Fincher w „Rolling Stone”. Gdy o aktorstwo pytano 11-letnią Stewart, Jodie Foster, która sama zaczynała jako dziecięca aktorka, odpowiadała za nią, że ma mnóstwo czasu i nie musi decydować.

Stewart na jakiś czas wróciła do szkoły, ale kino się o nią upominało, więc przeszła na nauczanie indywidualne. Nigdy nie studiowała aktorstwa, po prostu grała. Odkryła, że woli swoich kwestii uczyć się w ostat-

i zaprosiła na casting do roli Belli.

Trafiła w dziesiątkę i cały film zbudowała wokół niej.

Do legendy Hollywood przeszło, że kandydatów do roli wampira Edwarda reżyserka zapraszała do domu, by zagrali ze Stewart kilka scen, przede wszystkim pocałunku. W tę ostatnią Pattinson się tak zaangażował, że spadł z łóżka. I reżyserka, i Stewart uznały, że to musi być on.

Stewart nie chciała grać Belli tak, jak wyobrażali to sobie producenci, czyli jak bohaterki klasycznego cukierkowego młodzieżowego romansu, a Pattinson jej w tym wtórował. Bella miała być jak w książce: dziwna, nieco samotna, nieco niezadarna, a jednocześnie pełna tajemnic. Ten dystans aktorka prezentowała także w rzeczywistości.

Dlatego, choć na filmy do kin szły tłumy, nie brakowało komentarzy, że Stewart nie umie grać, że jest aktorką jednej miny i że w realnym świecie jest naburmuszona i się nie uśmiecha. A przecież każdej dziewczynie – w chwili premiery filmu Stewart miała 18 lat – czy kobiecie od razu ładniej z uśmiechem, prawda?

Z czasem to się nasiliło.

Stewart zaczęto zwracać uwagę, że ma „resting bitch face” – wyraz twarzy, jakby była wiecznie znudzona czy niezadowolono-

torki odważnej i ciekawej. Także ciekawej dla widza. Czekam na jej kolejne role, bo wiem, że mnie zaskoczy, wybierze coś nieoczywistego.

Na przykład zagra córkę opiekującą się matką, która choruje na alzheimera w filmie „Motyl. Steel Alice”. Albo osobistą stylistkę szukającą połączenia z duchem zmarłego brata i samej jak duch przemieszczającą się po Paryżu w „Personal Shopper”. Albo zostanie „Aniołkiem Charliego”, zupełnie innym od koleżanek z lat 70. Albo zagra nieśmiałą lesbijkę, która zaproszona na Boże Narodzenie do domu swojej dziewczyny odkrywa, że ta nie tylko nie powiedziała rodzicom, że są parą, ale sama też się nie wyoutowała, w „Świątecznym szoku”. Albo ikonę, z którą nie ma absolutnie nic wspólnego, i dostanie za to pierwszą w karierze nominację do Oscara.

Ta ostatnia rola to chyba najdziwniejszy i najbardziej ryzykowny wybór w karierze Stewart, ale wybór, który całkowicie się opłacił. Ikoną, w którą zdecydowała się wcielić, była księżna Diana. Ciemnowłosa Kalifornijka mówiąca co chwila „fuck” i „dude” przebarbiowała włosy na blond, opanowała elegancki brytyjski akcent i manierzyzmy swojej bohaterki, włącznie z charakterystycznym spojrzeniem zagonionej

sarenki, i w filmie „Spencer” stała się Dianą Spencer.

Świetnie wypadła w scenach, gdy Dianę dopadała paranoja. Paradoksalnie najlepsza była jednak w tych najbardziej zwyczajnych, z synami, małymi jeszcze Williamem i Harrym. Psotna i czuła jednocześnie matka – tego chyba nikt się po Stewart nie spodziewał. Rola księżnej udowodniła ostatecznie, że jest dobrą aktorką.

Queerowa gwiazda

Dla wielu jej krytyków z czasów sagi „Zmierzch” ta myśl musiała być wywrotowa, ale wywrotowa to właściwie drugie imię Stewart. Po rozstaniu z Pattinsonem w 2013 roku zaczęła się spotykać z kobietami – specjalistką od efektów specjalnych Alicią Cargile, francuską piosenkarką Soko, modelką Stellą Maxwell. Od pięciu lat jest związana ze scenarzystką Dylan Meyer, trzy lata temu się zaręczyły.

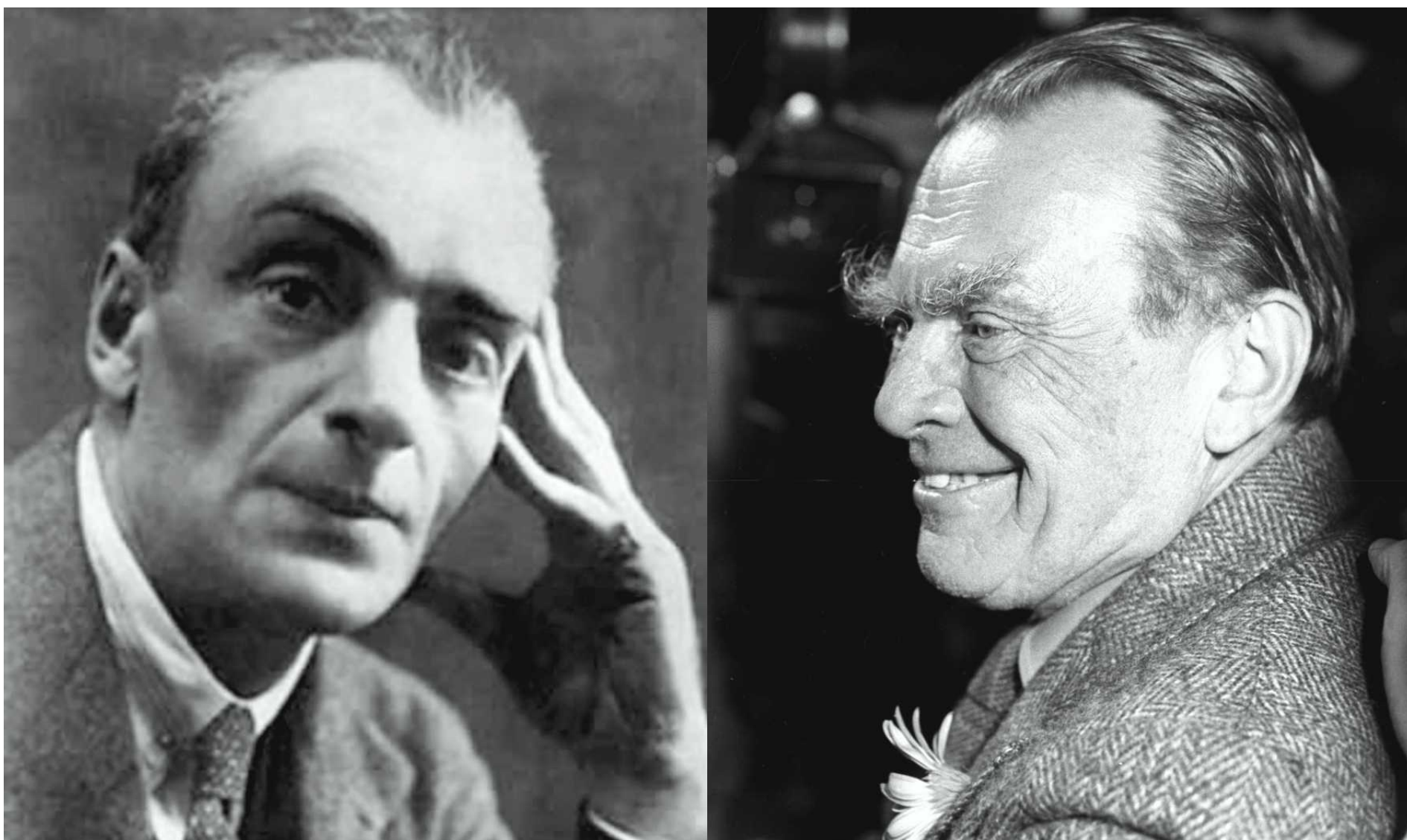
Początkowo relacje Stewart z kobietami były nie tylko przez prasę, ale też przez widzów zbywane. No bo przecież jak aktorka z czołówek rozmaitych list „najseksowniejszych” czy „najbardziej pożądanych” układanych przez czasopisma dla mężczyzn może być queer? Nie robiła coming outu, po prostu na zdjęciach paparazzich zamiast za rękę z mężczyzną szła za rękę z kobietą, więc jej partnerki nazywano przyjaciółkami (dobrze, że nie współlokatorkami).

Aż w końcu w programie „Saturday Night Live” w lutym 2017 roku Stewart spontanicznie postanowiła się zdeklarować. Przywołała stare tweety Donalda Trumpa obrażające ją i potępiające za zdradę Pattinsona i zwróciła się do niego, wtedy już prezydenta, bezpośrednio: „Donald, jeśli nie lubiłeś mnie wtedy, to raczej nie polubisz mnie teraz, bo prowadzę »SNL« i jestem tak bardzo homo, stary”.

Po tym publicznym wystąpieniu Stewart została największą gwiazdą Hollywood, która określiła się jako queer. Co wlało nadzieję w serca innych aktorów, aktorek i osób aktorskich, jej kariera na tym nie ucierpiała. Choć sama Stewart wspominała, że sugerowano jej, żeby dla dobra kariery się „tak nie afiszowała”. Zamiast posłuchać, po prostu pozbyła się ze swojego otoczenia tych doradców.

Jednocześnie przyznaje, że to, że jest kobieca, że ma na koncie superkobiece role, jak Bellę czy Dianę, że była twarzą Chanel i muzą Karla Lagerfelda, niczym Audrey Hepburn kiedyś Givenchy, jej pomaga. – Jako aktorka chcę, żeby ludzie mnie lubili, chcę dostawać określone role. Mam wiele różnych doświadczeń, które mnie ukształtowały, a które dalekie są od binarnych, ale jestem dobra w pokazywaniu heteronormatywności. Gram te role dobrze, bo to pochodzi z czegoś prawdziwego – to nie jest sztuczne – mówiła w „Variety”.

W „Love Lies Bleeding” jednak 34-letnia Stewart gra zdeklarowaną lesbijkę i jest w tym równie dobra i prawdziwa. Ta rola bardzo ją cieszy. I na razie nie zamierza grać innej. Pracuje nad swoim pełnometrażowym debiutem reżyserskim, adaptacją wspomnień Lidii Yuknavitch „Chronologia wody”. ●



• Oskar Miłosz (1877–1939) i Czesław Miłosz (1911–2004), byli kuzynami. Poznali się w 1931 roku w Paryżu FOT. ALAMY / BEW, PAP/MACIEJ BELINA BRZOZOWSKI

MIŁOSZ

W FONTAINEBLEAU

Oscar Wilde siedzi w kawiarni, wchodzi Jean Moréas i Oskar Miłosz.
O pierwszym mówi: poeta, o drugim: poezja

Stanisław Zasada

W maju 1984. Przyjaciół z KUL-u zaprosił na juwenalia. Patrzę na eleganckie wydanie poezji. Dwujęzyczne: po polsku i francusku. – Co za wrażliwość – znajomy Grzegorz oddaje pożyczony zbiór. Nazwisko poety znane. Nie zgadza się imię. Inicjały jakieś do tego. Jakis rok później. Seminarium magisterskie z literatury emigracyjnej u Janusza Kryszaka w Toruniu. Ze szpulowego magnetofonu słuchamy Czesława Miłosza. Opowiada o krewnym, którego w Paryżu poznał. Na przykład, że drugą wojnę światową przewidział już w latach 20. „Ty przeżyjesz” – cytuję Czesław kuzyna. Z taką pewnością, że aż profesor się uśmiecha. Teraz. Córka pisze, że w Fontainebleau mieszkał niejaki Oskar Miłosz. Czytam więc

cej: rzeczywiście mieszkał pod koniec życia, tutaj zmarł, na miejscowym cmentarzu spoczywa.

Jadę do Fontainebleau. Wiozę mu znicz z Polski.

I „Miał grube łukowate brwi, wysokie czoło, szpakowate, nie przyglądzone włosy – włosy do orania w nich palcami”*

Czesław Miłosz w „Rodzinnej Europie” poświęci kilkanaście stron Oskarowi Miłoszowi. Dużo.

Patrzę teraz na jego prawy profil. Brwi rzeczywiście wydatne, włosy przyglądzone. Czy gęste?

Profil oglądam w centrum Fontainebleau. „Francuski pisarz, poeta, litewski dyplomata, przyjaciel ptaków, w hotelu l’Agile Noir spędził wiele czasu między

1930 a 1939 rokiem” – po francusku i angielsku na pamiątkowej tablicy.

Hotel stoi na placu Napoleona – niedaleko stąd cesarz żegnał się ze swoją gwardią przed zesłaniem na Elbę. Dwupiętrowy, nad wejściem wykuty z żelaza czarny orzeł. Upodobałi go sobie poeci. Na jednym filarze tablica Oskara Miłosza. Na drugim – Jacques’a Préverta: napisał tu słynny poemat „Presque” (o rzeźbie byka Rosy Bonheur, który naziści na armatę przetopili).

Siadam w kawiarni Bella Sera, przylega do hotelu – gdzieś naprzeciwko stał byk Rosy Bonheur. Lipcowy poranek, kwitną lipy. Młody kelner Virgine przynosi espresso. Nie, nie słyszał o Oskarze Miłoszu, ale cieszy się, że z Polski jestem – jego przodkowie stamtąd pochodzili.

Chcę się dowiedzieć więcej. Emilie z recepcji nie ma dla mnie dobrych wieści. Nie słyszała, nic nie wie. Mówi, że hotel się bardzo zmienił. Że mieszkało tu tylu ludzi. Ale obiecuje w archiwum coś znaleźć. Przynosi wydruk z historią hotelu i spisem właścicieli – od roku 1652.

Oskara Miłosza na pewno tu nie ma.

2

„Zatrzymał się, powiedział: »to ta« i wszedł do środka”.

Dziewiętnasty wiek, Warszawa pod rosyjskim zaborem. Władysław Miłosz widzi w witrynie zakładu fotograficznego portret ładnej dziewczyny. „To ta”, mówi sobie.

Nic to, że Miriam Rosenthal jest córką żydowskiego nauczyciela hebrajskiego, biedaka. A on bogatym ziemianinem. Upatrzył ją sobie, zdania nie zmienia.

Władysław (pół-Włoch po matce) zawsze był ekstrawagancki. W Afryce na lwę polował, balonem latał, w czasie Komuną Paryskiej miał się włamać do żeńskiego klasztoru i nowicjuszkę porwać. Bynajmniej nie z sympatii do komunistów – po prostu się zakochał.

Syn będzie ekstrawagancki inaczej.

3
„Oskar Miłosz dzieciństwo spędził w leśnym majątku swego ojca, w Czerei, i tamtejsza przyroda na zawsze pozostała dla niego krainą legendy, prawdziwą duchową ojczyzną”.

„To było bardzo dawno – słuchaj, gorzka miłości innego świata –

To było bardzo daleko, daleko stąd – słuchaj dobrze, ziemska siostra moja – Na Północy rodzinnej, gdzie z wielkich lilii jezior

Bije zapach pierwotny, opar sadów legendy, zapomnianych stron”.

„Niedokończona symfonia”. Jeden z najbardziej znanych wierszy. Nostalgiczny jak wszystkie. Nie trzeba się dziwić.

Ma lat 12, gdy rodzice wysyłają go z Czerei koło Witebska na nauki do Paryża – uczy się w słynnym Lycée Janson-de-Sally (nauczycielem był tam poeta Stéphane Mallarmé). Tęsknił za stronami rodzinnymi. Może stąd melancholia, która go nie opuści.

Czesław Miłosz: „Ów kosmopolita miał silną nostalgię ojczyzny. We wszystkim, co pisał, drżały kontury niefrancuskiego krajobrazu, dawała znać o sobie wrażliwość obca, pociągająca swoją egzotyką”.

Nie tylko za rodzinnymi stronami tęsknił. Chciał ocalić poezję. Ba, ludzkość nawet.

Czesław Miłosz: „W całej działalności literackiej Miłosza powtarzają się dwa motywy: motyw wygnania i motyw czynu”.

4
„Wiele dalszych losów tego człowieka wyjaśnia jego niechęć do Polaków”

Od małego wysłuchuje przytyków rodziny ze strony ojca. A to, że matka w piątki zapala szabasowe świece (syna ochrzciła, gdy miał dziewięć lat, ale żyła na okoliczne kościoły). A to, że ojciec osiągnął szczyt megalomanii (nie dość, że poślubił biedniejszą od siebie, to Żydówkę jeszcze).

Maria wystara się o uznanie męża za niespełna rozumu (podobno na starość nosił włosy do pasa – nie pozwolił zbliżyć się fryzjerowi; godzinami siedział z siekierą na kolanach – bał się wymyślonych wrogów).

Matka i syn sprzedają rodzinne lasy nad Dnieprem rządowi rosyjskiemu. Narodowa zdrada, wysłuchują od Miłoszów.

„A obłęd i chłód błędziły bez celu po domu” – dorosły Oskar oceni bezlitośnie życie w Czerei. Ojca się boi, umyka przed nadopiekuńczą matką. Lepsze relacje ma z niemiecką guwernantką: przyjechała za chlebem aż z Alzacji.

Trapi go coś jeszcze: próżny styl życia posiadaczy, nędza chłopstwa, biedota Żydów.

„Panowie piją, polują, grają w karty, A obok białoruscy chłopci o zapadniętych twarzach,

Z uciekającym, nienawistnym spojrzeniem,

I Żydzi zdegenerowani nędzą, Ich kobiety o oczach czarownic, Pokręcone, owinięte we wszawę chustki,

Spustoszone przez zwierzęce porody”. – wiele lat później Czesław opisze jego strapienia.

Początek lat 30. W Paryżu umawia się z kuzynem, który nosi to samo nazwisko. Napisze potem do przyjaciół: „Spodziewałem się, że pojawi się straszdydło, potwór podobny do reszty mojej rodziny, złożonej ze strasznych mieszczan, niegdyś panów i wojowników. Jakież było moje zdziwienie, kiedy stanął przede mną 19-let-

ni młodzieniec o miłym wyglądzie, poeta zarazem niezwykle entuzjastyczny i bardzo trzeźwy”.

Znowu okaże się profetą: „Mimo odrazy, jaką napelnia mnie moja rodzina, rad jestem, że stary ród z XIII wieku ma zapewnioną względną trwałość dzięki istnieniu tego młodego człowieka, który z pewnością przyniesie mu (nareszcie!) zaszczyt”.

Czesław w mowie noblowskiej przywołał nazwisko Oskara Miłosza („Wiele nauczyłem się od niego”). W jednym ze swoich ostatnich wierszy nazwie go mistrzem, siebie – czeladnikiem.

Gdy wygłasza mowę w Sztokholmie, prasa paryska żałuje, że pół wieku wcześniej Nobla nie dostał inny Miłosz.

5
„Był następnie przedstawicielem niepodległej Litwy w Paryżu”

Po polsku od dziecka mówi. Poza językiem z Polską nie łączy go jednak nic (urodziła go Żydówka, zdradził ojczyznę, bo sprzedał okupantowi majątek, wykształcił się we Francji).

Jako dorosły będzie pouczał młodszego kuzyna: „Zapamiętaj sobie, że nie ma nic bardziej głupiego w Europie, nic bardziej okrutnego w swoich drobnych nienawiściach niż szlachta polska”.

W Paryżu zapisuje się do Polskiego Towarzystwa Literackiego. Poznaje rzeźbiarza Stanisława Ostrowskiego i jego żonę Bronisławę, poetkę – będzie przekładała jego utwory.

Kończy się „wojna powszechna ludów”, o którą Wieszcz się modlił. Gałąź rodziny Miłoszów z Wileńszczyzny posyła Czesława do polskich szkół. Oskar wybiera opcję litewską, poświęca polityce. Noty na konferencję w Wersalu w sprawie niepodległości Litwy pisze wykwintną francuszczyzną. Gorzej z litewskim: gdy Litwini i Polacy mają rozstrzygnąć, komu Wilno się należy, z szefem delegacji polskiej profesorem Askenazym kłóci się po polsku.

Znajduję jego pomnik w Fontainebleau – stoi na dziedzińcu biblioteki. Z przeszłego na wylot tulowia wystaje książka, na niej odlany z brązu ptak. Na okładce: „Ten kraj to Litwa, której imię wypełnia mi głowę i serce”. Ptaki wciąż go lubią: tego leniwego popołudnia koło pomnika spaceruje rudzik.

Czesław Miłosz tak zrozumie jego wybór: „Oskar Miłosz oglądany od strony polskiej był »renegatem«. Ale ten »renegat« widział jasno to, czego międzywojenna Polska, kisząca się w swoim narodowym prowincjonalizmie, widzieć nie chciała”.

Miał „perspektywę międzynarodową”.

6
„Ale pisał tylko po francusku i był do Francji głęboko przekonany”

Idę do kogoś, kto o Oskarze Miłoszu wszystko wie. Christophe Langlois mieszka w Saint-Mammès, dwie stacje od Fontainebleau. Impresjonista Sisley malował tu swoje pejzaże.

Langlois – poeta, wiceprezes towarzystwa Les Amis de Miłosz (Przyjaciele Miłosza). Pół wieku temu założyli je przyjaciele Oskara: Amerykanka Natalie Clifford Barney i Francuz André Silville. Na stu-lecie urodzin Miłosza stowarzyszenie się odrodziło – dziś tworzy je nowe pokolenie. Podtrzymują kult Oscara Miłosza (tak zapisuje się jego nazwisko po francusku): zbierają się w rocznicę śmierci, idą na grób. Przede wszystkim dbają o jego rękopisy, listy, pierwsze wydania dzieł, przygotowują nowe edycje, robią sympozja, wydają specjalne zeszyty.

Malownicza uliczka wzdłuż Sekwany (Sisley też ją namalował) – tu mieszka wiceprezes. W salonie z portretu spogląda Marcel Proust. – Jest gościem w naszym domu – uśmiecha się Anne-Claire, żona Christophe’a, gdy patrzę na dostojnie oprawiony portret pisarza.

Dzięki Miłoszowi się poznali. Oboje byli zafascynowani jego twórczością. Nawet na weselu im towarzyszył. Było tematyczne, związane z literaturą. Stoliki były z nazwiskami: Corneille, Molière. – A my mieliśmy z Oskarem Miłoszem – wspomina Anne-Claire.

Symboli związanych z poetą jest w ich życiu więcej. Pochodzą z Paryża, nie wiedzieli, że osiadą kiedyś blisko Fontainebleau, gdzie Miłosz mieszkał.

Anne-Claire oderwałam od książki, czytała „Express Patagonia” chilijskiego pisarza Luisa Sepulvedy, którego Pinochet prześladował. Christophe robi kawę. Najpierw miele ręcznie, długo celebrytuje parzenie, zapala świeczkę.

Jak znalazł się w „Les Amis de Miłosz”? W roku 2014 tygodnik „La Vie” zrobił z nim wywiad. Dziennikarka spytała o ulubionego poetę. Christophe mówi, że Oskar Miłosz. Wywiad czytają w Les Amis de Miłosz, zapraszają na rozmowę. Pytają, czy Saint-Mammès jest blisko Fontainebleau. Mówi, że to po sąsiedzku.

Miłosz to wielka pasja Christophe’a. – Ludzie spotykają Miłosza na różnych ścieżkach. Jedni lubią jego poezję, inni misteria, jeszcze inni pisma ezoteryczne – zaczyna opowieść.

Powykładał francuskie wydania jego książek, streszcza fabułę niedokończonych powieści „Les Zborowski”. Bohaterami jest dwóch przyrodnych braci: Henryk i Edward. Pierwszy (po matce Żydówce): słaby fizycznie, skryty, marzytel, nie umie podjąć decyzji. Drugi (matka polska szlachcianka) to człowiek czynu, silny, urodziwy.

– To rozdarcie, które Miłosz nosił w sobie – uważa Langlois.

W 1914 autor złożył rękopis w wydawnictwie, wybuchła wojna, nikt nie miał głowy do wydania książki. Zdawało się, że powieść przepadła. Po latach rękopis odnalazł André Silville.

– Miłosz opisuje wewnętrzny konflikt – dopowiada Langlois. – Ale go nie rozwiązuje.

7
„... był w chwili swego debiutu w 1899 roku zaliczany do drugiej fali symbolistów”

„Jestem parkiem, jesienną porwanym rozpaczą,

Gdzie dygocą nędzarze ze starych przedmieści,

Gdzie »Zawsze«! do nich suche listowie szeleści,

Gdzie »Nigdy, nigdy już« fontanny płaczą...”.

Nastrojowy wiersz „Mgły” z debiutanczkiego tomu. „Poemat dekadenta” – dał tytuł w zgodzie z duchem czasów.

Potem pisze w sposób coraz bardziej zaciemniony. Świadomie – poezję uważa za rodzaj wtajemniczenia. Nawet swoje dzieła tajemniczo podpisuje: O.V. de L. Miłosz (czyli Oscar Vladislav de Lubicz Miłosz).

Futuryści gardzą przeszłością i tradycją, a on pisze misteryjny dramat. „Miguel Manara” to rzecz o szukaniu większej miłości: hiszpański szlachcic, który uwiódł setkę kobiet, nawraca się, wstępuje do klasztoru, poświęca ubogim – chce odkupić grzechy młodości.

Bronisława Ostrowska (Oskar poznał ją w Towarzystwie Artystów Polskich) przekłada misterium na polski. Aktorzy z teatru Juliusza Osterwy czytają na scenie tekst rozłożony na głosy, utworem fascynuje się młody Karol Wojtyła.

Nocą z 14 na 15 grudnia 1914 roku Oskar Miłosz czyta zaś Emmanuela Swedenborga (szwedzki filozof i mistyk). Na marginesie dopisuje po polsku: „W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego. Amen”. (Podobno w chwilach emocji po polsku pisał). Tej nocy przeżywa mistyczne objawienie.

Europa siedzi w okopach, a on studiuję kabałę, alchemię, pisma różokrzyżowców, staje się praktykującym katolikiem. Zajmuje się mistyką (wierzy w religijne odrodzenie ludzkości). I zapowiada nadchodzącą katastrofę, która zdarzyć się ma „około roku 1944”.

Jako poeta milknie, ale o literacką sławę zazdrośny będzie. Przed kuzynem chwali się wycinkami prasowymi z Francji, Belgii, Ameryki Łacińskiej.

8
„... gruntownie skłócony z pojęciami o poezji, jakie wtedy powszechnie przyjmowano”

Lata jego młodości to we Francji czasy la belle époque. Ale Oskar w pięknej epoce nieswojo się czuje.

„Szydercza szpetota”, nazywa swój wiek. O współczesnej poezji mówi: „lato-rośl burżuazji światowej przeżywającej swój zmierzch”.

Ubolewa, że nowoczesna poezja „uległa jakby zubożeniu i zawężeniu, co skierowało ją w dziedzinę podświadomości, ku poszukiwaniom ciekawym zapewne, nieraz nawet godnym podziwu, ale naznaczonym zainteresowaniami natury estetycznej, prawie wyłącznie indywidualnej”. Że wyobcowwała się z „wielkiej rodziny ludzkiej”. I „że świat od niemal stu lat nie wydał ani jednego poety, to znaczy prawdziwego poety, godnego”.

O największych wyraża się tak: Poe – metafizyczny bluźnierca. Baudelaire – indywidualny esteta. Claudel – nie chce mieć z nim nic wspólnego; nie lubi, gdy go do niego porównują.

Kto zatem? Goethe – jego wielki mistrz. Byron – za prometeizm, wiele jego strof umie na pamięć. Blake – głosił odrodzenie ludzkości. „Co zostanie za dwadzieścia lat z olbrzymiej i pustej produkcji poetyckiej naszych dni?” – martwi się.

9
„Zostałbym bez podziwianego nauczyciela”

Siedzi niedbale w fotelu z papierosem, pociąga za spust. Niezdarnie.

Życie postanowił zakończyć 1 stycznia 1901 roku. Jak przystało na dekadenta – na sam początek wieku.

Skończył 23 lata, uważa, że wszystko już przeżył. Podróżował, wydawał bale, miał wiele kobiet (imiona zapisywał inicjałami).

Langlois opowiada, że gdy do paryskiego mieszkania weszli śledczy, na biurku był rękopis. „Myśli me są przy tobie, o Karomama” – zaczynał się tekst. – Znowu złamane serce – policjant triumfował, że znalazł „winną” targnięcia się na życie.

– A to było imię egipskiej księżniczki sprzed tysięcy lat – uśmiecha się Langlois.

Oskar Miłosz widział w Luwrze jej posązek, napisał o niej wiersz. Miała na imię Karomama.

Po tym, jak postanowił zakończyć życie, lekarze nie dawali mu dużych szans. „Zostałbym bez podziwianego nauczyciela” – Czesław napisze sto lat później.

10

*„Za życia znany był jedynie
małej grupce przyjaciół –
poetów”*

Zabrakło go w antologii francuskiej poezji, którą dla Gallimarda przygotował po wojnie André Gide. We wstępie miał napisać, że w wierszach Miłosza nie znalazł nic interesującego.

– Oskar już nie żył i nie mógł się bronić – w głosie Christophe’a Langlois jest żal.

Podobno była to osobista zemsta Gide’a, który – tak Czesław Miłosz pisze w „Spizarni literackiej” – „miał nadzieję uzyskać od niego znaczną sumę pieniędzy na jakieś swoje teatralne przedsięwzięcia”. Oskar Miłosz odmówił. „I od tego czasu, gdzieś z lat przed pierwszą wojną światową, obowiązywała w firmie Gallimard, czyli u największego wydawcy w Paryżu, anatema, którą przelał dopiero po kilkudziesięciu latach”.

Oskar znalazł się w niezłym towarzystwie – Gallimard odrzucił też manuskrypt pierwszej części „W poszukiwaniu straconego czasu” Prousta.

Słynna oficyna przygotowuje tom poświęcony Oskarowi Miłoszowi. Swoje wydania w nobliwej serii mają najwięksi: Baudelaire, Camus, Proust. Z obcych: Cortazar, Tagore, Sylvia Plath.

– Jakby chcieli odkupić winy – Langlois cieszy się na wydanie.

W jednym tomie znajdują się wszystkie utwory Miłosza. Langlois napisze przedmowę.

– Wszyscy będą mogli czytać na nowo jego dzieła.

11

*„Na śniadanie zabierał mnie
zwykle do włoskiej restauracji
»Poccardi«”*

Rozmawiają o:

Współczesnej poezji – że zdradziła swoje powołanie.

Poezji jutra, która „narodzi się z naukowej i społecznej transmutacji, jaka dokonuje się przed naszymi oczami”.

Epoce ducha, której nadejście wieścił w swoich pismach.

I „światowej pożodze”, która miała ogarnąć ziemię w okolicach roku 1944.

Na przyszłego noblistę wywrze duży wpływ. U schyłku życia Czesław napisze:

„Jakże zmieniło to moje wiersze, oddane kontemplacji czasu,

Zza którego odtąd przezierała wieczność”.

12

*„W »Closerie« przesiadywał
z Oscarem Wilde’em, od którego
był znacznie lepszym, jak to
dzisiaj widać, poetą”.*

„Closerie des Lilas” przy bulwarze Montparnasse. Wtedy, w wieku XIX i potem na przełomie stuleci, kawiarnia poetów, pisarzy, artystów. Przesiadawali tu Baudelaire, Zola, Cézanne, Modigliani, Picasso.

Zapewne i Guillaume Apollinaire, którego Oskar Miłosz również znał – pochodzili z tej samej części świata. „Wilhelm Kostrowicki też wywodził się z żołnierzy i awanturników Wielkiego Księstwa Litewskiego” – Czesław w „Rodzinnej Europie” pisze o korzeniach twórcy terminu „surrealizm”.

Wilde’a nazywa Oskar irlandzkim poetą (wszedł do historii literatury angielskiej, ale pochodził z Dublina), przyjaźnią się. Podobnie z Jeanem Moréasem (Grek piszący po francusku, melancholijny i dekadentki jak on, napisał manifest symbolistów).

Znana jest anegdotka. Oscar Wilde siedzi w kawiarni (zapewne w Closerie, a może w amerykańskim barze Kalissaya – tam też Irlandczyk przesiadywał). Wchodzą Jean Moréas i Oskar Miłosz. – Przyszli Moréas – poeta, i Miłosz – poezja – mówi do kogoś Wilde.

– Musiał być pod wrażeniem pierwszego tomiku Miłosza – Langlois tłumaczy zachwyt Wilde’a.

Oskar Miłosz wydał „Poemat dekadenta” w 1899. Wilde umarł rok później.

13

*„Zadawałem sobie pytanie, czy
jest zupełnie samotny”*

Jest po trzydziestce, gdy w Wenecji poznaje miłość życia. Emma Heine-Geldern to daleka siostrzenica poety Henryka Heinego. Młodsza o kilkanaście lat. Ślubu nie będzie: matka poety miała się sprzeciwiać.

– Może nie chciała utracić syna? – Langlois się zastanawia.

Czesław Miłosz wątpi, czy 33-letni Oskar uległby namowom matki. Emmę do końca życia nazywał „niebiańską żoną”.

Poznał zaprzyjaźnioną z nim baronową – spacerowali we troje po żwirowych ścieżkach paryskiego parku. „Odgadywał moje szczenięce zainteresowanie i powiedział potem: »Ona jest wdową. Uważa, że warto, żebym się z nią ożenił. Ale, wiesz, to jak wkładać cudze kalosze«”.

Do końca był sam.

14

*„Znał język ptaków i kiedy
przemawiał do nich, idąc
alejami parku w Fontainebleau,
zlatywały się zewsząd, siadając
na wyciągniętej dłoni”*

Spaceruję tym parkiem. Zastanawiam się, któredy lubił chodzić. Może aleją pomiędzy starymi lipami? Wyczytałem gdzieś, że ptakom gwizdał melodie Wagnera.

– W kieszeniach miał zawsze ziarno – Langlois próbuje przywołać tamten obraz. – Dlatego się do niego zlatywały.

– Podobno śmiała się z niego dzieciarnia? – dopytuje.

– Bo musiał wyglądać oryginalnie – tłumaczy Langlois. Przypomina, jak chodził smutny, gdy zginęła para młodych labędzi.

Z ptakami mieszkał. Gdy Czesław odwiedził go w Aigle Noir, zobaczył „mnóstwo klatek z afrykańskimi ptakami”, a pokój był „pelen świergotu i trzepotania jaskrawych skrzydeł”.

Langlois: – Nie znalazł spełnionej miłości, więc żył w komunii z ptakami.

15

*„W ciągu dziesiątków lat,
które upłynęły od jego śmierci
na wiosnę 1939 roku,
słowa jego zyskały
znacznie szerszy zasięg
i jego utwory tłumaczono na
obce języki”.*

Stoję przed domem, w którym umarł. Rue Royal 28 – kawałek od centrum. Jednopiętrowy, bogaty. Jak wszystkie na tej ulicy. Gdy kupował go rok przed śmiercią, wyglądał dużo skromniej.

Jest niedziela, wczesne popołudnie. Nikt nie otwiera.

Po sąsiedzku starszy mężczyzna (elegancki sweter, typ angielskiego džentelmena) wyszedł zamknąć okiennice (upał

16

*Oskar Miłosz oglądany
od strony polskiej był
„renegatem”. Ale ten
„renegat” widział jasno
to, czego międzywojenna
Polska, kisząca się
w swoim narodowym
provincjonalizmie, widzieć
nie chciała*

był). Wie, że poeta tutaj mieszkał. Czytał jego wiersze.

– W Fontainebleau jest znany – po chwili doda.

Nie wie, czy sąsiedzi wyjechali na dłużej. Mówi, że i tak niczego się od nich nie dowiem: to już kolejna rodzina, która wynajmuje dom; z tamtą, z czasów Miłosza, nie mają nic wspólnego.

Czytam napis (jest tylko po francusku) na marmurowej tabliczce: „W tym domu 2 marca 1939 umarł francuski poeta narodowości litewskiej O.V. de L. Miłosz urodzony w 1877”.

Niespodziewanie umarł.

16

*„W hotelu Aigle Noir
z ukłonów służby odgadłem,
że składam wizytę wysoko tam
cenionej postaci”*

Rok 1931. Czesław Miłosz pierwszy raz w Paryżu (przyjechał z przyjaciółmi z Wileńskiego Klubu Włóczęgów). Zdejmuje szorty, koszulę khaki i w słynnym domu towarowym La Samaritaine kupuje garnitur (pieniądze dał mu Oskar), jedzie do Fontainebleau spotkać się z kuzynem.

Ich pierwsze spotkanie. To, przed którym Oskar bał się, że zobaczy „straszydło”, a stanął przed nim „dziewiętnastoletni młodzieniec o miłym wyglądzie”.

Czesław zapamięta je tak: „Rozmowę zaczął od wypytywania mnie o sprawy rodzinne”. To wtedy spacerują po słynnym parku w pobliżu wielkiego zamku, gdzie Napoleon zegnał się z gwardią.

Jestem tam 90 lat później. Lipowa aleja wzdłuż kanału. Lipa to drzewo długowieczne, żyje kilkaset lat. Te tutaj zapewne rosły już wtedy.

Rok 1934. Czesław Miłosz przyjeżdża do Paryża na roczne stypendium: szlifuje francuski, słucha wykładów z filozofii, spotyka Czapskiego i Lechonia.

„Mijając ulicę Descartes Schodziłem ku Sekwanie, młody barbarzyńca w podróży

Onieśmielony przybyciem do stolicy świata”

– opisie tamten czas w wierszu „Rue Descartes”.

W litewskiej ambasadzie odwiedza czasem starszego kuzyna. Nie rozpowiada o tym: stypendium jest państwowe, nie chce zyskać „epitetu zdrajcy” – Warszawa i Kowno nie utrzymują stosunków dyplomatycznych.

To wtedy chodzą na śniadania do włoskiej restauracji Poccardi, spacerują znów po parku w Fontainebleau (Oskar spędzał tu wakacje). Rozmawiają o poezji i „światowej pożodze”.

Przy stacji metra Opéra na prawym brzegu Sekwany się żegnają. „Kto przeżyje tę wojnę, jeżeli mówisz, że zaczniesz się w 1939 roku i potrwa pięć lat?” – Czesław pyta. „Ty przeżyjesz”.

17

*„Wspominam go tutaj dlatego,
że chcę przedstawić
jego poglądy na poezję,
o znacznej, wydaje mi się,
aktualności”*

Czesław Miłosz umrze za dwa lata.

W ostatnim tomiku „Druga przestrzeń” pisze poemat „Czeladnik”. O Oskarze.

Jest o ojcu „gwałtowniku” i „natrętnej troskliwości” matki, samotności w paryskim liceum („Było chyba aktem okrucieństwa zostawić go samego w Paryżu”), miłości do krewnej Heinego („swój wyrok”), rozczarowaniem la belle époque („chciałby urodzić się wcześniej, wtedy kiedy Byron”), próbie odebrania sobie życia („Na samo otwarcie dwudziestego wieku”), dramacie „Miguel Manara” („hymn na miarę Boga i człowieka”), opcji litewskiej („Wybrał Litwę, mały kraj pracowitych i statecznych chłopów”), poglądach na politykę („Traktaty o przyszłych Stanach Zjednoczonych Europy”), mistycznych poszukiwaniach.

To tam nazywa Oskara mistrzem, siebie – czeladnikiem. Nawet swój laur umniejsza:

„Nagroda Nobla jest w sam raz dla mniejszych.

Nie daliby jej komuś, kto przekazuje dar niezrozumiały,

I zapowiada planetarne zwycięstwo rzymskiego Kościoła”.

Jakby pocieszyć chciał tych, którym żal było, że kiedyś Nobla nie dostał francuski Miłosz.

18

*„Phyta na jego grobie
w Fontainebleau,
pod którą nieznani wielbiciiele
jego poezji składają kwiaty,
nosi nazwisko wypisane
w brzmieniu litewskim
(z końcówką – ius)”*

Grób jest zaraz przy wejściu, pod kamiennym murem. Oplata go krzak japońskiej róży. Pięknie.

Na steli odlany z brązu profil poety, lewy tym razem. „Poeta i metafizyk, pierwszy przedstawiciel Litwy we Francji” – inskrypcja jest po francusku i litewsku. Na dole po francusku tylko: „Wchodzimy w drugą niewinność, w zasłużone szczęście zdobyte świadomie”.

Ktoś zostawił doniczkę z jasnymi różami. Niedawno, bo jeszcze świeże. Może Przyjaciele Miłosza? Może kto inny?

Zdobywam się na to: czytam na głos pierwszy rozdział „Czeladnika”. Nie chcę wiedzieć, co pomyśli o mnie mężczyzna, który przechodzi obok.

Zapalam znicz. Zastanawiam się, czy to dobry pomysł: wszak Oskar Miłosz z Polską pokłócony był. ●

• *Śródtytuły pochodzą z książek Czesława Miłosza: „Rodzinna Europa” i Świadectwo poezji”. Korzystałem ponadto z następujących pozycji: „Ziemia Ulro”, „Spizarnia literacka”, „Ogród nauk”, „Wiersze wszystkie” oraz Oscar V. de L. Miłosz „Wybór poezji”.
• 14 sierpnia minęła 20. rocznica śmierci Czesława Miłosza.

Awantura o pisarza

ZACHODNI TENOREK Z POLSKĄ INTONACJĄ

„Ukraina musi utracić swe istnienie, rozplynać się, zniknąć”. I co, mamy wydawać w Polsce książki tych, co tak mówią?

Grzegorz Przebinda*

Wyborcza” piórem Wojciecha Szota zaalarmowała, że „polski wydawca odwołuje premierę głośnej powieści Ukraińca z Rosji”, a „czytelnicy są podzieleni” (26 czerwca).

Piszę o tym także dlatego, że tekst ów – niestety niewolny od uproszczeń i błędów (np. mojemu koledze z katedry Aleksandrovi Wawrzyńczakowi, badaczowi współczesnej literatury rosyjskiej, przekręcono imię i nazwisko, i zmieniono płeć) – zawiera także odesłanie do moich dwóch wcześniejszych wypowiedzi o Rosji i o literaturze rosyjskiej, opublikowanych w „Wyborczej” w 2022 r.

Twierdziłem tam i do dziś jestem co do tego święcie przekonany, że niegodnym jest piętnowanie mianem agresorów tych Rosjan, którzy występują przeciw wojnie, a zarazem oskarżanie o jej rozpętanie dawno już pomarłych rosyjskich pisarzy XIX w., z Dostojewskim i Tolstojem na czele.

Szot odsyła także do artykułu współczesnego rosyjskiego pisarza żyjącego na emigracji, Michaiła Szyszki, który z kolei powiada, że „mowa Puszkina i Tolstojów przekształca się w język morderców” i że „dotąd nie docierały do nas, Rosjan, imperialistyczne nuty wybrzmiewające w wielkich rosyjskich powieściach”.

Dodajmy, że tutaj przemawia już do nas zakonieniony w swojej kulturze uczciwy Rosjanin, tłumaczony i wydawany po polsku także i po 24 lutego 2022 r. (jego książka „Pokój czy wojna? Rosja i Zachód – zbliżenie”).

Tymczasem w tekście „GW” o „głośnej powieści Ukraińca z Rosji” chodzi w istocie o rosyjskiego pisarza średniego pokolenia Michaiła Jelizarowa oraz o jego opasłą powieść „Ziemia” (2019), której wydania odmówiło ostatecznie prężne i ciekawe warszawskie wydawnictwo Filtry, mimo że miało już w pełni gotowe polskie tłumaczenie. Cała argumentacja ogłoszona została na FB wydawnictwa:

„»Ziemia« to pełen rozmachu literacki obraz Rosji XXI wieku. Michaił Jelizarow plastycznie opisuje w swojej powieści postsowiecką rzeczywistość i kreśli bezlitosny obraz współczesnego Rosjanina: człowieka szczególnie niebezpiecznego, bo oswojonego ze śmiercią bardziej niż z życiem, który przemoc zawsze jest gotów ubrać w szaty wzniosłych filozoficznych analiz.

»Ziemia« opowiada także o niezmienności charakteru rosyjskich przywódców, o tym, że niezależnie co uzasadnia wyzysk i ekspansję – religia, doktryna komunistyczna, pieniądz czy wszystko razem wzięte – zawsze tracą na tym zwykli ludzie, którzy rozpaczliwie poszukują czegokolwiek w życiu, na co mieliby realny wpływ.

Uznaliśmy, że podobnie jak »Wojna ‘made in Russia’« Siergieja Miedwiediewa to literackie dzieło daje wgląd w stan rosyjskiego umysłu, jest swego rodzaju »anatomią zła«, z którą warto się zapoznać, zwłaszcza teraz w czasie trwania rosyjskiej agresji.

Sam autor, będący urodzonym w Iwano-Frankowsku Ukraincem, na temat pełnoskalowej wojny nigdy się nie wypowiadał, mieszka jednak w Mo-



Michail Jelizarow

FOT. MOLL/GETTY IMAGES

*Jelizarow nawoływał
do regularnej wojny Rosji
przeciwko Ukrainie zaraz po aneksji
Krymu*

skwie, ma dwie córki, a my zdajemy sobie sprawę, że skala możliwości protestu w dzisiejszej Rosji jest niewielka. Gdyby dzisiaj ukazała się tam »Ziemia«, putinowska prokuratura mogłaby przebiegać w paragrafach: dyskredytacja armii, oczernianie prezydenta, ekstremizm, a sam Jelizarow najprawdopodobniej zostałby osadzony w kolonii karnej. W przeświadczeniu o niepopieraniu wojny przez autora utrzymywała nas też mieszcząca się w Szwecji jego agencja.

Sprawa jednak diametralnie się zmieniła (...), gdy Michaił Jelizarow, dociskany pytaniami przez polskich dziennikarzy, odpowiedział mailowo, że popiera Rosję. W tej sytuacji nie pozostaje nam nic innego, jak wycofać się z publikacji jego powieści, niezależnie od tego, co sędzimy o jej wymowie, wartości literackiej i niezależnie od olbrzymich finansowych strat (powieść ta liczy prawie 700 stron!).

Jest nam szczególnie żal gigantycznej pracy tłumacza, Piotra Braszaka, który pracował nad przekładem dwa lata, przesunął liczne naukowe plany, by go ukończyć, i zrobił to wspaniale. Nikt w całym naszym zespole nie ma jednak wątpliwości, że w świetle ostatniej wypowiedzi autora decyzja o wstrzymaniu publikacji »Ziemi« jest jedyną możliwą i słuszną”.

Od razu wyraźnie podkreśliśmy, że główny bohater tej wielce intrygującej historii, Michaił Jelizarow, jest pisarzem rosyjskim z krwi i kości, który Ukraincem naprawdę nigdy nie był. Urodził się tylko w Iwano-Frankowsku w Ukrainie Zachodniej w roku 1973, gdy ca-

ła Ukraina jako komunistyczna republika stanowiła drugą co do wielkości i co do wagi składową ZSRR.

W 1980 r. wyjechał stamtąd z rodziną do Charkowa, już we wschodniej Ukrainie, gdzie w połowie lat 90. ukończył studia filologiczne. Już zaś po roku 1991 coraz bardziej ubolewał, że oba „jego miasta” znalazły się w granicach niepodległej Ukrainy, dążącej w dodatku – o zgrozo! – ku Europie.

Tymczasem sam Jelizarow w latach 2001-03 pobierał nauki w szkole dla reżyserów telewizyjnych w Hanowerze, potem do 2007 r. mieszkał nawet w Berlinie, skąd przeniósł się ostatecznie do Moskwy. A tam w 2011 r. napisał m.in. esej „Iwano-Frankowsk”, gdzie miasto urodzenia zlewa się pod jego piórem z dawnym zachodnioukraińskim kolegą, teraz już mu wielce niemiłym:

„Iwano-Frankowsk – miasto mego dzieciństwa. Kiedyś patrzyłem na nie z dołu do góry. W tamtych czasach był on silny i wysoki. Ogromny po prostu. Z chęcią mówił po rosyjsku, żartował, śpiewał. Nie mogłem określić, ile miał lat, wiek wtedy zwyczajnie dla mnie nie istniał. (...) Także i teraz nie ma on dla mnie wieku. Nie widzę jego twarzy – Iwano-Frankowsk odwrócił się do mnie plecami, coś tam burczy po ukraińsku... ten jego terkoczący tembr... krzykliwy zachodni tenorek z polskimi intonacjami.

– Czogo priichaw? [Po coś przyjechał?]

– Zwyczajnie, do babci... w gości.

– Do kogo? Ja moskalskoj mowi nie rozumiuju [Do kogo? Nie rozumiem mowy moskalskiej!].

– Do babusi priichaw... [Do babci przyjechałem].

– A-a-a... (...)

Postury jest Iwano-Frankowsk chudawej, jak podrostek, mimo że we włosach siwizna. Odziany biednie, tanie ciuchy z second handu, jeździ rozklekotaną »niwą« w kolorze żabim.

Już dawno nie mamy o czym ze sobą rozmawiać. Tego, co było drogie mnie, Iwano-Frankowsk już nie pamięta. (...) Nie wiem, jak mu się wiedzie z rodziną, zbyt często tułał się po zarobkach w Polsce. Pomyślał nawet, by zostać tam na zawsze.

Znajomi powiadali, że Iwano-Frankowsk znalazł gdzieś pod Wrocławiem babę samotną, ale z gospodarstwem. Parobkował u niej, potem się sprzegli, ale coś nie wyszło. Gdy sezon zbiorów dobiegł końca, Polka wystawiła Iwano-Frankowską za drzwi. I nawet nie zapłaciła mu tego, co obiecała, bo – jak rzekła – to była przecież miłość... Do wiatru go wystawiła, krótko mówiąc. (...)

W ostatnich latach Iwano-Frankowsk zadurzył się w polityce. Jeździ często najtańszym wagonem do Kijowa – żeby stać na Majdanie. Pokrzyzczyć sobie i poskandować. Widziałem jego zdjęcia z mitingów. I nawet pomyśleć nie mogłem, że Iwano-Frankowsk krzyczący »Razom nas багато« może mieć taki tępy wyraz twarzy. A przyczyna tego tkwi wyłącznie w artykulacji.

Sam sprawdzałem. Jeżeli staniesz przed lustrem i wypowiesz »Razom nas багато«, coś okropnego dzieje się z mimiką – jakieś biesowskie grymasy, tak jakby pomieszać amerykański uśmiech z zespołem Tourette’a”.

W przypisie Jelizarow dopowiada uczenie, że zespół Tourette’a to „genetycznie uwarunkowane zaburzenie ośrodkowego układu nerwowego objawiające się w dzieciństwie, z licznymi charakterystycznymi tikami ruchowymi i co najmniej jednym tikiem głosowym...”.

Wynikać ma więc stąd, że nie tylko ten jego wyszydany ukraiński kolega z dzieciństwa, ale i my wszyscy – wołający w Krakowie w 2004 r. przed konsulem Ukrainy „Razom nas багато. Nas ne podołaty” („Razem jest nas wielu. Nikt nas nie pokona”) – mieliśmy wówczas, zdaniem Jelizarowa, miny niczym tępe osiołki.

A już w 2015 r. tenże domniemany „Ukrainiec” ogłosił, co następuje: „Ukrainiec brzmi dzisiaj jak dia-

gnoza, dlatego kontaktować się z nimi jest bardzo trudno. Gdy przetrawią już swoją »ukraińskość«, wtedy będzie można nawiązywać z nimi jakieś kontakty”.

Wydawnictwo Filtry, powtórzmy, pisze, że Jelizarow na temat wojny z Ukrainą się nie wypowiadał. Czy to ma sugerować, że jest on w głębi duszy przeciwny tej wojnie? Tak jednak, niestety, nie jest, bo późniejszy autor „Ziemi” nawoływał wręcz otwarcie do regularnej wojny Rosji przeciwko Ukrainie dosłownie nazajutrz po aneksji Krymu, uważając tamtą akcję za skandalicznie niewystarczającą:

„Krym wzięty oddzielnie, oderwany od kontynentu [Rosji], jest nieopłacalny, a przekształcenie półwyspu w pole igrzysk tylko go zdeprawuje, a nie umocni. Cała Noworosja zdolna jest do wykarmienia siebie zarówno w związku z Rosją, jak i w postaci autonomii.

*Jelizarow: „W takim jak
dziś formacie Ukraina dalej istnieć
nie może. Ona zresztą i tak nie miała
prawa do istnienia, był to bowiem
dla niej zbyt duży
geopolityczny awans”*

Dlatego programem minimum powinno było być poparcie – jeszcze przed ukraińskimi wyborami prezydenckimi [25 maja 2014 r.] – projektu wielkiej Noworosji i wraz z referendum na Krymie trzeba było przeprowadzić wtedy analogiczne referenda na całym południowym wschodzie [Ukrainy], uznać niezależność nowo powstałych republik oraz okazywać im aktywne (a nie fikcyjne) wojskowe i ekonomiczne poparcie. Programem maksimum natomiast byłoby przyłączenie wielkiej Noworosji i ustanowienie w Kijowie prorosyjskiej władzy. Tyle że elity polityczne Rosji nie okazały się zdolne do realizacji żadnego z tych wariantów. W efekcie nie uznają one nawet teraz niezależności spływających krwią ŁNR i DNR [Ługańskiej Republiki Ludowej i Donieckiej Republiki Ludowej]. (...)

Ukraina musi utracić swe istnienie, dokonać samobójstwa, rozplynać się, zniknąć. Utraciła już bowiem nawet to prawo karmy, żeby istnieć. Kraj, w którym ludzie gotowi są do zabijania swych obywateli, nie ma prawa do istnienia. A ludzi, którzy to wszystko urządzili i mają udział w masowych mordostwach, trzeba osądzić i powyrzucić, ku przestrodze, aby w przyszłości nikomu się nie opłacało.

Kraj [Ukrainę] należy przereformować, przeprowadzić referenda, podzielić z uwzględnieniem ich dążenia ku [różnym] centrom kulturowym. Być może będzie to wielka Noworosja, a być może – zjednoczenie autonomii z Rosją. Obwody zachodnie, jeżeli już tak nie chcą funkcjonować w epicentrum rosyjskiego świata, mogą sobie odejść do Polski, Rumunii, dokąd im wygodnie. Ale w takim jak dziś formacie Ukraina dalej istnieć nie może. Ona zresztą i tak nie miała prawa do istnienia, był to bowiem dla niej zbyt duży geopolityczny awans”.

Słowa te – wypowiedziane przez Jelizarowa w sierpniu 2014 r. w wywiadzie dla „Moskiewskiego Komsomolca – do dziś wiszą sobie spokojnie na jego FB i aż dziw bierze, iż szanowane wydawnictwo Filtry dopiero teraz zdołało jakoś tam ustalić stanowisko autora „Ziemi” wobec obecnej wojny.

Gdy zaś tłumacz, który pracowicie przekładał tę opasłą książkę przez ostatnie dwa lata, dzisiaj powiada, że Jelizarow jest „zdecydowanie antyputinowski”, to trzeba jednak zastrzec, że może i był, ale już naprawdę parę ładnych lat temu. Wtedy, gdy jeszcze uważał, iż Putin jest co do Ukrainy zdecydowanie za mało stanowczy i militarny. Wojną natomiast obecną Putin pragnie osiągnąć wreszcie to, czego Jelizarow domagał się odeń kategorycznie od razu po „krymskiej wiośnie”.

Jeżeli mimo wszystko Putin byłby nadal przez autora „Ziemi” krytykowany, to już wyłącznie dlatego, że celów swoich jak na razie osiągnąć nie potrafił.

Tłumacz tej powieści Paweł Braszak mówi teraz „Wyborczej”, że Jelizarow jest „duchem silnie anarchistycznym i szczerze nienawidzi oligarchii”, „jest

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Kazimierz Brakoniecki*

Czesław Miłosz (1911-2004)

Poetyka

To lodowiec co kiedy się cofa pozostawia
gorące gejzery zmyślne rzeki strużki krwi wzgórz
morenowe

głazy obrośnięte futrem zimy żubry i nagich ludzi
którzy nie znają pisma ale przenoszą pod językiem ognia
pierwszych głosek pierwszych rzeczy i pożądań
z których uczynią bóstwa a w końcu litery.

To lodowiec po którym świadomość poetów
pokrzywa łopuch oset mają swoje sezony
ale nie mają pamięci o odsłanianym hymnicznie
rodzinnym kontynencie który manifestuje realność
aktem wcielonej wiary i miłosiernego daru.

To lodowiec który spływa cofa się powraca topi
jak mutacja melodii usłyszanej w materialnym raju
na którego grzbiecie śni o bogu arka albo kołyska
to alkohol zmysłów spływający potokiem mowy.

To lodowiec wymalowany na stronicach książek
to modlitewnik wyrzucony z pociągu na Syberii
to księga domowa w której nic a tylko frykasy
to zmrożony udziec barani i korona z czosnku.

Etyka

Warszawa czerwiec 1976 roku
W pustym niezwykajnie tramwaju który rzuca i zgrzyta
na rondzie Wiatracznej i rusza przez Wisłę
nagle powstrzymany przez tłum ludzi z flagami
i transparentami
spieszący bezładnie w kierunku Stadionu Dziesięciolecia
stoje na końcu drugiego wagonu i myślę o dacie
obrony pracy magisterskiej za tydzień.



FOT. ROBERT ROBASZEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

***Kazimierz Brakoniecki (1952)** – poeta, eseista, tłumacz, redaktor, „Borussii”, animator kultury i sztuki, regionalista. W czerwcu 1976 r. obronił na Uniwersytecie Warszawskim pracę magisterską o twórczości Czesława Miłosza (podobnie jak Marek Zaleski i Henryk Skwarczyński z tego samego roku polonistyki na seminarium doc. dr. Andrzeja Lama), co wówczas wcale nie było takie oczywiste. Mieszka w Olsztynie.

Wiersz z jego tomu „Lekcja poezji dla zaawansowanych” (Mikołów 2023)



zawsze na pierwszym miejscu antysystemowcem i anarchopunkiem”. A jednak przecież już te jego przywołane wyżej opinie o Ukrainie dowodzą czegoś zgoła przeciwnego – ten „duch silnie anarchistyczny” to tylko i wyłącznie dobrze się sprzedająca poza.

Autor „Ziemi” bowiem lubi podkreślać – także i jako domorosły śpiewak na scenach przed młodzieżą – że bardzo mu się podoba tradycyjny włoski fašyzm, a Niemów krytykuje tylko za to, że zanadto zdecydowanie odrzucili oni swoje wojenne tradycje, także i te z okresu nazizmu. No i teraz nie potrafią nawet obronić swoich kobiet przed napaściami obcych na ulicach miast niemieckich. Za remedium zaś na wspomnianych przez tłumacza rosyjskich oligarchów Jelizarow uważa niezmiennie Stalina, o którym też śpiewa z knajackim uwielbieniem na swoich koncertach w Rosji.

No więc ja bym też dzisiaj Jelizarowa zdecydowanie nie wydawał, ale na pewno również nie polecałbym nikomu truć się, i to akurat teraz, nad jego przekładem. Autor bowiem „Ziemi” – nazwanej nader adekwatnie jeszcze przed wojną „filozofią rosyjskiej śmierci” – jest za tę wojnę naprawdę bezpośrednio od-

powiedzialny, podobnie jak grupa innych pisarzy putinowskiej Rosji – z Prilepinem, Łukianienką i Prochanowem na czele. ●



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

*Grzegorz Przebinda

• ur. w 1959 r., rusycysta i historyk idei, profesor UJ. Dwa lata temu wydał „From Chaadayev to Solovyov. Russian Modern Thinkers Between East and West”, wyd. Irena Grudzińska-Gross, Peter Lang 2022. W 2023 r. ukazał się w Znaku jego dziennik pierwszego roku wojny Rosji przeciwko Ukrainie – „Ostatnia wojna Putina. Rozprawa filologa z Rosją”. Tytuł tekstu – „Wyborcza”.

Po wyroku na Swietłanę Pietrijczuk i Żenię Berkowicz

Gdy słyszą „kultura”, posyłają do łagru

W Rosji artyści i pisarze mają się dziś tak samo źle jak w czasach sowieckich

Wiktor Jerofiejew*

Lodowata, czarna noc autokracji zstąpiła na Rosję Putina. Demokratyczna i parlamentarna fasada się sypie, uderzana huraganem. Najwyższy czas żyć w nowy sposób, w zgodzie z ciemnością. Bo to w niej wszystko tonie.

Ale nie dla cara. Dla Putina i jego świty to słoneczne południe autokracji. Może nawet żar, który leje się z nieba. Co robić? Puścić się w taneczny korowód. Wysławiać cara, jego sprzeciw wobec satanizmu Zachodu, jego uparte pragnienie, by uwolnić Ukrainę od „neonazizmu” i gdzieś tam z tyłu głowy wiedzieć, że Jalta 2 wkrótce nadejdzie. Świat zostanie podzielony na trzy części: Chiny, Rosję i Amerykę. Wszystko zmierza w tę stronę.

Kremlowskie elity biją brawo carowi. Opozycja polityczna została zmiażdżona. Niektórzy są już na tamtym świecie, niektórzy w więzieniu, niektórzy na wygnaniu.

Południe i czarna noc jednocześnie? W Rosji to nie nowina. Jest to raczej historyczny wzorzec zmieniający się w historyczną klątwę.

A co na to ludzie? Przyzwyczaili się do wiecznego ładatu i popadli w izolację w pragnieniu przetrwania, poddając się władzom pod wpływem propagandy lub z wyrachowania. Blisko 15 proc. naszej populacji to osoby o nastawieniu europejskim, głównie w dużych miastach; blisko 15 proc. to wielbiciel kultu władzy i twardej autokracji, stalinizmu i opryczniny na modłę Iwana Groźnego. Cała reszta to „zwykli ludzie”, którzy mruczą, że szefowie „wiedzą lepiej” i tylko, proszę, niech nasi synowie i ojcowie mniej giną na tej wojnie.

Wojna jako motor autokratycznego postępu trwa już od blisko trzech lat, zapowiadając jednak rychły upadek kolejnej autokracji. Ale zanim się skończy, jak się wydaje, dochodzi do masakrowania kultury.

Car Mikołaj I zmiażdżył dekabrystów i wziął się za kulturę. Ocenzuował Puszkina, ogłosił, że najmądrzejszy człowiek w Rosji, filozof Piotr Czaadajew, jest szalony. Stalin po zwycięskiej wojnie zmiażdżył dwoje wybitnych pisarzy: poetkę Annę Achmatową i humorystę Michaiła Zoszczenkę. Następnie postanowił deportować wszystkich radzieckich Żydów na Syberię i ogłosił kremlowskich lekarzy mordercami; dzięki Bogu w porę zmarli.

Teraz, po porażce politycznych przeciwników autokracji, niezależna kultura stała się przedmiotem zaciekłych ataków. W lipcu zakończył się proces dwóch postaci ważnych dla rosyjskiego teatru, Żeni Berkowicz i Swietłany Pietrijczuk. Zostały oskarżone o propagandę terrorystyczną i radykalny feminizm, i skazane na sześć lat łagru.

Wielu wielbicielom współczesnej kultury rosyjskiej zaparło dech w piersiach. Wyrok był bezlitosny i oczywisty od samego początku – żadnych protestów, żadnych prawników. Werdykt spadł z góry jak ogromny kamień i zmiażdżył wszystkich swoim demonstracyjnym charakterem, zagrażając każdej twórczej osobie w kraju.

Za co sądzono dramatopisarkę Swietlanę i reżyserkę Żenię, które przed wojną wystawiły w Moskwie sztukę „Finist – dzielny sokół”?



• Swietłana Pietrijczuk (z lewej) i Żenia Berkowicz przed moskiewskim sądem, 8 lipca 2024 r. FOT. ALEXANDER ZEMLIANICHENKO/AP/EAST NEWS

Kiedy zapadł wyrok, jeszcze raz uważnie przeczytałem sztukę i nie ma w niej żadnego usprawiedliwiania terroryzmu. Te kochające wolność autorki brzydzą się jakąkolwiek jego formą. To sztuka o kryzysie współczesnej moralności, kiedy w poszukiwaniu fundamentów życia, a przede wszystkim prawdziwej miłości, młode Rosjanki znalazły się w pułapce zastawionej przez radykalne organizacje terrorystyczne. Chciały znaleźć męski ideał, bohaterów pełnych siły i religijnej wiary – znalazły szumowiny. Westchnienie bohaterki sztuki (nie autorki!), wyrażone w jednym zdaniu, o moralnej „połowiczności” rosyjskich „facetów”, wywołało eksplozję wściekłości na Kremlu.

Ale wcale nie chodzi o tę dobrze napisaną (brawo, Swietla!) sztukę. Osobliwością tego procesu był nie tylko główny zamaskowany świadek oskarżenia, komunikujący się za pomocą łącza audio zniekształcającego głos, i pewien wielce zadowolony z siebie dramaturg z Niżnego Nowogrodu, który ogłosił się prostym patriotą. Takich patriotów w czasie wojny z Ukrainą namnożyło się w naszym kraju... W rosyjskiej kulturze górę wzięli ludzie zapałtrzeni w putinowskie idee dobra i zła.

Osobliwość tego procesu polega na tym, że obie młode kobiety nie były sądzone za sztukę; za oskarżeniem kryło się pragnienie zemsty. Pochodzące z samej góry.

Znam Żenię Berkowicz jako reżyserkę teatralną od lat. Wystawiła spektakl oparty na mojej powieści „Rosyjska piękność” w moskiewskim teatrze Centrum Gogola. Był naprawdę znakomity, łączył tradycje rosyjskiego teatru realistycznego z najnowszymi trendami w światowej sztuce dra-

matycznej. Publiczność śmiała się, płakała. Sztuka była wystawiana przez wiele lat.

Jeśli wyobrazimy sobie Żenię jako silną, promienną osobowość, to jest ona dokładnym przeciwieństwem Putina. Zawsze otwarta na twórcze eksperymenty, dumna, nieugięta, ironiczna i kpiąca, czasem arogancka, stała się i pozostanie symbolem twórczej Rosji naszych czasów, i trafi do podręczników.

Żenia zasłynęła z całej kaskady twórczych aktów. Wyróżnia się tu szczególnie jej już wojenny wiersz – wyobrażenie dziadka, który „przychodzi” do swego wnuka Siergieja i prosi go, aby nie zamieniał go w wyzytówkę wojny. Wiersz ten jest sprzeczny z tendencją propagandy, by łączyć wojnę lat 1941-45 przeciwko nazizmowi z dzisiejszą wojną przeciwko ukraińskiemu „neonazistom”.

Imię tego wnuka, Sierioża, okazuje się imieniem głównego dziś cenzora niezależnej kultury, Siergieja Nowikowa, byłego liberała, dziś na wysokim stanowisku na Kremlu. W każdym razie wiersz zamienił się w rodzaj modlitwy o zbawienie dusz za równo wnuka, jak i sprawy. I stał się w sieci wiralem.

Zgodnie z logiką wyższych władz nie można wybaczyć takiego wiersza, nie można też za taki wiersz sądzić: byłaby to reklama. A oto jeszcze bardziej „prowokacyjny” wiersz Żeni, który dosłownie wysadził w powietrze obóz patriotów:

„Lecą po niebie żółtodzioby/ Do miejsc w dalekiej stronie/ W dole otwarte trumny groby/ A w górze pustka zionie

Lecą po niebie goli cali/ Gówno i rozkład w dole/ Mogliby w lepetyną palnąć/ Lub oddać się w niewolę...

Mogli też nie być watnikami*/ Nie jeść nie pić nie grabić/ Rozprawić się z towarzyszami/ A nawet Jego zabić...”

przeł. Zbigniew Dmitroca
[*watnicy – pogardliwe określenie ludzi popierających Kreml; pochodzi od pikowanej kurtki z waty, elementu ubioru żołnierzy Armii Czerwonej].

Stop! Tutaj pojawia się groźny znak: czaszka i kości. Tutaj myślimy o Borysie Niemcowie, który w ukraińskim programie TV nazwał Putina „pojebem” i prawdopodobnie za to został zabity. A co zrobić z Berkowicz? Znaleźć kolejny powód, by ją uwięzić.

No i znaleźli pretekst, sztukę „Finist – dzielny sokół”, która przed wojną otrzymała państwową dotację, ważne nagrody teatralne. Za taką sztukę pod sąd? Ale

zemsta jest silniejsza od rozumu. Wzięli Żenię i osądzili. I Swietę, bo znalazła się w złym towarzystwie.

Po wyroku intelektualści w Rosji i za granicą zaczęli porównywać czasy sowieckie z obecnymi, podkreślając, że kultura ma się dziś tak samo źle jak w czasach sowieckich!

Pisarzy i dramaturgów rozstrzeliwano w czasach Wielkiego Terroru. Pasternak dręczył Chruszczow za „Doktora Żywego” i literacką Nagrodę Nobla. Pisarze publikowani na Zachodzie, Siniawski i Daniel, zostali posłani do więzienia za Breżniewa. Potem był skandal z Brodskim, uznanym za pasożyta i sądzonym za poezję.

Chciałbym przypomnieć, że już wczesny Putin, którego Zachód całował, nie wyróżniał się zamiłowaniem do wolnej twórczości. W 2002 r. trzech pisarzy, Władimir Sorokin, Wiktor Pielewin i ja, zostało faktycznie uznanych za wrogów rosyjskiej kultury, ale wtedy pisarze nie byli jeszcze sadzani do więzienia, tylko maltretowani słowem. Choć nie tylko.

Pamiętam, jak w Moskwie proputinowska młodzieżówka postawiła 30 kiosków, w których można było oddać nasze książki i otrzymać w zamian książki „porządnych” autorów. Na naszych była pieczętka „Zwrot autorowi”; były masowo niszczone pod drzwiami naszych mieszkań.

Noc autokracji nadchodziła stopniowo, w atmosferze rosnącego zdumienia wśród niezależnych dziennikarzy czy opozycjonistów. Zdumienie rosło, a reżim się usztywnił. Jednak nie spodziewałem się tak okrutnego wyroku. Sześć lat dla tej samej Berkowicz, która przysparzała małe dzieci, która jest pełna twórczych i rodzinnych planów! Ale nastał czas, by się niczemu nie dziwić. Wystarczy spojrzeć w stronę Ukrainy. Zniszczenie i śmierć w całym tym kraju. Ile lat potrwa gojenie się ran nienawiści? Niektórzy mówią, że 15, inni, że nigdy się nie zagoją.

Jeśli spojrzymy na karuzelę rosyjskiej historii, kiedyś zapewne nastąpi wytchnienie, być może Żenia i Swieta zostaną zwolnione (wraz z innymi więźniami politycznymi), gdy tylko zakończy się wojna. Rosyjska historia lubi przeplatać długie okresy autokracji z krótkimi odwilżami, kiedy to nie płyną łzy rodzin skazanych, ale strumienie stopionego lodu totalitaryzmu.

Na czym będzie polegać nowa odwilż, co się będzie działo w kulturze, co się zmieni w moralności? Może karuzela przestanie się kręcić? I co będzie potem, po tej ciemności? Miejmy nadzieję, że to, co najlepsze. Ale gdzie to „najlepsze” znaleźć? Trudne pytanie. ●
przeł. arp



FOT. ASAVIN/DOMENA PUBLICZNA

*Wiktor Jerofiejew

• ur. w 1947 r., znany pisarz rosyjski. W Polsce ukazała się m.in. jego mroczna baśń dla dorosłych „Różowa mysz” (do kupienia na Kultu-ralnysklep.pl i w formie e-booka na Publio.pl). Tytuł tekstu – „Wyborcza”

ZAMYKAM OCZY I WTEDY WIDZĘ

Zawsze musiałem się bawić. Ciągłe jestem tym Grzesiem w gruzach Wrocławia, który bawi się żołnierzykami.



FOT. MATEUSZ SKWARCEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Wojciech Szot

Od 1977 r. przygody Thorgala Aegirssona, jego rodziny i przyjaciół (a także nieprzyjaciół) śledzą miliony fanów na całym świecie. W najlepszych czasach tworzone przez Grzegorza Rosińskiego i Jeana van Hamme'a zeszyty z przygodami Thorgala sprzedawały się w nakładach przekraczających kilkadziesiąt tysięcy egzemplarzy. Wydawało się, że ta przygoda nigdy się nie skończy. Pierwszy szok świat – nie tylko komiksu – przeżył w połowie pierwszego dziesięciolecia XXI wieku, gdy rozstanie z „Thorgalem” ogłosił scenarzysta Jean van Hamme. Drugi – w 2018 roku, gdy okazało się, że „Aniel”, 36. tom tej niezwykle popularnej serii komiksowej, będzie ostatnim. Ry-sownik serii Grzegorz Rosiński ogłosił to jeszcze przed jego narysowaniem. Seria jest kontynuowana przez innych twórców. – To, że skończyłem z „Thorgalem”, nie oznacza, że skończyłem z rysowaniem, które pozostaje pasją mojego życia – mówił jednak Rosiński w 2018 roku.

Z **GRZEGORZEM ROSIŃSKIM**
ROZMAWIA **WOJCIECH SZOT**

WOJCIECH SZOT: Maluje pan?

GRZEGORZ ROSIŃSKI: Rzadko, raczej skromnie. Postanowiłem odejść w najlepszym momencie, nie mam już pożywki.

Czyli czego?

– Scenariuszy Jeana van Hamme'a. Bardzo mi ich czasem brakuje. Postanowił robić inne rzeczy – filmy, pisać książki. Mam też wrażenie, że wystrzelał się z pomysłów. Nigdy o tym nie rozmawialiśmy. W ogóle mało rozmawialiśmy o przyszłości. O samym „Thorgalu” również.

Kiedy mieszkalem w Brukseli, spotykaliśmy się często, ale mieliśmy mnóstwo innych tematów do rozmów. Doskonale się znaliśmy, wiedziałem, jakie ma poglądy na

życie, i miałem do niego pełne zaufanie. On do mnie również.

To jednak trochę zaskakujące, że o tym nie rozmawialiście.

– Zaskakujące? Nie było powodu.

Czuje się bardziej ilustratorem niż ry-sownikiem komiksów. Zawsze byłem związany z literaturą, nie mogłem sobie pozwolić, żeby zadzwonić do autora i powiedzieć, że chciałbym, żeby coś zmienił, bo mi nie pasuje. Żywiłem się literaturą. Ale nie jestem na emeryturze, ciągle muszę coś robić.

To co pan robi?

– Widzi pan... zmuszam się. Walczę. Ciągłe jest ze mną ktoś w rodzaju Jiminy'ego Cric-keta z „Pinokia”, który siedzi na karku i mówi: „Ty, Rosiński, musisz coś zrobić, po to jesteś”. Nie zawsze mogę. W pewnym momencie poczułem zmęczenie materiału, trudności ze zginaniem palców, które są odpowiedzialne za trzymanie ołówka i pędzelka.

Ciągle sobie obiecuję. Nie ma takiego dnia, poranka, żebym – po obudzeniu się – nie obiecywał sobie, że będę coś robił. Tylko rzadko coś z tego wychodzi. To kwestia zdrowia, ale też tego, że ciągle coś się dzieje wokół mnie, coś wypada.

Nie ma co narzekać... Jest w porządku, bo jeszcze żyję. Większość moich kolegów już, niestety, nie.

Co pan czyta?

– Na pewno nie komiksy.

Dlaczego?

– Proszę pana, komiksy robię. Albo robiłem. Z twórcami tak już jest, że filmowcy rzadko chodzą do kina, bo nie mają na to czasu. Ludzie teatru też nie tak często oglądają inne sztuki. Malarze malują, ale nie chodzą po wystawach.

Czym się żywiła pana wyobraźnia, gdy pan malował?

– Świat trzeba sobie wyobrazić. Zamykam oczy. I wtedy widzę. Radziłem to studentom w Szwajcarii – zamknijcie oczy, zobaczycie cały świat inaczej. Świat po swoimemu, nie

tak, jak go widzi kolega czy ktoś inny. Nie rozumie.

Dzisiaj studenci stawiają na osobowość, wypracowanie własnego stylu. Myślą, że jak ciągle będą robić to samo, to staną się rozpoznawalni. I tak dorobią się osobowości. Dla artysty to śmiertelna pułapka. Przekleństwo. Gdy ta zaraza dopadnie młodego człowieka, to trudno mu będzie się od tego uwolnić. Szczególnie gdy to zacznie przynosić pieniądze.

Czasem się mnie pytają, jak to się stało, że zrobiłem tzw. karierę na Zachodzie. To nie było proste, ale wydaje mi się, że w przeciwieństwie do tamtejszych autorów nie byłem nikim skażony. Nie miałem własnie osobowości zdobytej na kimś innym. Nie miałem idoli, bo pochodziłem z kraju, w którym komiks niemal zupełnie nie istniał.

Wyjechałem na Zachód też po to, by nauczyć się być jak oni. Zrozumieć, o co chodzi. Nigdy nie chciałem być klasycznym ry-sownikiem komiksu. Dalej chciałem tworzyć ilustracje, obrazy, obrazki. Różne rzeczy, najchętniej na bazie literatury.

Marzył pan o tym, żeby zilustrować jakiś tytuł?

– Jasne! Ciągłe marzę. Ostatnio nawet mi się udało, ale autor zmarł, i nie wiem, jak się potoczą dalsze losy tego pomysłu.

Co to był za tytuł?

– „Weiser Dawidek” Pawła Huellego. Bardzo bliska mi książka. Tam jest całe moje dzieciństwo. Robiłem to, co te chłopaki. Tyle że w Breslau, we Wrocławiu. Zabawy były te same. Gdzieś w trawie znajdowane szmajsery. Grass opowiedział ten klimat

Marzyłem, żeby zilustrować „Weisera Dawidka” Pawła Huellego, bo tam jest całe moje dzieciństwo. Ale autor zmarł.

w „Błaszonym bębenku”. Wracają do mnie wizje z tamtych lat.

To we Wrocławiu, gdzie w ruinach, znalazłem swój pierwszy komiks. „Max und Moritz” Wilhelma Buscha. Mieliliśmy też „Biblię” z ilustracjami Gustava Dorého. Chodziły te komiksy za mną wiele lat.

Nie było przyzwolenia na rysowanie komiksów?

– O to przyzwolenie trzeba było powalczyć. Ale z drugiej strony zawsze robiłem to, co chciałem. Nikt nie mógł mi niczego nakazać, zmusić mnie do rysowania czegoś, co mi się nie podobało.

A co się panu nie podobało?

– Nigdy nie podobało mi się – i dalej tak jest – używanie ilustratorów do celów politycznych. Robienie z nich propagandystów. Jest różnica między tym, że rysowało się radzieckich partyzantów, a robieniem bohaterami ludzi, którzy gwałcili i palili wsie, co się dzisiaj dzieje. Ja się z fałszowaniem historii nie zgadzam. Historii nie można zmieniać.

Ale można opowiedzieć na nowo.

– Ale trzeba do tego mieć czyste intencje, argumenty i robić to inteligentnie. A nie po chamsku. Wie pan, ja propagandę przeżyłem i ona była o wiele bardziej inteligentna, sprytniejsza niż ta, którą widzimy wokół. Dzisiaj powtarza się historia, którą pamiętam z młodości – uwodzenia rysowników przez mamonę. Można było bardzo dobrze żyć, robiąc te wszystkie okropne rzeczy.

„Żbika” pan rysował...

– Ale tam nie było żadnej polityki ani propagandy. Inna sprawa, jak te komiksy były wykorzystywane, co z nimi robiono, ale to już nie moja sprawa. „Żbiki” nauczyły mnie rysować. Pamiętam, jak dostałem zlecenie na pierwszy album – okazało się, że nie umiem rysować. Jakbym wrócił do poziomu sprzed liceum. Bo to w liceum zakazano mi rysować komiksy. I długi czas tego nie robiłem. Szły mi inne rzeczy, zajmowałem się sztuką przez duże S.

Kiedy zaczyna się sztuka przez duże S?

– Gdy się pojmie, na czym polega ekspresja, forma, kompozycja, tysiące technicznych rzeczy. Dla mnie niezwykle ważna jest zabawa światłem. Gdy się to zrozumie, można zrobić wszystko. Dlatego u młodych twórców komiksów tak mnie irytuje ich brak kultury plastycznej.

Co u pana ukształtowało kulturę plastyczną?

– Wszystko. I XIX wiek, i renesans. Znajomość historii sztuki, fascynacja psychologią i socjologią.

Gdy studiowałem, uważałem, że wszystko trzeba poznać. Na ASP wybrałem pracownię profesora Tchórzewskiego, który tworzył sztukę abstrakcyjną, żeby się przekonać, czy to ja zwariowałem, czy świat.

I co się okazało?

– Oczywiście, że świat.

Zawsze ciekawiło mnie mnóstwo spraw. Zawsze myślałem, że jak czegoś nie dotknę, gdzieś nie zajrzę, to potem będę żałował i czuł brak tej wiedzy. Na przykład uwielbiam stare książki.

Kupuje pan?

– Musiałem to w sobie zdusić, bo po prostu nie ma miejsca.

Na widok których tytułów szybciej biło panu serce?

– Serce to może bić szybciej na widok kobiety. Bez przesady.

To jak pan dokonywał wyboru książek?

– Przede wszystkim kupowałem książki ilustrowane. To moja największa pasja.

Gdy dzisiaj przyglądam się swoim dawnym komiksom, to widzę własny rozwój. Każdy kolejny „Żbik” to jest coś nowego. Ostatnio oglądałem wydane w 1975 roku „Od Walii do Brazylii”, komiks poświęcony mistrzostwom świata w piłce nożnej. Bardzo mi się podoba. Uważam, że to jeden z najlepszych albumów sportowych – rzetelny, prawdziwy. Pokazywałem go kiedyś Seppowi Blatterowi i był zachwycony, bo umiał rozpoznać każdego z zawodników.

W związku z tym komiksem zaproszono mnie wtedy do telewizji, do programu „Trybunał wyobraźni”. To był cykl poświęcony dzielom sztuki, o które sprzeczczały się krytycy. No i wzięli na tapet mój komiks. Zostałem niejako oskarżonym, a oni rozmawiali o tym, czy komiks może być częścią popkultury...

Czy ktoś gwizdał?

Nie, chyba nie.

– Bo to może być Krysia, moja partnerka. Wie pan, jestem trochę głuchy i czasem musi na mnie gwizdnąć.

Chce pan o was opowiedzieć?

– Nie mam żadnych tajemnic, proszę uprzejmie rozkrając tę żabę. Moja żona, która zmarła kilka lat temu, była moim motorem. Wydawcy woleli rozmawiać z nią niż ze mną. I po jej śmierci wszyscy się o mnie martwili, myśleli, że jak jej nie ma, to zaraz i ja się posypię. Ale żyć jakoś można, trzeba się pozbierać.

Na wystawie w pana ilustracji, którą można oglądać w Pałacu Kultury i Nauki, jeden rysunek mnie szczególnie zaskoczył. Przedstawia strajkującego robotnika z Huty Warszawa. To rzadkie, żeby dokumentował pan codzienność.

– Mieszkalem wtedy obok Huty. Pamiętam, że nic nie działało, wyłączyli telefon. Wyszędłem z mieszkania i stał tam pod bramą taki chłopak. Narysowałem go pastelem. Czulem, że dzieje się coś wyjątkowego, chciałem to zanotować.

Były czasy, gdy chodziłem po Warszawie z notesikiem. Były też czasy, gdy robiłem zdjęcia i publikowałem fotoreportaże. Byłem na każde wezwanie, tylko nie poli-



RYS. GRZEGORZ ROSIŃSKI / DZIEKI UPRZEJMOŚCI MUZEUM KARYKATURY

tyczne. Chociaż czasem trzeba było – zrobiłem na przykład 20-lecie PRL czy reklamę akcji „Zegarek za piątkę”. Pewnie dużo łatwiej by mi było odpowiedzieć na pytanie, czego nie robiłem.

A ten robotnik? To było coś niezwykle autentycznego. Musiałem go narysować. Potem już była tylko beznadzieja.

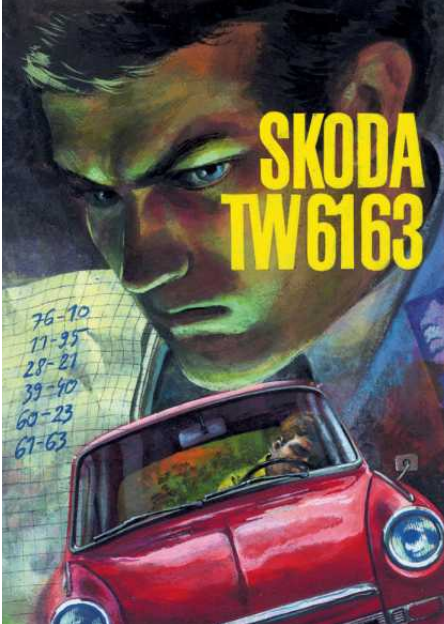
I pan wyjechał. Rysował pan później Polskę?

– Nie. Miałem robotę, „Thorgala”, scenariusze, mnóstwo rzeczy na głowie, trzeba było utrzymać rodzinę. Robiłem reklamę mydła czy innego proszku do prania. Obwoluty do kaset VHS rysowałem. Nigdy nie musiałem szukać roboty, to ona mnie znajdowała. Byłem punktualny, solidny. Nigdy nie spóźniałem się z oddawaniem rzeczy.

Gdy już miałem lepszą pozycję, próbowałem pomagać kolegom z Polski. Niestety, oni przeważnie z trudem się odnajdywali na Zachodzie. Brakowało pokory, ale też zrozumienia potrzeb wydawców. Wie pan, na moich wystawach najczęściej można zobaczyć te ilustracje, które wydawcy odrzucili. One są najlepsze.

Kłócił się pan, gdy odrzucano ilustrację?

– Skądże! Na odwrót – dziękowałem i obiecywałem poprawić. A potem niekiedy wysyłałem tę samą. Ale też popra-



wiałem, robiłem nowe. W ogóle mi to nie przeszkadzało.

Gdy dzisiaj ogląda pan swoje dzieła sprzed lat na ekspozycji, co pan czuje?

– Satysfakcję, nawet przyjemność. Widzę, że moja twórczość była ciągłym poszukiwaniem. Gdy dochodziłem do momentu, gdy w danej rzeczy czulem się pewnie, odczuwałem potrzebę zmiany. Na przykład gdy nauczyłem się jakiejś techniki, to ją porzucałem dla innej. Pewnie mógłbym udoskonalać swoje zdolności, ale coś mnie pchało do poszukiwań. Gdybym z tego zrezygnował, zdradziłbym samego siebie.

I nigdy nie poczuł pan, że już wystarczy? Że pan znalazł?

– Nie. Zawsze musiałem się bawić. Ciągłe jestem tym Grzesiem w gruzach Wrocławia, który bawi się żołnierzami. Dopiero skończyła się II wojna światowa. Grzebało się w ogrodzie. Nagle z ziemi wychodziło jakieś białe robactwo. Kopię dalej. Kości, czaszka. Dla dziecka to były fajne czasy.

To się śni?

– Nie. To zbyt realne. Ale są takie rzeczy, które rozgryzam po latach. Na przykład skąd się u mnie wzięło upodobanie do rysowania butów. W gazetach były szerokie marginesy dolne – nie dało się narysować całej postaci, ale buty już tak. I rysowałem, dziesiątkami.

I skąd te buty?

– Podczas wojny widziałem sznury drabiniastych wozów ciągniętych przez konie. Na nich plandeka, a spod niej tylko nogi wystawały. Gole. Pytam: – Mamusiu, dlaczego ci wujkowie nie mają butów? – Wujkowie śpią, odpoczywają i nie potrzebują butów – mówiła mama. I ja później im te buty dorysowywałem.

Dzisiaj mnie to śmieszy. Trochę przez łzy.

Rysuje pan wspomnienia?

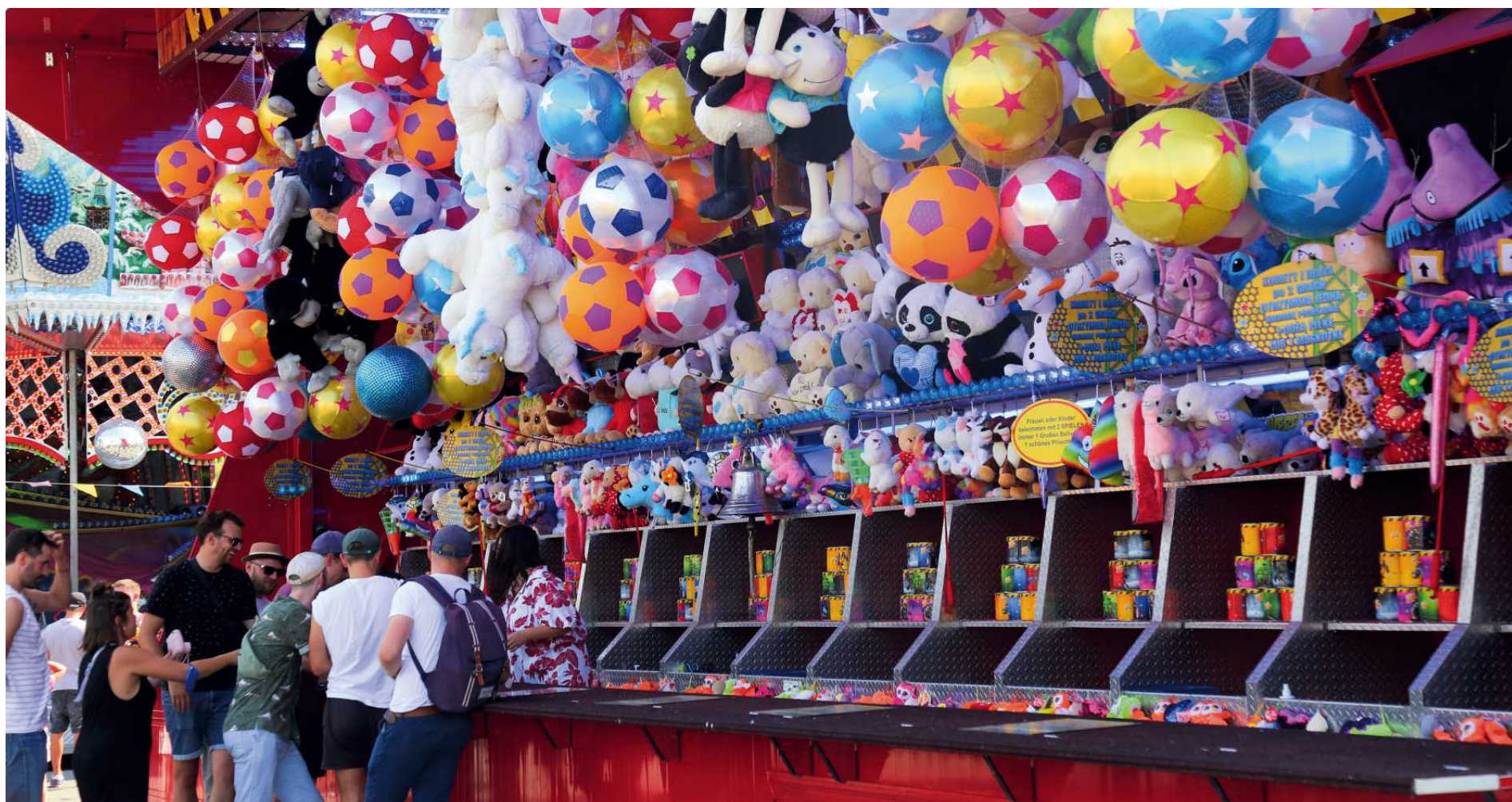
– Chciałbym to narysować, ale pewnie już nie zdążę. ●

• Przygotowana przez Muzeum Karykatury wystawa „Grzegorz Rosiński w ilustracjach” prezentowana jest od 15 czerwca do 8 września 2024 r. w Warszawie w Pałacu Kultury i Nauki (IV piętro). Wystawę zwiedzać można od poniedziałku do niedzieli w godz. 10.00-18.00. Wystawie towarzyszy katalog.

wyborcza	magazyn wyborczej	WOLNA SOBOTA
REDAKCJA: ul. Czerna 8/10, 00-732 Warszawa Telefon: 22 555 66 00; E-mail: redakcja@wyborcza.pl Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania. Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@wyborcza.pl REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik PIERWSZY ZASTĘPCA, REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Roman Imielski;	ZASTĘPCY: Aleksandra Sobczak, Bartosz T. Wieliński; MAGAZYN-KULTURA: Agata Żelazowska-Cieśla WOLNA SOBOTA: Mirosław Maciorowski (szef), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wieczorek, Jan Cywiński, Łukasz Grzymisławski, Igor Rakowski-Kłos GRAFICY: Paweł Kapusta, Jacek Konarski, Tomasz Lebiada, Agata Łuszcz, Jakub Piotrowski, Łukasz Rudnikowski FOTOEDYCJA: Rafał Wojciechowski, Dominik Gajda (Ale Historia) WYDAWCA: Wyborcza sp. z o.o., ul. Czerna 8/10, 00-732 Warszawa; NIP: 521-403-30-11	DRUK: Wyborcza sp. z o.o. PREZES ZARZĄDU: Wojciech Bartkowiak CZŁONKOWIE ZARZĄDU: Mikołaj Chrzan, Joanna Kwas Biuro reklam i ogłoszeń: reklama@wyborcza.pl; 22 555 55 55, faks: 22 555 54 44 Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.



DROGO, DROŻEJ, WAKACJE



• - Salony gier, automaty, sprężynki, zabawki. Dzieci wariują od tego - mówi Edyta. Na zdjęciu: Park rozrywki Holiday Park Szczecin FOT. CEZARY ASZKIELOWICZ / AGENCJA WYBORCZAPL, SHUTTERSTOCK

Małgorzata: Boli mnie, gdy polskie media często sztucznie nakręcają aferę wysokich cen.

Edyta Bryła

Uzy wakacje w Polsce są tańsze niż za granicą?

Paweł: Bez 200 zł nie ma co podchodzić

Paweł pracuje w obszarze cyberbezpieczeństwa w Legionowie. Od lat podróżuje małym kamperem. Na śniadania i kolacje robi wtedy zakupy w supermarketach, obiady je w knajpie. Najdrożej w sklepach było w Szwecji, w Niemczech taniej niż w Polsce. U nas w Lidlu wina czasem są po 15 zł, w Niemczech lokalne są za euro albo dwa. Na Słowacji też długo było sporo taniej, teraz ceny zbliżyły się do naszych. W Hiszpanii miał poczucie, że za tę samą kwotę co w Polsce tam mógł kupić więcej.

A knajpy? W czerwcu był na urlopie w Kołobrzegu. – W trzy osoby bez 200 zł nie

ma co podchodzić, nawet odliczając alkohol. Jedna zupa, jedno drugie tanie, stripsy z frytkami i wyszło 210 zł – mówi.

Żeby było tanio i fajnie, trzeba pokombinować. Dowiedział się od znajomego, że po rybę wędzoną lepiej niż do portu pojechać do hurtowni – tam jest o połowę taniej. Już sporo ludzi o tym wie, w sobotę nie ma jak zaparkować. A ceny takie: halibut wędzony – 60 zł za kg, karmazyn – 74 zł, makrela – 43 zł, dorsz – 35 zł, miętus – 60 zł.

Gdy Paweł podróżuje po Niemczech, je może za podobne pieniądze jak w Polsce, ale porcje są ogromne. – Wielki ze mnie chłop, ale 40-centymetrowego zebra nie zmęczę. Ceny nie sugerują tam ilości jedzenia – mówi.

Wspomina Zwickau – nic tam nie ma prócz muzeum Augusta Horcha, założyciela marki Audi, i tej fantastycznej restauracji. Pół kaczki jest za 14 euro, czyli 60 zł. W Warszawie wydałby 100 zł, może 80. Schab z frytkami 18 euro, kopytka z serem 12. Wszystko w porcjach nie do przejedzenia.

– W Polsce jedno miejsce, gdzie się tak najadam, w Łodzi, Rodzinna Caffè Bistro. Śniadanie angielskie po 35 zł, kaszanka z cebulką po 34 zł, i też dają trochę za dużo, więc można się najeść. Choć też, jakby policzyć z piciem, 200 zł można wydać z rodziną bez problemu – mówi.

Na wakacjach w Walencji jedzenie kosztowało według niego 20 proc. taniej. Kawa w bodegach, kioskach z kawą i przekąskami, była za 1,2 euro, śmiech na sali. Choć w najdroższych okolicach już nawet około 6.

– Fascynujące te bodegi. Są na każdym rogu, wieczorem się zamieniają w budki z piwem, też za 1,5 euro. W Warszawie to nieosiągalne, wydasz minimum 12-15 zł – mówi. A przystawki do piwa po 5 euro na osobę – marynowane owoce morza – trudno było przejeść.

Ceny oczywiście zależą od tego, gdzie się pojedzie. Ale jak nie do stolicy czy bardzo turystycznych miejsc, to wyjdzie taniej. – Kiedyś kumpel mi tłumaczył, że kraje na południu mają ciepło cały rok i łatwiej żyć z turystyki i gastronomii. U nas ruch trwa maksymalnie pół roku – mówi.

Paweł zauważył też większą kulturę jedzenia na mieście. Na przerwie w pracy nie wyciąga się kanapki i je w 20 minut, tylko idzie się do lokalu naprawdę odpocząć. Chodzi nie tylko o to, że dobrze się tam zarabia, ale też o większy do siebie szacunek.

Paweł: – Nawet robotnicy na budowie chodzili do bodegi na kanapkę – grilowaną z owocami morza! – i kawę, a nie przynosili jedzenia z domu. Po pracy też szli coś zjeść. Ceny są przystępne, więc

jest większy popyt i łatwiej utrzymać taki punkt. Zresztą widziałem to samo nawet w Czechach. Po godz. 13 przyszła grupa robotników na lunch do knajpy, zjedli pampuchy, wypili po piwie, zapalili jointa i wrócili do pracy.

Dariusz: Trzeba zarabiać szybko

Jest wiele krajów, gdzie można tanio jeść. Za 30-40 proc. polskich cen zjeść można w krajach Azji, Wietnamie, Indonezji, Tajlandii czy na Sri Lance, choć tam oczywiście trzeba zapłacić za drogi bilet. Za 10-15 zł obiad można zjeść w Uzbekistanie, do którego LOT otworzył już połączenia, choć to inny rodzaj wakacji – nie nad morzem.

Najtańsza z najbardziej dostępnych krajów wciąż jest Bułgaria – trzyosobowa rodzina może tam zjeść pełen obiad z deserem za 100 zł.

Ale 70 proc. Polek i Polaków wybierających się za granicę lata do Turcji, Grecji, Hiszpanii, Włoch, Chorwacji i Albanii. Są tam lokalne, rzadko mieszające się charakterystyczne kuchnie, z posiłkami dla rodziny za 40-50 euro.

– Ceny mogą być porównywane, ale jakość zwykle jest w tych krajach lepsza, jeśli chodzi o smak czy świeżość. Niestety, słynne ryby nad Bałtykiem nie są z Bałtyku ani nawet z morza. Narzekanie potem na jakość

nie bierze się z niczego – mówi Dariusz, szef dużego biura turystycznego.

Kawa to kuriozum, jest w Polsce bezdyskusyjnie i niewyobrażalnie droga – poza Londynem raczej najdroższa w Europie. We Włoszech czy Hiszpanii kosztuje po 1-2 euro, i to nie tylko espresso.

– Drobnie przysmaki, jak kawa, bagietka czy ciastko, kosztują do trzech euro. Że w Polsce są o wiele droższe, to dziwne i nie-naturalne – mówi.

Jego zdaniem Polskę opanowały sieciówki, które w Paryżu czy Rzymie są w określonych obszarach zakazane albo uznawane za obciach. Kawa ma być z lokalnych kawiarni, najlepiej od sąsiada, nie ze Starbucksa. Tańsze są też wina i piwo.

Jak mówi Dariusz, przez granicę Polska wciąż jest postrzegana jako tania. Nasza kuchnia jest dla turystów ciekawa, interesują ich kielbasa, pierogi, konina, kaszan-ka, kaczki.

– Ale my zwykle postrzegamy nasze lokale jako drogie. Oczywiście zachęcam, by dawać im szansę, ale jeśli klienci szukają tańszych wakacji w hotelu, teraz rekomenduję rezerwację z obiadowołacjami, bo od jakiegoś czasu opłaca się to bardziej – mówi.

Z kolei, jeśli ktoś wybierają się za granicę, radzi wziąć tylko śniadania, a na kolację jeść co dzień gdzie indziej. Cena często wychodzi podobnie, chyba że to rodzinny z dziećmi. Wtedy taniej wychodzi all inclusive.

Według niego problemem w Polsce jest krótki sezon – trzeba zarabiać szybko. Czy nie opłaca się pracować na lepszą renomę? Tu problemem jest niedojrzałość polskiego rynku. Dariusz dwa miesiące temu zakontraktował już zagraniczne hotele na lato 2025, za dwa tygodnie zakontraktuje lato 2026. W przypadku Polski hotelarzom wciąż trudno się określić nawet na przyszłą wiosnę. – Wciąż nie mają kalendarzy na przyszły sezon. Branża turystyczna boryka się z tym co roku, że w Polsce hotelarze kontraktują późno. Gastronomia to pochodna hoteli. Też mają bardzo krótką perspektywę – mówi.

Edyta: Można szukać perełek

Żeby nad polskim morzem było tanio, trzeba się postarać. Edyta pojechała z chłopakiem do Jastarni na tydzień i wydali po ty-siaku. Bilety na pociąg w dwie strony kosztowały łącznie 180 zł, noclegi za 500 zł były w domku tuż przy plaży.

Przywieźli ze sobą kilka słoików, a ryba w knajpie była tylko dwa razy. No i raz wyszli na wypaśne śniadanie po 60 zł za osobę. – To kwestia tego, że niewiele potrzebu-jemy, ale pieniędzy też mi szkoda, bo jedzenie w restauracjach na ogół mnie rozczarowuje. Można szukać perełek, ale czasem się trafi, czasem nie – mówi.

Tak więc zamierza wydawać na to, co jej sprawi większą przyjemność: lody choćby dwa razy dziennie, gofry, ciastko. Jasne, że to drogie, ale omijając knajpy, można sobie na nie pozwolić. – Za granicą byłoby inaczej, chętniej próbowałabym lokalnych specja-lów. W Polsce tego nie czuję. A najfajniejsze rzeczy są tu za darmo – uważa. Czyli plaża, morze (ciepłego i tak nie lubi), spacer w le-sie, codzienny show trenujących kajtowców, impreza z didżejem na molo.

– Nie każdy chce na urlopie szykować sobie jedzenie i zupełnie to rozumiem. Zwłaszcza jak się ma dzieci. Mam zna-jomych, którzy na wakacjach chcą mieć wszystko podane, a jak śniadanie na kempingu, to z jednorazowych naczyń, żeby nie zmywać. Super, ale mnie, bezzdientnej, nie robi to dużej różnicy – mówi.

Weronika: Na wynos kebab

W Polsce nad morzem odpowiednikiem takich hiszpańskich bodeg często są Żabki. Dzieci Weroniki co dzień kupowały tam hot dogi albo nuggetsy – to była alternatywna ziemniaka na patyku za 20 zł. Więc Żabki były oblegane.

Bywają w knajpach obiady z kotлетem po 30 zł, ale gdy szli na pizzę, kosztowa-ła po 50 zł na osobę. Jagodzianka z piekar-ni – 10 zł.

Do tego toalety na plaży kosztują 5 zł. Pięcioosobowa rodzina Weroniki tylko tak zostawiałaby 75 zł dziennie. Dzieci sika-ją więc do morza, dorośli chodzą do toi to-ia – jednego na całą plażę. Czuć, że inni wo-lą sikać w krzaki, a nawet w przebieralniach. – Przy plaży jest płatny parking, płacimy ten podatek klimatyczny. Powinny być w tej cenie chociaż darmowe toalety – mówi.

Weronikę stać na wakacje nad polskim morzem, bo może tam mieszkać u rodziny, ale poza tym bardziej się jej opłaca wyjazd za granicę, zwłaszcza do Włoch. Nawet po-za sezonem jest ciepło, więc nie trzeba jeść w restauracjach, tylko kupić po kawałku pizzy na spacerze. Koszt – 2 euro. Do tego są piekarnie, gdzie można zamówić kanapkę za 2-3 euro, a nawet za 1.

– W Polsce na wynos można wziąć keba-ba albo burgera. Kebab tańszy, ale nie każ-dy lubi, a burgery kosztują już po 50 zł. Ale trudno w Polsce zjeść coś na szybko bez or-ganizowania wyjścia do knajpy.

Czasem rodzina jedzie nad morze do miasteczek tuż za niemiecką granicą. Ceny są porównywalne, czasem niższe, ale pla-że czystsze, przy zejściach są krany do opłu-kania stóp. Toalety czasem za darmo, cza-sem na monetę. Do tego jest inny klimat, ład i porządek, nie ma architektonicznego bala-ganu i straganu jednego na drugim, samo-chodów na każdym krawężniku. – Po pol-skiej stronie stoją budy, sprzedają mydło i powidło i w każdej inna muzyka, do tego salony gier, automaty, sprężynki, zabawki. Dzieci wariują od tego, trudno przejść z ni-mi do plaży – mówi. A po niemieckiej? – Też są sklepy, ale nie jarmark.

Małgorzata: Nakręcamy się

Małgorzata Szumska, turystka i podróżnicz-ka, mówi, że nie ma reguły – zdarzają się miejsca tańsze i droższe wszędzie na świe-cie. Nie uważa jednak, żeby w Polsce było bardzo drogo. – To miejska legenda. Mam poczucie, że to nasz polski mental, że tak odbieramy ceny. Po sieci krążą „paragony grozy” i sami się nakręcamy na tę drożyznę, a prawda jest taka, że można tanio zwiedzić, zjeść i spać – mówi. I nie musi to być śmie-ciowe jedzenie czy beznadziejne noclegi.

Lubi jeździć po Polsce – gdy zwiedza swój kraj, ma poczucie, że pomaga polskiej gospodarce i wspiera polskie biznesy. – Je-śli wszyscy będziemy jeździć tylko za grani-cę, to te biznesy padną, a te, które przetrwa-ją, będą mogły robić z cenami, co im się po-doba – uważa.

Według niej problem z cenami polega na wyborze zbyt oczywistych kierunków, któ-re z racji dużego zainteresowania podno-szą często ceny. Ale gdyby się trochę wysi-lić, można znaleźć mniej zdeptane miej-sca, mniejsze atrakcje, które są dużo tańsze, a nawet bezpłatne.

Małgorzata jest też przedsiębiorczynią w branży turystycznej. Jest prezeską Ko-palni Złota w Złotym Stoku oraz właściciel-ka pensjonatu Złoty Jar na Dolnym Śląsku. – Staramy się być dostępni dla każdego. Ma-my darmowe place zabaw, toalety, parkin-gi i miejsca na piknik. A nawet jedną atrak-cję mamy za darmo – Muzeum Złotego Sto-ku – mówi.

Wyjaśnia, że wysokość cen noclegów, ga-stronomii czy atrakcji wynika z wysokich kosztów utrzymania firmy. – W Polsce od kilku lat stale rosną ceny produktów żywno-ściowych, prądu, pracownika itp. Rząd nie ułatwia nam pracy, staramy się jednak wy-póśrodkować wszystko, tak żeby nadal być atrakcją dostępną finansowo dla Polaków, ale też tak, żeby się utrzymać – mówi.

Zaznacza, że sezonowość w kraju jest trudna i w wysokim sezonie wiele obiek-tów musi zarobić tyle, by odłożyć na zimę i się utrzymać, gdy turystyka w wielu miej-scach umiera. – Boli mnie bardzo, gdy pol-skie media często sztucznie nakręcają afe-rę wysokich cen w kraju, strzelając w kola-no wszystkim tym, którzy wcale tak drodzy nie są. No ale skoro media mówią, że wszy-scy są, to słuchacz czy czytelnik nie ma pew-ną ochoty sprawdzać, czy naprawdę wszy-scy – mówi.

Woli się wtedy oburzać, że w kraju jest drogo, i wybiera zagranicę. A tam nie tak tanio: muzea w Berlinie kosztują od 11 do 30 euro, Wiedeń podobnie. W Paryżu za-czynają się od 12, czyli 50 zł tylko na start. A w Polsce wiele świetnych prywatnych muzeów nadal kasuje nawet od 15 zł czy na-wet 5 zł. Energylandia to 199 zł, Disneyland około 300 zł.

– Dlatego namawiam zawsze do zwie-dzania miejsc mniej znanych, gdzie obiad można zjeść w lokalnym barze mlecznym, a nie w restauracji przy samej plaży. Można czasami zrobić sobie piknik, spać w prywat-nych apartamentach. Ceny w Stoku za noc to około 20 euro. Przyznaj, że trudno zna-leźć taką cenę za granicą z dobrym standar-dem – mówi.

Marcin: W Rzymie mrożona pizza

Zdaniem Marcina, mieszkańca Wrocławia, w grę wchodzi psychologia – inaczej mózg re-aguje, jak widzi cenę 4-5 niż jak 30-40. Ale re-alnie też jest często taniej, choć zależy, do cze-go porównać. Jeśli do polskiego morza, to wy-jdzie na jego niekorzyść. – To katastrofa finan-sowa. Tam zdecydowanie może wyjść drożej w porównaniu z tym, co otrzymujemy w in-nych krajach. Za lepsze jedzenie trzeba już naprawdę sporo zapłacić – mówi.

– To banał, ale warto nie iść prosto do najbardziej obleganego miejsca, a trochę posnuć gdzieś dalej. Można znaleźć fajny produkt w dobrej cenie – dodaje.

W Lizbonie przeprawił się promem (atrakcja sama w sobie, kosztowała 2 eu-ro) na drugą stronę zatoki, gdzie ceny były znacznie niższe. Zamówił na przykład całą ośmiornicę za 12 euro. – Nie, że dwie macki, tylko całą. Trzy osoby mogłyby się tym spo-kojnie najeść. Byliśmy w szoku, że owoce morza można zjeść w takiej cenie i jakości. W Polsce pękłaby stowa – mówi.

Z Lizbony zapamiętał rozrzucone po mieście kioski z kawą – pije się ją na stoją-co – śniadaniownie, sklepy-cukiernie. – Ale w upały też jest tak, że jeść chce się mniej i można się zadowolić przekąską – mówi.

W Barcelonie też posilki porównywalne do polskich wychodziły taniej, poza stric-te turystycznymi miejscami. Tapasy by-ły od 3 euro, kanapki z szynką parmeńską 2-5 euro.



*Najtańsza jest Bułgaria
– trzyosobowa rodzina
może tam zjeść pelen obiad
z deserem za 100 zł*

Ostrzega, że w niektórych miejscach nie ma co oczekiwać wyższej jakości niż nad Bałtykiem. – Jak się ma wyobrażenie, że w Rzymie jest dobra pizza, łatwo się rozczarować. Knajpy nawet o tym ostrzegają. Mia-łem sytuację, że w menu była gwiazdka, że pizza jest mrożona. Warto wtedy iść dalej, gdzie wypiekają świeżą – mówi.

Na Sycylii było podobnie. W jednym miejscu arancini pani wyjęła z lodówki i wsadziła do mikrofali, i było paskudne. Ka-walek dalej było robione na miejscu, smako-wało zupełnie inaczej, a kosztowało podob-nie, około 5 euro.

Jeśli chodzi o wstęp do muzeów, radzi, by sprawdzać, czy w niektóre dni nie ma darmowych wejść – zdarzają się w konkret-ne dni tygodnia albo święta. Trafił tak na przykład w Uffizi we Florencji, w święto Re-publiki Włoskiej 2 czerwca. – Były kolejki, ale nie na pół dnia. I było warto, ekspozy-cje są fantastyczne. A nam zostało 60 euro w kieszeni – mówi.

Zwraca też uwagę na supermarkety. Za granicą w tej samej sieci co w Polsce często jest bardziej różnorodna oferta, zwłaszcza jeśli chodzi o lokalne produkty. – Sieciówka może się słabo kojarzyć, ale warto wejść dla fajnej garmażerki, gotowych dań, ryb w do-brych cenach – mówi.

Justyna: Drożej niż w Grecji

Justyna mieszka we Wrocławiu, pracu-je w finansach. Mniej patrzy na ceny, bar-dziej na jakość. W Polsce często porów-nanie wygląda kiepsko. – W Polsce za 40 zł w miejscowości turystycznej dosta-niesz podłej jakości syf, a w Grecji za 10 eu-ro przyzwoite danie. Może nie homara, ale dobrą sałatkę już tak. Najdroższym da-niem była grillowana ośmiornica z frytkami i surówką za 15 euro. Nie trzeba było się zapuszczać zbyt daleko, szukać – to było niedaleko atrakcji – mówi.

W Polsce, gdy idzie coś zjeść, na przykład nad polskim morzem, cały czas ma wrzące oszustwa. Każdy chce dać byle co za jak najwyższą cenę. Najgorzej – czy można się dziwić? – wypadają w Polsce miejsca stric-te turystyczne. Justyna kilka razy była nad morzem i w górach. Jeśli chcesz zjeść blisko atrakcji turystycznej, to jedzenie jest kiepskie, a bardzo drogie. Ryba jest obita w pa-nierkę, byle waga była wyższa, dodatki naj-tańsze, a sprzedawane jak najdrożej. – Niektórzy mówią, żeby poszukać jadłodajni z domowymi obiadami, ale jak gdzieś jadę, chcę zjeść fajne rzeczy, a nie to, co w domu. Nad morzem chce się zjeść tę rybę, ale trud-no o dobrą jakość. Zwykłego marynowane-go śledzia sprzedają za ponad 100 zł – mówi.

Jeśli ma smakować naprawdę dobrze, to trzeba się wykosztować jeszcze bardziej. Raz usiadła na śniadanie w przyjemnej knajpce z klimatem, nie było się do czego przeczepić, ale tam za jajka poche i grzankę zapłaciła 60 zł.

Za granicę wyjeżdża dwa razy do roku. Tam zwykle czuje, że dostaje porządną po-silek, jest dobrze podany i smakuje. – Nie mam tam poczucia, że dla właściciela jest ważne tylko to, żeby klient przyszedł raz i zapłacił. Nawet jak przyjdzie raz, to obsłu-ga jest z szacunkiem – uważa.

Myśli, że to kwestia tego, że południo-we kraje bardziej celebруют jedzenie, chcą, by było jakościowo. Dwa lata temu, jeszcze przed największym wzrostem inflacji, poje-chała na tydzień do Grecji, a zaraz potem na tydzień nad polskim morzem. Zakwatero-wanie było podobne i w podobnych cenach (po mniej więcej 2,5 tys. na trzyosobową ro-dzinę), w kwaterach prywatnych. Trochę gotowali w domu, trochę stołowali się na mieście. Była zdumiona, że wakacje w Pol-sce wyszły 2 tys. drożej. Dlaczego? Drożej wyszły zwykle, codzienne wydatki – kawy, lody, desery, picie. – W Grecji też je kupowa-liśmy i też nie było supertanio, kawa i cia-sto to już 10 euro, ale w Polsce tylko suchy gofr kosztuje 20 zł. Do tego w restauracjach woda jest tylko płatna, a w Grecji przynoszą darmową – mówi.

W Grecji nawet na all inclusive była je-dzeniem zachwycona, choć spodziewała się, że też będzie obsługa na zasadzie „byle du-żo, ale kiepsko”.

Wspomina, jak na Krecie zachwyciła ją gór-ska restauracja, do której zjechali z tra-sy w drodze do Chanii. Fantastyczny klimat, ale miejsce raczej odludne, innych klien-tów nie było. Cen nie pamięta, ale nie było drogo. Za to właściciel przechodził sam sie-bie, by najlepiej obsłużyć rodzinę. Przyno-sił mnóstwo przystawek do spróbowania, proponował lody dla dziecka. Był tam sklep z oliwami, więc gdy rodzina zrobiła zakupy, dołożył każdemu po buteleczke. Kiedy wró-ciła po wodę, dostała butelkę za darmo.

– Jasne, że robił to, by zarobić, jak każ-dy restaurator, ale można się było tam po-czuć mile widzianym gościem. Choć to by-ło 40 km od naszej kwatery i w ogóle nie po drodze, wróciliśmy tam jeszcze dwa razy. Tak było miło – mówi.

W Polsce w pamięć nie zapadło jej tak żadne miejsce, by chciała tam wciąż wracać.

Inny przykład. W Hiszpanii były bezpłat-ne albo bardzo tanie zajęcia na plaży dla dzieci, w Polsce dziesięć minut skakania na dmuchańcu kosztuje 20 zł.

W tym sezonie wybiera się jeszcze z ro-dziną na Mazury, spędzi w hotelu tydzień za 8,5 tys. (w cenie śniadania). – Nic albo nie-wiele musiałabym dołożyć, żeby pojechać za tyle za granicę – mówi. ●

Letnie festiwale od Kazimierza do Horyńca

Boska bezkresność

Pytam, kto leży na cmentarzu. „Ukraińcy – pada odpowiedź. – Tu działały się rzeczy straszne”

Jarosław Mikołajewski

Było jak zabawa w łączenie punkcików na mapie. Grażyna Torbicka zaprosiła mnie na początek sierpnia do Kazimierza, Piotr Duda – do Szczepieszyna i Zamościa, Elżbieta Szymańska – do Horyńca. I tak moja festiwalowa trasa narysowała się sama. Jak kilkusetmetrowy wyścig z samym sobą. Rozmowa z pejzażem, mieszkańcami, koleżankami i kolegami „po klawiaturze”, jak mówił Krzysztof Mętrak, po słowach, dźwiękach, myślach, obrazach, historiach. Rzadko biorę udział w festiwalach. Za dużo w nich nagromadzenia zaplanowanych zdarzeń, za dużo terminów, dyscypliny, koordynacji, zależności w rodzaju „Mam spotkanie o 16. Czy pan przyjdzie?”. I na jutro przy śniadaniu trzeba się często tłumaczyć, że po drodze spotkałem kogo innego, zapatrzyłem się na motyla, na Wisłę. Ponadto nielato jest zgrać zaproszenie z terminem wolnym także dla siebie. Tym razem sierpień układa się jednak bezkonfliktowo, jedźmy więc. Bo ktoś woła.

Czy znacie wspaniałe akwarele Magdaleny Chodorowskiej? W repertuarze jej przedstawień jest też obrazek, na który przekłada mi się pejzaż całej trasy od Warszawy do Horyńca i z powrotem – ukraińska flaga, na którą składają się błękitne niebo i żółte pola nawłoci. Na swoich pejzażach poznańska artystka pokazuje te barwy w emocjonalnej różnorodności – w większym lub mniejszym niepokoju, w uspokajających rozpogodzeniach... Im dalej na południowy wschód, tym bardziej uparty ten błękitno-żółty mój pejzaż, jak gęstniejący odbłask bliskiej, coraz bliższej Ukrainy.

Kazimierz

Festiwal Dwa Brzegi przypomina kazimierską Wisłę rozświetloną rozmigotanymi refleksami słońca. Jego iskierki rozproszone są po całym mieście, na jego obrzeżach, na rynku. Nie umiem ograniczyć się we wspomnieniu festiwalu Grażyny Torbickiej do wydarzeń wynikających z filmowego profilu, z autorskiego programu jego dyrektorki. Jestem przecież w Kazimierzu, mieście moich pierwszych ucieczek, rozpoznań, rozedrganych emocji. W mieście, w którym spotykałem Franciszka Starowieyskiego, Tomasza Tatarczyka, Antoniego Zdebiaka, Stasysa Eidrigeviciusa, w którym rozpoznawałem struktury żydowskiego i chłopskiego przedmiścia, artystyczne szlaki i legendy, arcydzielne impresje wielkiego drzeworytnika Stefana Rassalskiego...

I oto co chwilę na przecięciach tego, co widziane, wspomniane, przysnione, spotykam Maję Ostaszewską, Andrzeja Seweryna, Kacpra Bajona, Dorotę Kędzierzawską. Kiedy siedzę w Rozmaitościach na Rynku, słyszę koncert nowego dla mnie duetu KNEDLOVE. Zespół brzmi lekko, świeżo, pomysłowo. Podchodzę z gratulacjami, dostaję płytę. Słucham przez całą resztę podróży. Ta muzyka odświeża mnie, sprawia, że to, co mi ciąży, staje się lekkie, wypoczęte.

Jestem beneficjentem otwartej formuły festiwalu, która sprawia, że obok projekcji są też inne dziedziny sztuki. I oto na zaproszenie Grażyny Torbickiej w dzwonnicy za farą, na piętrze, czytam wiersze z ostatniego tomu „kocham cię” (wl). Obawiam się, że nikt nie przyjdzie na pozegnięcie wpisaną w program filmowego festiwalu. A jednak sala jest wypełniona, pewnie dzięki temu, że spotkanie prowadzi sama Grażyna. Mówię „Grażyna”, bo jak skonstatowaliśmy ostatnio, znamy się od 50 okrągłych lat – poznaliśmy się bowiem w pierwszej klasie Liceum Batorego w Warszawie.

Czwartego dnia, na chwilę przed wyjazdem, żegnam zmarłych na kazimierskim kirkucie. Zapalam też świeczkę w przycmentarnym wózku dla kogoś, o kim wiem, że właśnie odchodzi. Kogoś, kto zawsze był życzliwy nie tylko mnie, ale i światu. Kogoś, kto jest wpisany w pejzaż Kazimierza najgłębiej, jak to możliwe, rodowodem i obecnością. Wiadomość o Jego śmierci dostanę, kiedy będę już w Szczepieszynie. Może nawet w Horyńcu.



• Festiwal Stolica Języka Polskiego w Szczepieszynie

FOT. AGNIESZKI WRÓBEL/MIEJSKI DOM KULTURY W SZCZEPESZYNIE

Szczepieszyn i Zamość

Festiwal Stolica Języka Polskiego ma dwie siedziby: Szczepieszyn i Zamość. Spotkanie ze mną, tym razem wokół Dantego, odbywa się w drugim, mniej więcej w połowie drogi pomiędzy domem Bolesława Leśmiana i mieszkaniem Marka Grechuty.

Spotkanie, które prowadzi Paweł Passini, krąży wokół planów odczytania i wystawienia „Boskiej komedii” szlakiem uchodźców. Moja myśl bierze początek z pierwszej tercyny poematu, tę o zagubieniu w ciemnym lesie, która nakłada mi się na tragiczne historie zmarłych uchodźców znajdowanych w puszczy na granicy polsko-białoruskiej. Tak, język Dantego wydaje nam się właściwy dla nowej opowieści o świecie zagubienia, dla opisu piekła ziemskiego tych, którzy gubią się w ucieczce na wymarzone łąki łagodności, i piekła szykowanego tym, którzy odmawiają pomocy. Paweł doskonale rozumie i odczuwa moją intuicję. Umawiamy się na wspólne działanie teatralne w przypadku, gdy Lublin zostanie Europejską Stolicą Kultury. A także w przypadku przeciwnym. Po prostu: trzeba znaleźć język dla opowieści o uchodźczych tragediach i naszej obywateli. I naszym w nich udziale.

W Szczepieszynie ważnym spotkaniem okazuje się wystawa artystów związanych z regionem i miastem. Oglądam ją z niemalą ekscytacją, która wynika z poznawania światów dotychczas nieznanych, ze spotkaniami z artystami już spotkanymi, jak Katarzyna Karpowicz czy Krystyna Piotrowska. Ciekawą perspektywę otwiera fizyczna współobecność wielu artystów i ich dzieł.

Nie ma tu przestrzeni nieciekawych, błahych. Materiału do współodczuwania dostarcza mi malarstwo Barbary Czopigi wystawiającej przejmujące, pozornie schłodzone portrety osobowości i samotności. Jej nieobecność w samej sobie przeszywa mnie dziwną czystością, jasnością. Analizuję własnej przejrzystości artystki. Kiedy widzę głowę dziecka złączoną z kimś dorosłym na wysokości biodra, z początku biorę to za przedstawienie samej siebie z odciętą głową, jak u Caravaggia. Dopiero po chwili widzę rodzinność sceny – hierarchiczne pokrewieństwo, łączność. W innym portrecie, niepokojącego dziecka we wzorzystej piżamie, porusza mnie utajony los (tego dziecka i tej artystki), jego nieodgadniona dziwność.

Z satysfakcją odnajduję na wystawie również malarstwo, z którym spotkałem się poprzedniego dnia w daw-

nej synagodze – pejzaże Mariusza Drohomireckiego. Podczas rozmowy okazuje się, że Barbara Czopiga i pan Drohomirecki to artystyczne małżeństwo, które maluje i wystawia we wspólnej pracowni. Kiedy ich odwiedzę na jutro, zobaczę więcej materii i warsztatu, więcej osobności i powiązań.

Zainteresują mnie na wystawie „Roztoczańskie pola” Zygmunta Jarmuła, rozpisane na strugach świętej wyobraźni Jerzego Nowosielskiego. Ponadto baśniowe talerze ceramiczne Agnieszki Wróbel, przejmująca „Krótka historia wschodniego miasta”, przerażająca pogromowymi reminiscencjami, nagością martwej kobiety, bliskością wojny.

Na festiwalowej scenie następują po sobie sesje przybosiowskie, spotkania z Edwardem Balcerzanem, recitale Magdy Umer, Anny Marii Jopek i Roberta Kubiszyna, monodram Grażyny Barszczewskiej. Na nienazwanym obszarze niepokoju i baśniowości tkwią rozmowy białoruskich pisarek... Ich mowa odświeża język polski. Jest polszczyzną odzyskanych sensów. Jak gdybyśmy – my, słuchacze, i one, pisarki – mówili wspólnym językiem zapomnianych głębi i znaczących przeczuć. Długo zastanawiamy się nad białoruską metaforą wilka, który przychodzi po „ostatnie”. Czy chodzi o śmierć, która odbiera to, czego życie jeszcze nam nie zniszczyło?

Horyniec

Horyniec-Zdrój to miasto uzdrowiskowe, sanatoryjne, które posiada cudowne okolice, lasy i łąki, park zdrojowy z amfiteatrem i stary teatr dworski na ponad 100 miejsc. Za najciekawszą dla mnie ścieżkę tego festiwalu uważam właśnie teatr, wydarzenia związane z obecnością dwóch wybitnych aktorów: Doroty Landowskiej i Agnieszki Przepiórskiej.

Pierwsza z nich wystawiła tutaj monodram wokół życia i twórczości Zofii Stryjeńskiej. Spektakl, w którym los wielkiej artystki na naszych oczach przemienia bohaterkę. Rola Landowska ociera się słowami i fizycznością o obraz obłądu kogoś odartego z marzeń, rozdwojonego w życiowym cierpieniu. W bólu uzależnienia od narcystycznych mężczyzn, których bliskości pragnie i której ulega.

Agnieszka Przepiórska przyjęła na siebie obowiązek rozumnej, płomiennej opowieści o zbyt mało znanych, właściwie nieznanych bohaterkach naszej bliskiej przeszłości. Z artystyczną doskonałością, migotliwością odegrała w Horyńcu trzy monodramy – wokół Simony Kossak, Zuzanny Ginczanki i Barbary Sadowskiej.

Dorota Landowska pojawia się jeszcze w innej roli – Beatrice, która rozmawia z Gombrowiczem o Dancem. Gombrowiczem, który w „Dziennikach” próbował sponiewierać „Boską komedię” i jej autora, jest w tym spektaklu przepięknie dramatyczny Mariusz Bonaszewski. Są wspaniali, wielcy, ale trudno o spektaklu mówić współautorowi.

Najpiękniejsza w festiwalach letnich jest wymiana: wnikanie artystów w miejscowe społeczność i reakcja mieszkańców na sztukę. Bez festiwalu zapewne jedni nie poznaliby drugich. Nie pogłębiliby wzajemnej wiedzy o sobie i swojej pracy, o losie.

Ozdobą mojej podróży do Horyńca była wizyta w starej, przepięknej cerkwi w Radrużu. „To tylko 300 metrów od granicy – mówi kobieta, która wskazuje mi drogę. – Ale proszę się nie bać – dodaje. – Ludzie z zagranicy tutaj nie przychodzą. Ukraińcy mogą legalnie, a co do skośnooików, to pogranicznicy są czujni”.

Nie zdążam z odpowiedzią, stoję na jezdni, ktoś za mną trąbi.

Jak rozmawiać z ludźmi o spotkaniu z Innymi? Czy „Boska komedia” wystarczy?

W Radrużu pytam, kto leży na cmentarzu. „Ukraińcy – pada odpowiedź. – Tu działały się rzeczy straszne”.

Nie będę się domyślać. Wolę się dowiedzieć z książek. I sprawdzić nieprawdopodobną informację, że wokół Horyńca grekokatolików i prawosławnych już nie ma.

W drodze powrotnej znów towarzyszy mi żółto-błękitna rozległość. Granica odbiera mi ten najtrafniejszy rzeczownik: „bezkresność”.

SPALONA ZIEMIA



• Rolnik na farmie na obrzeżach Sokoto w Nigerii, 22 kwietnia 2019 roku. Ekspansja przemysłowego rolnictwa ograniczyła dostęp do pastwisk. Wywołało to konflikty między farmerami, a koczowniczymi pasterzami FOT. LUIS TATO/AFP

Sprężenie zwrotne między ociepleniem klimatu a uprawami monokulturowymi przyspiesza katastrofę.

Tadeusz Pomianek*

Swiat skupił się na walce z ociepleniem klimatu, a zbyt mało uwagi poświęca negatywnym skutkom dominującego przemysłowego systemu produkcji żywności. Powoduje on niszczenie środowiska naturalnego i utratę bioróżnorodności. Jest też źródłem emisji 35 proc. gazów cieplarnianych (licząc od pola do stołu). Co więcej, skutki zależności między tymi zagrożeniami mają kluczowy wpływ na stan planety.

Ryzosfera jak jelito
Zdrowe gleby są niezbędne nie tylko do wyżywienia ludzi, ale także do skutecznej walki ze zmianami klimatycznymi oraz zapobiegania powodziom i suszom. Aż 95 proc. żywności produkuje się z użyciem gleby, a 90 proc. leków produkuje się z wykorzystaniem roślin.

W jednej łyżce gleby jest więcej żywych organizmów niż ludzi na ziemi. W jednym gramie gleby mamy: 75 tys. gatunków bakterii, 25 tys. gatunków grzybów, 1 tys. gatunków pierwotniaków i kilkaset gatunków nicieni.

Na 1 ha przypada 3,5 mln dżdżownic. Dżdżownice i inne organizmy glebowe przerabiają 37 ton gleby rocznie na hektar, przekształcając ją w składniki odżywcze potrzebne roślinom do wzrostu. Napowietrzają glebę i poprawiają wchłanianie wody. Większość bakterii rozkłada materię organiczną, przekształca energię zmagazynowaną w materii organicznej w składniki odżywcze. Inne bakterie wiążą azot, przekształcając go w formę użyteczną dla roślin.

Ryzosferę, czyli warstwę gleby bezpośrednio przylegającą do korzeni roślin, można traktować jak zewnętrzne jelito tychże roślin. Jej funkcje są zdumiewające i podobne do jelita ludzkiego. W obu przypadkach bakterie rozkładają materiał organiczny na proste związki, które wchłania człowiek czy roślina. Co więcej, na ponad 1000 typów bakterii kluczową rolę odgrywają te same cztery, zarówno w ryzosferze, jak i w jelitach ssaków!

Grzyby, a raczej grzybnia, pomagają się komunikować roślinom i drzewom, wychwytyują CO₂, transportują składniki odżywcze, filtrują zanieczyszczenia, rozkła-

dają materię organiczną. Grzybnia odfiltruje wszystko od metali ciężkich po pestycydy, a nawet odpady radioaktywne. Im więcej grzybów w glebie, tym więcej węgla magazynuje gleba.

Gleba to naturalny system filtracji H₂O, czyli zapewnia czystą wodę pitną i zapobiega powodziom. Jeśli mikroorganizmy w glebie są w dobrej kondycji, a gleba jest przykryta (np. pozostałości liści, pokrywa roślinna), to przyjmie trzy razy więcej wody (nawet do 300 mm opadów).

Ten niezwykły i mało znany świat gleby konsekwentnie niszczy chemicznymi środkami produkcji dla chwilowego wzrostu plonów

Jak niszczy glebę...

Rocznie grunty rolne faszerujemy porcją 200 mln ton nawozów sztucznych i zużywamy 4 mln ton toksycznych, zwykle pestycydów. 89 mln ton nawozów sztucznych rośliny nie zdążą zaabsorbować i spływają do wód gruntowych, jezior i rzek (ostatecznie głównie do oceanów) i niszczą środowisko. Nawozy azotowe i fosforowe to w dużej mierze sole silnych kwasów, tj. azotowego, fosforowego i siarkowego. Wraz z pestycydami niszczą glebę około 30 razy szybciej, niż jest w stanie sama się zregenerować.

Co więcej, cechą charakterystyczną rolnictwa przemysłowego są monokultury,

czyli rok po rok w tym samym miejscu sadzimy i uprawiamy te same rośliny.

Monokultury dominują w krajach uprzemysłowionych i tam (na globalnym Południu: Afryka, Ameryka Południowa i południowo-wschodnia Azja), gdzie produkuje się paszę dla ferm przemysłowych.

W Polsce miarą monoupraw jest bardzo szybki wzrost uprawy kukurydzy. 30 lat temu prawie jej nie było, a teraz obsiewamy nią prawie 2 mln ha. Dodajmy, że kukurydza silnie eksploatuje zasoby gleby. W rezultacie ten nieszczęsny duet degraduje glebę, ginie mikroświat.

Podkreślimy skutki upraw monokulturowych:

korzenie tej samej rośliny co roku są na tej samej głębokości, a więc materia organiczna wyczerpuje się i gleba jałowiej;

m.in. francuscy naukowcy wykazali, że im bardziej gleba jest jałowa, tym mniejsza jest absorpcja wody;

wraz z degradacją gleby używa się coraz więcej nawozów sztucznych i pestycydów, żeby mieć dalej dobre plony, co przyspiesza jałowienie;

plody rolne są coraz uboższe w składniki odżywcze ważne dla zdrowia;

uboga dieta szkodzi ludziom, zwierzętom, w tym owadom zapylającym.

Szacuje się, że już 33 proc. gleb rolniczych jest zdegradowanych, a np. w Nige-

rii aż 80 proc. Rolnicy porzucili już blisko 1,5 mld ha, bo plony były zbyt niskie.

..i zabijamy pszczoły

Mamy więc ocieplenie klimatu, coraz dłuższe okresy suszy, a później gwałtowne opady – a na to czeka coraz bardziej jałowa gleba, która nie jest w stanie tej wody zatrzymać. W efekcie wilgoć w glebie spada, a powodzi przybywa. Mniejsza wilgoć to mniejsze parowanie wody i rzadsze opady deszczu.

Rozgrzane betonowe miasta też nie sprzyjają opadom. Jeśli już się pojawiają, to są to ulewę. Co więcej, zdegradowane grunty rolne, zamiast pochłaniać, uwalniają do atmosfery CO2 i N2O (265 razy większy efekt cieplarniany niż w przypadku CO2), co przyspiesza ocieplenie klimatu.

Uruchamia to proces stepowienia i pustynnienia. Według ONZ z jego powodu co roku tracimy 12 mln ha żyznej gleby.

Natomiast uboga dieta wraz z chemicznymi środkami produkcji osłabia i zabija pszczoły. W Kalifornii na 400 tys. ha prowadzi się plantacje migdałowców. Do zapylania ściągają pszczoły nawet z Australii. W ciągu jednego sezonu kwitnienia, w 2019 roku, zginęło, głównie za przyczyną pestycydów, 50 mld pszczół! Najważniejsze zapylacze to dzikie pszczoły, które w 70 proc. gniazdują w ziemi i giną od pestycydów.

go glifosatu, są firmy z UE. W rewanżu za 20 mld euro importujemy z UE plody rolne z Brazylii, w tym wspomnianą soję, którą karmi się zwierzęta w fermach przemysłowych. Zjadając mięso, konsumujemy pozostałości pestycydów. Zatem zysk konkretnych firm i hodowców wygrywa z naszym zdrowiem.

Wycięte lasy już nie pochłaniają CO2, jałowe gleby emitują CO2 i N2O, a chów kłakowy dostarcza głównie metan (CH4). Jałowe gleby nie przyjmują wody i w efekcie mamy powódź w Brazylii. W Rio de Janeiro temperatura tego lata przekroczyła 62 st. C, a wody w Amazonce nawet 40 st. C. Od kilku tygodni w 9-milionowej Bogocie racjonuje się wodę z powodu długotrwałej suszy.

2. Holandia jest drugim po USA eksporterem żywności na świecie (65 mld euro rocznie). Jest mistrzem w wyciąganiu maksymalnego efektu z jednego hektara.

Tylko jakim kosztem? Posłuchajmy czołowego holenderskiego ekologa Thomasa Oudmana:

„Ten kraj ma największe zużycie pestycydów na hektar w UE. (8 kg/ha, a w UE 3,5 kg/ha). Tamtejsze uprawy przemysłowe, szczególnie szklarniowe, wertykalne bez gleby, warzyw i owoców zużywają bardzo dużo energii i nawozów sztucznych. Ponadto 30 proc. eksportu jest importowane z innych krajów, potem przetworzone i reeksportowane”.

tystycznej Ukrainy). Chociaż np. w przypadku uprawy ziemniaków używają dwa razy więcej pestycydów, tj. odpowiednio 3,5 i 6,4 kg na hektar. Ukraińscy pracownicy naukowcy z naszej uczelni [Wyższej Szkoły Informatyki i Zarządzania w Rzeszowie] alarmują, że uprawy monokulturowe już spowodowały wyraźny spadek zawartości próchnicy i jałowienie gleby postępuje.

Gleba zatrzymuje coraz mniej wody, co pogłębia suszę i prowadzi do stepowienia, a potem pustynnienia. Niestety, bliska jest perspektywa burz piaskowych na rozległych ukraińskich czarnoziemach. Ta bezwzględna eksploatacja dla doraźnie jak największych plonów niszczy największe bogactwo Ukrainy.

Nie rezygnujmy z Zielonego Ładu

Chcąc pomóc Ukrainie w wojnie z Rosją, UE wprowadziła bezcłowy import płodów rolnych (jego wartość w 2023 roku wyniosła ok. 10 mld euro). Jest to przychód eksporterów, czyli głównie wielkich właścicieli i dzierżawców, których firmy są przeważnie zarejestrowane poza Ukrainą. Zatem tylko skromna część przez podatki trafia do państwa ukraińskiego. W rezultacie pomagamy dzielnym Ukraińcom czy też pomagamy niszczyć środowisko naturalne, ich wspaniałe ziemie?

Tymczasem w UE, a szczególnie np. w Polsce, nasilają się ataki na Zielony Ład.

Szacuje się, że już 33 proc. gleb rolniczych jest zdegradowanych, a np. w Nigerii aż 80 proc.

Rolnicy porzucili już blisko 1,5 mld ha, bo plony były zbyt niskie.

Pamiętajmy, że 75 proc. upraw bazyli na zapylaniu przez pszczoły i inne zapylacze. Giną nie tylko pszczoły, ale i inne owady, które odgrywają bardzo ważną rolę w całym ekosystemie. Na niemieckich terenach chronionych w latach 1990-2017 biomasa owadów spadła o 70 proc.! W tym kontekście nie do obrony jest teza, że cierpią i giną owady, a ludzie i zwierzęta nie.

Okolo 80 lat temu Franklin D. Roosevelt powiedział: „Naród, który niszczy swoją ziemię, niszczy sam siebie”.

Według ONZ do spraw Wyżywienia i Rolnictwa (FAO) zrównoważona gospodarka glebą pozwoliłaby wyprodukować o 58 proc. żywności więcej!

Trzy ostrzeżenia

Poniższe trzy przykłady przekonują, że najwyższa pora rozstać się z uprawami monokulturowymi.

1. Szczególnie musi przerażać, jak konsekwentnie i z zapalem Ameryka Płd. dewastuje swoje środowisko naturalne. W ciągu 40 lat wycięto już 17 proc. powierzchni Puszczy Amazońskiej (płuca Ziemi), czyli 120 mln ha, głównie pod uprawy monokulturowe.

W większości krajów Ameryki Południowej na dużą skalę uprawia się głównie soję i kukurydzę (GMO) przeważnie na paszę dla chowu kłakowego. Stosuje się niemal wyłącznie uprawy monokulturowe przy dużym zużyciu nawozów sztucznych i pestycydów. W samej Brazylii na obszarze 35 mln ha (powierzchnia Niemiec) uprawia się soję GMO, używając aż 10 kg/ha pestycydów, czyli 9 proc. światowego zużycia.

Jak informuje Fundacja im. Heinricha Bölla (Atlas Pestycydów, 2024), głównym dostawcą pestycydów, w tym rakotwórcze-

Dodajmy, że Holandia, ale też wiele innych krajów zachodnich, wycina lasy tropikalne m.in. w Indonezji i wielu krajach afrykańskich pod uprawy monokulturowe, od kakao przez olej palmowy po soję.

Holandia jest światowym liderem w produkcji kwiatów. W Aalsmeer znajduje się największa na planecie giełda kwiatów (produkcja osiąga 12,5 mld sztuk rocznie). Tylko że 35 proc. sprzedanych kwiatów pochodzi z upraw w Kenii mieszczących się koło jeziora Nairasha. Ma tam miejsce niewolnicza praca kobiet. Postępują susza i stepowienie, a życie w jeziorze zostało zabite pestycydami. Przez wieki karmiło ono ludzi, a teraz zakazano w nim połowów.

Przytoczmy raz jeszcze Thomasa Oudmana, który trafnie podsumował: „Holenderskie rolnictwo nie jest rozwiązaniem problemu niszczenia środowiska naturalnego. Jest jego przyczyną!”.

3. W Ukrainie dominują olbrzymie gospodarstwa rolne (90 proc. ma powierzchnię upraw powyżej 100 ha), których właścicielami lub dzierżawcami są miejscowi oligarchowie lub zagraniczne grupy kapitałowe. Ukraina ma 28 mln ha najlepszych czarnoziemów na świecie (dwa razy więcej niż gruntów rolnych w Polsce). Uprawia się tam zboża, kukurydzę i rośliny oleiste, głównie metodą monokulturową.

Gleby średnio zawierają 3,2 proc. próchnicy (a w czarnoziemach nawet do 9 proc.), czyli dwa razy tyle co w Polsce. Mimo znakomitej jakości gleb na dużą skalę stosowane są chemiczne środki produkcji dla doraźnych zysków. W 2022 roku zużyli średnio 144 kg nawozów sztucznych na hektar i 1,5 kg na hektar pestycydów, czyli podobnie jak w Polsce, która ma dużo słabsze gleby (dane z Państwowej Służby Sta-

Ludzie, zamiast go poprawić, uwolnić od biurokracji, chcą likwidacji. To są połączone siły polityków populistów i tych rolników oraz hodowców, którzy albo nie zdają sobie sprawy z tego, jak przemysłowe rolnictwo niszczy środowisko naturalne, nasze zdrowie i przyszłość naszych dzieci i wnuków, albo uprawiają cyniczną grę w imię chciwości i doraźnych interesów politycznych.

Zwracam uwagę, że świat nie stoi w miejscu. W samej Unii wiele miast i regionów, szczególnie z Niemiec, Włoch, Belgii, Danii i Holandii, ustanowiło strefy wolne od pestycydów. Dotyczy to jednak obszarów miejskich, miejsc publicznych. Dalej poszły Indie, które w kilku stanach zakazały stosowania pestycydów i rozpoczęły przekształcanie rolnictwa w ekologiczne. Niebawem mieszkańcy niewielkiego stanu Sikkim będą prowadzić uprawy tylko w duchu ekologicznym. W dużym stanie Andhra Pradesh już w tym roku 6 mln gospodarstw rolnych zaprzestanie używania chemicznych środków ochrony roślin (w UE jest 10 mln gospodarstw rolnych). Mnożą się dochodowe plantacje bawełny prowadzone w symbiozie ze środowiskiem naturalnym. Parlament Kirgizji zdecydował, że do 2028 roku rolnictwo ma zostać przekształcone w ekologiczne.

Dwa apele

Szanowni Rolnicy i Hodowcy,

w świecie szybko przybywa gospodarstw rolnych i hodowli zwierząt, które dowodzą, że można wydajnie produkować żywność w symbiozie z przyrodą, a nie bezmyślnie ją eksploatując. Zatem płodozmian itp. oraz biologiczne substytuty chemicznych środków produkcji, a nie monokulturowe uprawy. Jest więc możliwa

transformacja przemysłowego systemu produkcji żywności w stronę agroekologii i suwerenności żywnościowej. Tylko wówczas będziecie mieli stabilne zyski i spokojne sumienie.

Zachęcam was także, abyście domagali się obszernych badań medycznych, które określały wpływ pestycydów i antybiotyków stosowanych w hodowli i nawozów sztucznych na Wasze zdrowie!

Według raportu Fundacji im. Heinricha Bölla aż 44 proc. rolników ma problemy zdrowotne spowodowane pestycydami. Z kolei m.in. prof. Grzegorz Węgrzyn, biolog z Uniwersytetu Gdańskiego, alarmuje, że w 2050 roku wszystkie antybiotyki przestaną działać i pilnie trzeba opracować inne leki np. przeciw sepsie. To rezultat mnożącej się lekooporności, głównie wskutek stosowania antybiotyków w hodowli kłakowej zwierząt (100 tys. ton rocznie). Dodam, że według WHO 5 mln ludzi rocznie umiera z powodu lekooporności.

Politykom, którzy wspierają producentów rolnych nieakceptujących koniecznych zmian lub sami idą na zgnięcie kompromisy, proponuję zmianę postaw, jeśli nie chcą negatywnie zapisać się na kartach historii.

Szanowni Konsumenci, najwyższa pora, abyście powiedzieli „basta!”. Najbardziej pomożecie sobie i przyrodzie, gdy zaczniecie być egoistami! Chodzi o egoizm w tym sensie, żeby najważniejsze stały się wasze zdrowie i komfort życia. I macie prawo wiedzieć, co jeście, co wam szkodzi oraz jak należy zadbać o stabilne jutro.

Nie macie obowiązku w imię interesu beneficjentów obecnego systemu produkcji i konsumpcji żywności zgadzać się na coraz gorszą jakość waszego życia i degradację środowiska, z którym na co dzień obcuje. To elementarne obowiązki polityków i samorządowców, żeby wam to zapewnić – przecież m.in. po to wszyscy płacimy podatki.

Czas się opamiętać

Uporządkowanie polityki rolnej powinno być zgodne m.in. z następującymi regulacjami:

Zarówno unijni producenci żywności, jak i eksportujący na nasz rynek powinni przestrzegać tych samych zasad w stosowanej technologii i jakości żywności.

UE i firmy wywodzące się z niej nie powinny się przyczyniać do dewastacji środowiska, niezależnie od tego, gdzie prowadzona jest produkcja.

Najwyższy czas, żeby producent żywności (jak każdy inny) zaczął ponosić koszty negatywnych skutków swojej działalności, szczególnie jeśli chodzi o środowisko i zdrowie człowieka. Teraz te koszty ponosi społeczeństwo!

Pora, aby skończyła się era prywatyzacji zysków i społecznienia kosztów. Bez tego Zielony Ład będzie nie naszą szansą, tylko źródłem konfliktów. ●



FOT. WSIZ

Dr hab. inż. Tadeusz Pomianek

• profesor i wieloletni rektor Wyższej Szkoły Informatyki i Zarządzania w Rzeszowie. Zajmował się przede wszystkim badaniami z obszaru inżynierii materiałowej, w latach 1973-79 pracował w Instytucie Metali Nieżelaznych w Gliwicach. Wiele lat pracownik naukowy Politechniki Rzeszowskiej.

Polemika

Rolnik nie chce niszczyć gleby

Pomysł wycofania się z rolnictwa przemysłowego byłby doskonały, ale wieki temu i przy 2, a nie 8 mld ludności na świecie.

Naszkowska



FOT. AGNIESZKA SADOWSKA / AGENCJA WYBORCZA.PL

Propozycje prof. Pomianka brzmią szczytnie, ale trzeba zadać sobie pytanie, co by to oznaczało dla bezpieczeństwa żywnościowego świata.

Główne tezy prof. Tadeusza Pomianka brzmią:

- przemysłowa produkcja żywności ma negatywne skutki dla klimatu i naszego zdrowia, niszczy środowisko naturalne i powoduje utratę bioróżnorodności;
- przemysłowe rolnictwo to wielkie farmy oparte na monokulturze upraw, które degradują glebę;
- rolnicy dają za dużo nawozów, które w części spływają do wód gruntowych, a pestycydy zabijają pszczoły i szkodzą ludziom;
- receptą na to ma być powrót do rolnictwa naturalnego, czyli do produkcji żywności bez stosowania środków chemicznych – nawozów i pestycydów.

Pisze profesor, że to da się zrobić, że takich gospodarstw na świecie jest coraz więcej, a takie metody uprawy zapewnią rolnikom stabilny zysk i czyste sumienie, a konsumentom zdrowie.

Nikomu nie podoba się monokultura

Z pewnymi argumentami prof. Pomianka nie sposób się nie zgodzić. Nikt chyba, poza czerpiącymi z tego zyski, nie popiera wycinki lasów tropikalnych zwanych płucami świata. Nawet jeśli w to miejsce sieje się kukurydzę potrzebną do wykarmienia zwierząt czy sadzi palmy, z których potem mamy olej palmowy. Nie tak chcemy zapewniać sobie bezpieczeń-

Rolnictwo przemysłowe, czyli to, co produkuje się w dużych gospodarstwach, jest dziś w Polsce najbardziej nowoczesne i najbardziej dbające o środowisko

PROF. WALENTY POCZTA, DZIEKAN WYDZ. EKONOMICZNEGO NA UNIWERSYTECIE PRZYRODNICZYM W POZNANIU

stwo żywnościowe. Są naprawdę lepsze metody w XXI wieku.

Mało komu podoba się monokultura, nie jest dobra dla gleby, dla bioróżnorodności. To logiczne, że sianie rok po roku tej samej rośliny w tym samym miejscu musi wyjaławiać glebę i prowadzić do nagromadzenia w niej organizmów chorobotwórczych.

Unia w swojej polityce rolnej próbuje zapobiegać takim negatywnym wpływom, stosując wymogi wzajemnej zgodności celów ekonomicznych i środowiskowych. I po kukurydzy europejscy rolnicy sieją rzepak, a potem np. pszenicę. Wspólna Polityka Rolna Unii to dziś chyba najważniejszy na świecie strażnik rolnictwa postępowego i prośrodowiskowego.

Skazani na drożyznę i import

Niektóre tezy prof. Pomianka nie wytrzymują jednak krytyki. Odwrót od wielkotowarowego rolnictwa przemysłowego i oparcie go na naturalnych metodach, bez stosowania chemicznych środków czy to w postaci nawozów sztucznych, czy opryskiwania

roślin, brzmi pięknie. Tyle że to utopia. Zgadza się co do tego nasi ekonomiczni specjaliści zajmujący się w problemach rolnictwa.

Trzeba zadać sobie pytanie, co by to oznaczało dla bezpieczeństwa żywnościowego świata. Otóż wprowadzenie ekologicznego rolnictwa bez chemii przyniosłoby dwie rzeczy – spadek plonów i wzrost cen. Byłoby więc bezpośrednim zagrożeniem dla bezpieczeństwa żywnościowego, a już dziś szacuje się, że na świecie 2 mld ludzi nie ma go zapewnionego.

Na przykładzie Polski wygląda to tak: zużywamy rocznie 28 mln ton zbóż – tyle potrzebujemy na bezpośrednią konsumpcję dla ludności i na paszę dla zwierząt. Spadek zbiorów o np. dwie trzecie, a z tym trzeba się liczyć, jeśli wycofamy środki płonotwórcze, oznaczać musi drastyczny wzrost cen i konieczność importu.

– Ekologiczna żywność brzmi ładnie – mówi prof. Wawrzyniec Czubak z Uniwersytetu Przyrodniczego w Poznaniu. – Fakty są jednak takie, że w Polsce stanowi ona tylko 2-3 proc.

całej produkcji rolnej. Główną barierą jest tu cena. To dlatego w supermarketach mamy pełno żywności konwencjonalnej, a ta ekologiczna zalega na pojedynczej półce.

Fakty też są takie, że Polacy wydają przeciętnie ok. 25 proc. swoich dochodów na żywność. I zwyczajnie nie stać ich, by przerzucać się na ekologiczną, bo wydawaliby nie 25, ale 40 proc. dochodów na jedzenie.

– Pomysł wycofania się z rolnictwa przemysłowego byłby doskonały, ale wieki temu i przy 2 mld ludności na świecie – twierdzi prof. Czubak. – Ale jakim cudem rolnictwo ma wykarmić obecne 8 mld z perspektywą powiększenia liczby ludności o kolejne 2 mld do roku 2050, doprawdy nie wiem. Nie wiem, na czym oparte są te pomysły. Wiem za to, że jeśli rolnik zrezygnuje ze stosowania nawozów sztucznych, z zaprawiania nasion przed siewem, z chemicznego zwalczania chorób i szkodników, to zamiast 6-8 ton pszenicy z hektara zbierze 3 tony. To, co nauka zrobiła dla rolnictwa, jest niewyobrażalne – to

dzięki niej mamy dużo dostępnej i taniej żywności. A 80 proc. tej żywności pochodzi z dużych gospodarstw, które prowadzą rolnictwo przemysłowe.

Nikt celowo nie wyjaławia gleby

Pisze prof. Pomianek, że gleby się degradują. W Polsce najbardziej zdegradowane gleby są w okolicach Belchatowa i odpowiada za to nie rolnictwo, tylko kopalnia. Ubywa nam dobrych gleb w okolicach miast, bo tam, gdzie jeszcze niedawno rosły kartofle, jak grzyby po deszczu wyrastają osiedla domów jednorodzinnych.

Nie traktujemy rolników jak głupków, do tego porażonych krótkowzrocznością. Ktoś, kto ma 100 hektarów ziemi, nie będzie dążył do jej wyjałowienia – przeciwnie, będzie się starał tak ją uprawiać, by nie tylko za rok czy dwa była w równie dobrej kondycji, ale by i jego dzieci, którym zostawi gospodarstwo, mogły z tej ziemi w pełni korzystać.

Takie nieracjonalne dla gleby działania zdarzały się w Polsce w latach 90. XX wieku, kiedy dawne pegeery przejmowali na krótko ludzie nastawieni na szybki zysk – nie kupowali tej ziemi na własność ani nie dostawali wieloletnich dzierżaw. Te czasy były jednak wyjątkiem od reguły.

Mówienie dziś o płodozmianie jako nowym pomysłe na ochronę gleby brzmi jak żart – rolnicy stosują płodozmian od pokoleń. Już w średniowieczu chłopci stosowali trójpolówkę, czyli dzielili pole na trzy części i co roku inną roślinę siali na innym kawałku, byle nie wyjaławiać gleby i nie doprowadzać do plagi chorób. Żaden rolnik nie chce zniszczyć gleby, to tak, jakby sam podcinał gałąź, na której siedzi.

Holandia nawozi pod szkłem

Wycinka Puszczy Amazońskiej to wielki skandal, ale nie mieszajmy tego z krytyką upraw GMO, a tak to jest robione. Nie mieszajmy faktu, że Holandia zużywa najwięcej nawozów na hektar, z tym, że na jej giełdę kwiatową trafiają kwiaty z Kenii, gdzie kobiety pracują w niewolniczych warunkach, jak pisze profesor.

Holandia faktycznie zużywa najwięcej z europejskich krajów nawozów na hektar, ale to mylące dane. Jest światowym liderem w produkcji kwiatów i warzyw pod szkłem i w namiotach foliowych, a w takich warunkach daje się inne dawki niż na hektar szczegoego pola. Gdybyśmy przeliczyli dawkę nawozów na wielkość hollenderskiej produkcji, to się okaże, że jest ona najniższa w Europie. I nic do tego nie ma niewolnicza praca kobiet w Kenii.

Nie mieszajmy degradowania gleb w Ukrainie z tym, że właściciele tamtejszych gospodarstw są często zarejestrowani poza granicami tego kraju, co sprawia, że do budżetu Ukrainy trafia tylko część podatków z rolnictwa. Co ma pier-nik do wiatraka?

Świat się zmienia i rolnictwo też

Prof. Pomianek kilkukrotnie napomyka, że uprawy monokulturowe to zwykle kukurydza albo soja GMO. W ten sposób zrównuje monokulturę, którą krytykuje, z roślinami genetycznie modyfikowanymi i sugeruje, że to coś złego.

Spory o to, czy GMO nam szkodzi, toczą się od lat. Przeciwnicy GMO uchodzą na ogół za ludzi proekologicznych, walczących o zdrową żywność, choć tak się składa, że wśród nich nie ma genetyków, nie prowadzą żadnych badań nad GMO. Prawo i Sprawiedliwość w czasach swoich pierwszych rządów w latach 2005-07 rzuciło hasło: „Polska wolna od GMO”, też wmawiając ludziom, że ta żywność nie jest dla nich zdrowa. A przecież organizmy genetycznie modyfikowane otaczają nas ze wszystkich stron – większość leków jest na nich oparta, bawełna w naszych ubraniach w niemal 100 procentach jest genetycznie modyfikowana. Także żywność.

Człowiek zmienia świat roślin i zwierząt od tysięcy lat. Pszenica, która jest podstawą naszego żywienia, niewiele ma wspólnego z tą, którą kiedyś sprowadziliśmy z Azji Mniejszej, jest bardziej plenna, odporna na wiele chorób, wytrzymała na warunki klimatyczne, a z jej ziarna można uzyskać więcej mąki.

Dzisiejsza krowa naprawdę nie przypomina tura, od którego pochodzi. Jak tłumaczył kiedyś w „Wyborczej” prof. Piotr Węgleński, genetyk i pionier iżynierii genetycznej w Polsce, różnica między krzyżowaniem ras i gatunków, jakie człowiek od tysiącleci robił, a tym, co robi teraz za pomocą genów, polega tylko na szybkości i precyzji przemian. Krok po kroku przez tysiące lat selekcji doprowadziliśmy do zmian i wyhodowania odmian bardziej plennych i wytrzymałych na niesprzyjające warunki. Skutki? Choćby ten, że kiedyś w krajach, gdzie głównym pożywieniem był ryż, ludzie zapadali na ślepotę, bo ryż nie miał witaminy A. I naukowcy ze Szwajcarii dodali do ryżu gen, który sprawił, że teraz jest w nim ta witamina, a nasiona rozdano za darmo rolnikom w biednych krajach Azji.

Szukajmy konsensusu

Prof. Pomianek pisze, że można stosować prośrodowiskowe metody w rolnictwie, oszczędzać środki chemiczne, a nadal mieć duże plony.

– To prawda – mówi dr Marek Wigier, dyr. Instytutu Ekonomiki Rolnictwa. – To się nazywa rolnictwo precyzyjne, regeneratywne. Można, i wielu rolników już to robi, zrezygnować z głębokiego orania gleby przed siewem, a tylko ją powierzchniowo spulchniać – oszczędzamy na paliwie, ale też chronimy glebę przed utratą wilgoci.

I to właśnie duże, przemysłowe gospodarstwa są dziś często prekursorami w stosowaniu nowoczesnego rolnictwa,

Człowiek zmienia świat roślin i zwierząt od tysięcy lat. Pszenica, którą jest podstawą naszego żywienia, niewiele ma wspólnego z tą, którą kiedyś sprowadziliśmy z Azji Mniejszej

które stara się chronić środowisko. Wielu rolników stosuje dziś precyzyjne nawożenie roślin, sypiąc nawozy tylko tam, gdzie one rosną, a nie na całej powierzchni pola.

Podobnie opryskują konkretne rośliny zagrożone chorobą czy szkodnikami, a nie całą obsianą powierzchnię. Ale nikt, kto ma kilka czy kilkadziesiąt hektarów, nie kupi sobie takich precyzyjnych maszyn. Na to stać tylko dużych, towarowych, właśnie tych oskarżanych o wprowadzanie monokultury, a nie ekologicznych.

– Chcemy udowodnić tezę, że możemy bez wspomagania chemicznego zapewnić bezpieczeństwo żywnościowe 8 mld ludzi na świecie. Tego się nie uda udowodnić, to jest po prostu niemożliwe. Niezbędna jest korekta sposobu produkcji rolnej związana z większą dbałością o środowisko. Ale nie jest możliwe odejście od przemysłowej produkcji, bo po prostu zabraknie żywności, a ta, które będzie, musi znacznie podrożeć. Żywność, która daje mniejsze plony z tej samej powierzchni, musi zdrożeć. Trzeba szukać konsensusu między proekologicznym podejściem do tej produkcji a utrzymaniem intensywnej produkcji przy ograniczaniu zużycia środków chemicznych – podsumowuje dr Wigier.

A co się dzieje, kiedy rosną ceny, mogliśmy zaobserwować na przełomie 2022 i 2023 roku, kiedy ceny pszenicy poszybowały i nagle rynek się zatkał, bo Afryka przestała kupować. Kraje Afryki – najbardziej tej pszenicy potrzebujące do wykarmienia mieszkańców – uznały, że nie stać ich na takie zakupy. To jest problem, który uderzy właśnie w najbardziej ubogich.

Co je kura na podwórku?

Skąd teza o gorszej żywności, niż mamy teraz, nie do końca wiadomo. Wiadomo za to, że w UE obowiązują najostrejsze w świecie normy, a żywność, zanim trafi na półki sklepowe, jest badana, czy spełnia wszelkie wymogi bezpieczeństwa. Także na obecność pozostałości antybiotyków w mięsie czy pestycydów w produkcji roślinnej.

Ale oczywiście nie wszyscy muszą w te badania wierzyć. Wielu ludzi jest głębo-

ko przekonanych, że jajko na 100 sposobów przebadane, ale kupione w sklepie jest gorszej jakości niż to kupione na targu, bez żadnego oznakowania, pochodzące od kury wolno chodzącej po podwórku. I pewnie nawet nie wiedzą, że kura należy do pantofagów, czyli próbuje zjeść wszystko, co zobaczy, łącznie z resztą oleju silnikowego, jaki wycieknie z maszyny rolniczej na wiejskim podwórku. Kura z kurnika, pod kontrolą hodowcy, nie ma dostępu do podobnych smakołyków, jej jajka to pewniak, ale zwolenników „jaja od baby” to nie przekona.

Prof. Walenty Poczta, dziekan wydz. ekonomicznego na UP w Poznaniu:

Rolnictwo przemysłowe, czyli to, co produkuje się w dużych gospodarstwach, jest dziś w Polsce najbardziej nowoczesne, najbardziej dbające o środowisko. Tu się zwiększa produkcję, jednocześnie zmniejszając zużycie środków chemicznych na hektar. Na to wskazują posiadane przez nas dane. Przyszłość należy właśnie do takiego precyzyjnego rolnictwa, gdzie nie tylko będzie się dawało środki chemiczne bez ich marnotrawstwa, ale też zamiast chemii będziemy używać sztucznej inteligencji do wspomagania wzrostu roślin. Już teraz próbuje się np. termicznych metod. Tak by chronić środowisko, ale nie ograniczać produkcji, bo nadal w wielu rejonach świata jej brakuje. Szacujemy, że spośród 8 mld ludzi 1,5 mld je zbyt dużo białka zwierzęcego, kolejne 1,5 mld je wystarczająco, ale reszta ma braki i chce jeść więcej. To jest właściwy kierunek, a nie powrót do przeszłości, która wcale nie była taka dobra dla środowiska. Weźmy produkcję drobiarską. Dziś kurczak rośnie 6 tygodni, by osiągnąć 2,3 kg, w tym czasie na 1 kg masy ciała zjada 1,5 kg paszy. Sto lat temu po 16 tygodniach karmienia osiągał ledwie 1 kg wagi, a zużył w tym czasie 5 kg paszy. I trzy razy więcej wody, niż zużywa dzisiejszy. Ale wówczas na świecie było ok. 2 mld ludzi. Powrót do takiej produkcji oznacza nie tylko mniej żywności, nie tylko wzrost jej ceny, ale też paradoksalnie większe szkody dla środowiska. Taka droga to utopia.

Trzymanie się tradycyjnej technologii przeżyli Chińczycy w latach 60. XX wieku w ramach rewolucji kulturalnej. Próbowano wtedy wytapiać stal w tradycyjnych średniowiecznych piecach, licząc na pokonanie w ilości szatana, czyli USA. Każda wieś miała taką dymarkę z gliny zbudować. Chińczycy faktycznie wytopili wtedy więcej stali niż Amerykanie, tyle że do niczego się nie nadawała – nie można jej było używać do współczesnych produktów.

To dotyczyło stali, ale wniosek jest taki sam jak przy rolnictwie: cofanie się w rozwoju wywołuje nowe kłopoty, a nie rozwiązuje obecnych problemów. ●

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34328801

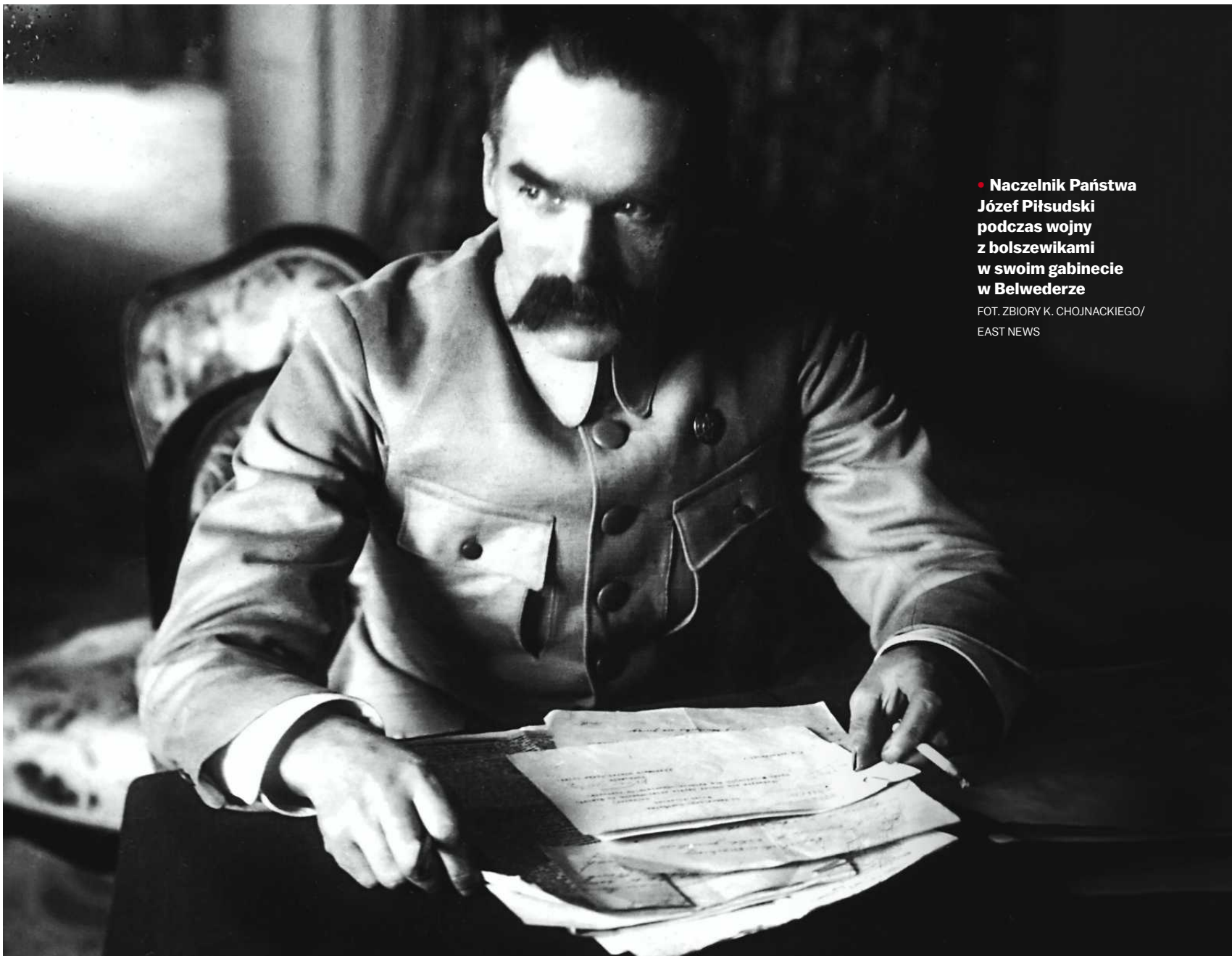
W PONIEDZIAŁEK W „WYBORCZEJ”

Spadki i testamenty

- Kiedy mamy prawo do odzyskania składek emerytalnych po zmarłym członku rodziny?
- Gdzie trzeba się zgłosić po odbiór pieniędzy

DODATEK SPECJALNY





• **Naczelnik Państwa
Józef Piłsudski
podczas wojny
z bolszewikami
w swoim gabinecie
w Belwederze**

FOT. ZBIORY K. CHOJNACKIEGO/
EAST NEWS

W 1920 ZGODY *nie było*

Kiedy bolszewicy podchodzili pod Warszawę, endecja twierdziła, że to przez Piłsudskiego. I wypominała mu, że jest dyletantem bez wykształcenia wojskowego.

Z PROF. **JANUSZEM MIERZWA**
ROZMAWIA **ANDRZEJ BRZEZIECKI**

ANDRZEJ BRZEZIECKI: Od 1 lipca do początku października 1920 roku działaniami związanymi z wojną z bolszewikami kierowała Rada Obrony Państwa – nadzwyczajne ciało mające koordynować wysiłek wojenny. Czy z sytuacją nie mógłby sobie poradzić gabinet wojenny?

PROF. JANUSZ MIERZWA: Demokratyczne państwo ze wszystkimi swoimi procedurami i ścieżką legislacyjną niezbyt radzi sobie w nadzwyczajnych sytuacjach, gdy istnieje potrzeba szybkiego podej-

mowania decyzji. Latem 1920 roku sytuacja na froncie zmieniała się szybko, i to na niekorzyść Polski. Potrzebne było rozwiązanie, które zagwarantowało by sprawne działanie.

Rząd Władysława Grabskiego powołany w ostatniej dekadzie czerwca 1920 roku nie mógł odgrywać roli rządu obrony narodowej. Takim gabinetem był dopiero rząd Wincentego Witosa powołany 24 lipca 1920 roku, ale wtedy właśnie funkcjonowała już Rada Obrony Państwa.

Nie myślano o dekretach?

– Takie rozwiązanie funkcjonowało do lutego 1919 roku, gdy prawo wydawania dekretów przy-

ślugało Naczelnikowi Państwa, ale w przypadku wojny 1920 roku nie spotkałem się ze śladem próby wdrażania takiego pomysłu. Poza tym nie wiadomo, czy sam Naczelnik byłby nim zainteresowany.

Nie ulega natomiast wątpliwości, że w połowie 1920 roku układ polityczny był już inny. W sejmie górowały środowiska niechętne Józefowi Piłsudskiemu. Tymczasem Rada Obrony Państwa była kadłubowym parlamentem, więc wpływ na nią mieli wszyscy, ale zarazem była zdolna podejmować decyzje szybciej niż sejm.

Czemu premierowi Grabskiemu nie udało się stworzyć rządu obrony narodowej?

– W wyniku gier politycznych. Gdy 9 czerwca 1920 roku ustąpił rząd Leopolda Skulskiego, na stanowisko premiera liczył Witos, ale nie uzyskał go. Rząd Grabskiego był pozaparlamentarny, jego polityczne zaplecze było chwiejne, więc nie zdołał zyskać statusu rządu narodowego. W momencie jego powołania sytuacja zresztą nie była tak dramatyczna jak miesiąc później. Zatrzymano pierwszą ofensywę Michaiła Tuchaczewskiego, na południu nacierała konarmia Siemiona Budionnego, ale wróg wydawał się ciągle daleko. Dlatego skłonność różnych stronnictw do kompromisu nie była duża.

Wkrótce pozycję premiera podkopała konferencja w Spa. Grabski w obliczu zagrożenia zgodził się na arbitraż państw zachodnich w kwestii sporu polsko-litewskiego o Wilno czy polsko-czechosłowackiego o Śląsk Cieszyński; przystał także na niekorzystne rozwiązania w sprawie Gdańska i Ukraińców.

Dlaczego był tak uległy?

– Chciał zyskać wsparcie Francji i Anglii w walce z nacierającymi bolszewikami. Wsparcie, dodajmy, obwarowane dodatkowymi warunkami. Po powrocie do Polski na Grabskiego spadła lawina krytyki; odciął się od niego Piłsudski. Musiało się to skończyć dymisją rządu pod koniec lipca.

Niemniej to właśnie ten rząd przygotował powołanie Rady Obrony Państwa.

– I nie tylko to. Grabski podjął realne działania, by zmobilizować kraj. Doprowadził do



➤ powołania Inspektoratu Armii Ochotniczej, która werbowwała zdolnych do walki, którzy z jakichś powodów nie zostali jeszcze powołani – ze względu na wiek, wyłączenia z tytułu piastowanych stanowisk etc. Także ten rząd przygotował reformę rolną, która miała zmobilizować chłopskie masy do obrony kraju.

Czym pomysłem było utworzenie Rady?

– Było efektem rozmów prowadzonych przez premiera Grabskiego m.in. z udziałem marszałka sejmu ustawodawczego Wojciecha Trąpczyńskiego i reprezentantów partii zasiadających w parlamencie. O ile idea rządu obrony narodowej nie cieszyła się wówczas jeszcze szerszym poparciem, o tyle koncepcja usprawnienia prac legislacyjnych została przyjęta chętniej. Choć po prawdzie też nie przez wszystkich – wątpliwości zgłaszali socjaliści czy lewica chłopska. Niemniej ostatecznie 1 lipca 1920 roku ustawa o powołaniu ROP została przyjęta jednomyślnie.

W skład Rady wchodził Naczelnik Państwa, premier, marszałek sejmu, przedstawiciele klubów poselskich, rządu i wojska. Andrzej Garlicki pisał w biografii Piłsudskiego, że powołanie rady było uszczupleniem władzy Naczelnika Państwa. Czy Piłsudski nie był w stanie jej sobie podporządkować?

– Miał w Radzie mocnych oponentów. Przecież właśnie dlatego 19 lipca 1920 roku doszło do głosowania nad wotum zaufania dla niego. Skład Rady oddawał po części strukturę sejmu i rządu, które reprezentowali również politycy nieprzychylni Piłsudskiemu. Także generalicja nie należała do klakierów Piłsudskiego; często w jej posiedzeniach brał udział np. gen. Stanisław Haller. To byli ludzie, którzy do stopni generalskich doszli jeszcze w czasach zaborów (zresztą spór Piłsudskiego z „Austriakami” ulegnie zaostrzeniu w następnych latach). Naczelnik Państwa miał silną pozycję, ale krytyka jego poczyniła była w pełni dopuszczona.

Norman Davies pisał w książce „Orzeł biały, czerwona gwiazda”, że dzięki ROP, zwłaszcza po kryzysie 19 lipca 1920 roku, powstrzymano tendencje odśrodkowe w polityce polskiej i zaistniał na pewien czas system, „w ramach którego różnice międzypartyjne zostały zapomniane”.

– Pewnie byśmy chcieli, żeby było tak, jak twierdzi Norman Davies, ale to zbyt optymistyczna teza. Powołanie Rady nie oznaczało zgody między polskimi stronnictwami. Owszem, Piłsudski miał prawo oczekiwać, że w obliczu zagrożenia nikt nie będzie mu strzelał w plecy, ale aż tak dobrze nie było. Nie było żadnego pojednania, jedynie co – liderzy polityczni uznali, że nie będą sobie zbyt gwałtownie podkładać nóg. Kryzys 19 lipca, gdy głosowano nad wotum zaufania dla Piłsudskiego i on je uzyskał, tylko doraźnie uspokoił sytuację. Faktem jest, że rozegrał się w wąskim gronie Rady i szybko. To niewątpliwie była zaleta tego ciała.

Powołanie ROP nie oznaczało więc zawieszenia partyjnych sporów?

– Niestety nie. Nie było żadnego „pokoju bożego”. Działania Piłsudskiego podlegały stałej krytyce.

Krytyce czy krytykanctwu?

– Podstawy do krytyki były. Po pierwsze, padł zarzut, że Piłsudski, idąc w kwietniu na Kijów, sprowadził na Polskę bolszewicką ofensywę: odsłonił front północny, a zarazem na południu dał się podejść Budionnemu. Generalowie związani z prawicą przypominali, że jest dyktantem pozbawionym wykształcenia wojskowego. Rusofilsko nastawiona endecja podnosiła, że Piłsudski nie skorzystał z pokojowych propozycji bolszewików z przełomu 1919 i 1920 roku.

Krytyka Piłsudskiego na forum ROP była sprzęgnięta z kampanią prasową. Politycy endeccy oraz prasa narodowa lansowały ideę wymiany Naczelnego Wodza na kogoś z wykształceniem wojskowym. Padło nazwisko Józefa Hallera, który był wojskowym, ale kwalifikacji, by dowodzić czymś więcej ponad batalion, nie miał. Endecy interweniowali w tej sprawie u Francuzów. Polska była uzależniona od pomocy z Zachodu, zarówno w wymiarze politycznym, jak i militarnym, czyli dostawy sprzętu, amunicji, doradztwo. Paryż miał tu wiele do powiedzenia. Szły monity do marszałka Ferdinanda Focha, by zmienić naczelnego wodza. Okazały się bezskuteczne, bo Paryż stawał wtedy na Piłsudskiego.

Choć przybyły nad Wisłę pod koniec lipca w Misji Międzysojusznicej generał Maxime Weygand skarżył się, że Piłsudski go nie słuchał.



• Piechota polska wyrusza na front przed Bitwą Warszawską, w czasie wojny polsko-bolszewickiej w 1920 roku

FOT. PAUL FEARN / ALAMY STOCK PHOTO / PAP



• Stanowisko artylerii na przedpolach Warszawy FOT. ZBIORY K. CHOJACKIEGO/ EAST NEWS

Gdyby nie doszło do Bitwy Warszawskiej, to trzeba by ją wymyślić. Niepodległość w 1918 roku przyszła nam łatwo – wywalczyli ją za nas inni, bo o odzyskaniu przez Polaków państwa zdecydował przebieg I wojny światowej

– To były naturalne różnice zdań. Jaką rolę być może grało ego francuskiego generała, przede wszystkim jednak jego pomysły brały się z doświadczenia na froncie zachodnim i opierały się na strategii wojny pozycyjnej. Tymczasem z bolszewikami rozgrywała się wojna manewrowa. Nie było możliwości utrzymania frontu jak na Zachodzie w czasie Wielkiej Wojny.

Wspomniał pan, że krytyka Naczelnika Państwa ze strony polityków była sprzęgnięta z kampanią prasową. Gazety nie zawiesiły tej krytyki nawet w obliczu zagrożenia?

– Piłsudski był bezwzględnie zwalczany przez prasę endecką właściwie już od końca listopada

1918 roku. W tym klimacie zrodził się zamach Januszajtisa. W tej atmosferze pisano małą konstytucję sprowadzającą Naczelnika Państwa do roli wykonawcy woli Sejmu. W tym duchu atakowano Piłsudskiego za swoistą proklamację programu federacyjnego, jaką była odezwa „Do mieszkańców byłego Wielkiego Księstwa Litewskiego” z kwietnia 1919 roku.

O żadnym zawieszeniu broni mowy nie było. Dla polityków i gazet endeckich nie było różnicy między tym, co mówił Piłsudski, a tym, co robili bolszewicy. W ich oczach socjaliści, Piłsudski i rewolucja w Rosji zlewały się w jedno. Kolportowano masę plotek o tym, że Piłsudski chce bolszewizować Polskę, że

działa w porozumieniu z Leninem i jego działania są de facto sabotażem, co zdawały się potwierdzać polskie niepowodzenia na froncie.

Tymczasem już kilka lat później to endecja okazała się podatna na współpracę z Moskwą, a nawet była przez nią inspirowana... Pisał o tym prof. Mariusz Wołos w swej książce o zamachu majowym, przytaczając pismo sekretarza ambasady sowieckiej w Polsce z 1926 roku Michaiła Arkadiewa. Kiedy Moskwa zaczęła infiltrować endecję?

– Narodowa Demokracja stanowiła środowisko polityczne wyjątkowo sprzyjające takiej infiltracji. Po pierwsze dlatego, że nie potrafiła stać samodzielnie na gruncie polskiej racji stanu, tylko non stop się na kimś opierała, raz na Rosji, raz na Francji. Po wtóre, istniała w okresie zarówno przed I wojną, jak i po jej wybuchu tradycja współpracy z cesarstwem rosyjskim. Te związki w 1918 roku nie zniknęły, co więcej, były silniejsze niż antagonizmy ideologiczne, co zresztą w jakiejś mierze było widoczne w trakcie rokowań pokojowych z bolszewikami. Myślenie, że Rosja łatwo się pogodzi ze stratami na rzecz Polski, bo to drobiazgi przy jej ogromie, było tyle głupie, co naiwne.

Były wreszcie związki gospodarcze. W pierwszej połowie lat 20. XX wieku endecja była polityczną ekspozyturą wielkiego biznesu, środowisk skupionych w „Lewiatanie”, co korespondowało z liberalnym programem Narodowej Demokracji. A dla wielkiego biznesu okres do 1914 roku to czas dobrej koniunktury i zbijania majątków na wschodzie. Przemysł bylej Kongresówki zarabiał przed wojną na zaspokajaniu potrzeb imperium, a po 1918 roku został od tego rynku zbytu odcięty.

W II RP pozostał w tych środowiskach duży sentyment do tych czasów, zreszcznie zresztą przez Sowietów wygrywany. W zamian za prowadzenie polityki korzystnej z punktu widzenia Moskwy obiecywali oni powrót do biznesów z przeszłości. To też powodowało, że do endeckich polityków bolszewicy mieli zdecydowanie lepsze dościcia niż do pilsudczyków, co też prof. Mariusz Wołos na bazie dokumentów z rosyjskich archiwów dobitnie udowodnił.

Czy tylko endecy krytykowali Pilsudskiego?

– Bynajmniej. Środowiska, które wydawały się bliższe Pilsudskiemu, także nie dawały mu spokoju. W pierwszej połowie 1920 roku wybuchały protesty i strajki antywojenne animowane przez lewicę. Z jej perspektywy cała koncepcja federacyjna Pilsudskiego, czyli dążenie do poukładania Europy Wschodniej zgodnie z polskim interesem, była próbą walki o polskie majątki. Polski robotnik nie miał w tej walce interesu. Należy jednak pamiętać, że socjaliści, walcząc o elektorat robotniczy, rywalizowali z komunistami. Takie stanowisko PPS wobec wojny w pierwszej połowie 1920 roku było politycznie logiczne – uniemożliwiałoby zajęcie tej partii od lewej strony.

Cały czas w Warszawie organizowane były protesty przez komunistów czy komunizujące partie żydowskie pod hasłami „Niech żyje Trocki”, „Niech żyje Lenin” czy „Precz z polską armią”. To też oddziaływało na nastroje społeczne.

Nie bez przyczyny więc Pilsudski pisał w „Roku 1920”, że front wewnętrzny był tak groźny, jak front zewnętrzny – gdy „łamało się państwo, chwiały się charaktery, miękły serca żołnierzy”.

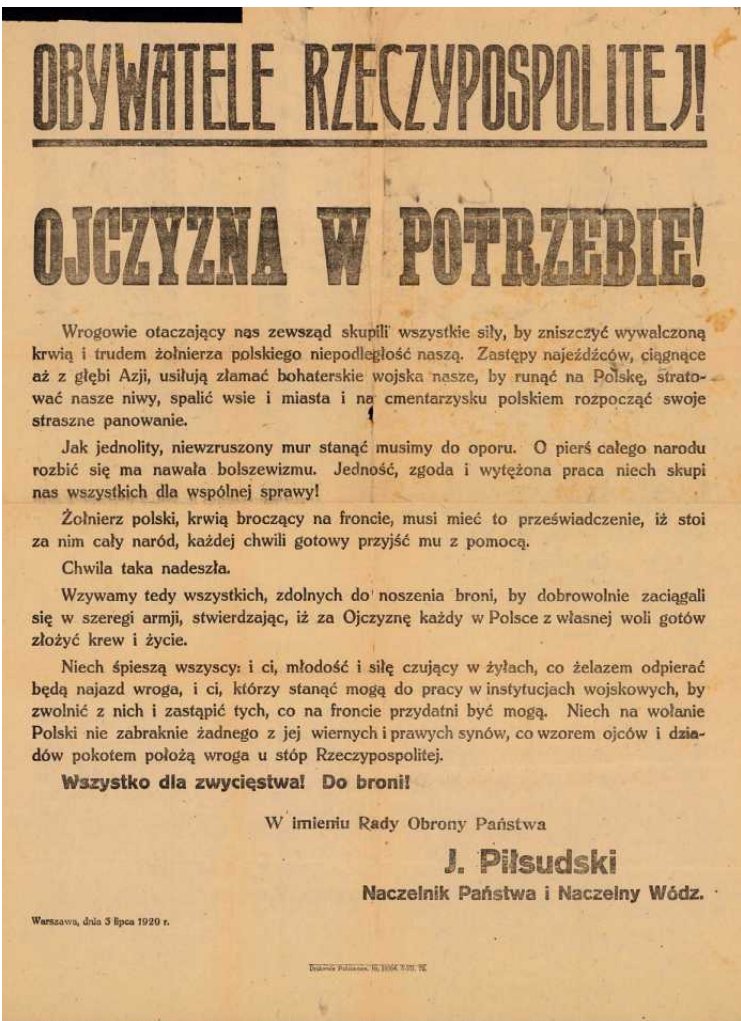
Pilsudski był nawet skłonny uznać ów proces rozkładu sił, łamania się woli, ale także krytyktaw jako największy sukces pracęgo na Warszawę Tuchaczewskiego. Front wewnętrzny zdaniem Pilsudskiego „we wszystkich historiach wojen był zwiastunem klęski i największym czynnikiem przegranej nie bitew, lecz wojen”.

Nie było z obu stron polskiego sporu żadnych gestów pojednawczych w obliczu śmiertelnego zagrożenia?

– Jeżeliby szukać dowodów myślenia w kategoriach państwowych, wykraczających poza partyjne interesy, to wskazałbym na ustawę o reformie rolnej z połowy lipca. Środowiska konserwatywne, ziemianstwo i reprezentująca je w dużej mierze Narodowa Demokracja idą na ustępstwa, zgadzając się na korzystne rozwiązania dla chłopów. Niższa od rynkowej kwota wykupu, preferencje dla weteranów, inwalidów, wdów czy sierot po wojskowych – wszystko to miało skłonić chłopą do wstąpienia do armii.

A w relacjach personalnych?

– Może takim gestem ze strony Pilsudskiego była zgoda na mianowanie generalnym inspektorem



Armii Ochotniczej Józefa Hallera, głównego politycznego adwersarza w wojsku. Zresztą Haller poradził tu sobie bardzo dobrze – mobilizował społeczeństwo, organizował msze za ojczyznę, pobudzał morale. Na budowanie jednak kapitału politycznego na tej formacji nie pozwolił. Poszczególne pułki ochotnicze szły na front osobno, a niekiedy i ochotnicy byli przydzielani do istniejących już jednostek. Nie było prób zbudowania relacji osobistych między endekami a Pilsudskim. W 1918 roku Pilsudski, wysyłając swoją delegację na konferencję pokojową do Paryża, pisał do rezydującego tam Dmowskiego ciepły list zaczynający się od słów „Szanowny Panie Romanie!” i proponujący współpracę, ale to była już przeszłość.

Na niecałe cztery tygodnie przed Bitwą Warszawską doszło w ROP do wspomnianego kryzysu i głosowania nad wotum zaufania dla Pilsudskiego.

– Pilsudski, wysłuchawszy 19 lipca ostrej krytyki z ust Dmowskiego, rzeczywiście zażądał albo zwolnienia go z funkcji Naczelnika Państwa i wodza naczelnego, albo udzielenia mu całkowitego poparcia – po czym wyszedł z sali posiedzeń. Rada zagłosowała jednomyślnie za poparciem dla Pilsudskiego. Dmowski w geście protestu wycofał się z jej składu.

A zaraz potem doszło do dymisji rządu Grabskiego i powołania nowego. Ponoć nie zmienia się koni w trakcie przeprawy przez rzekę...

– Dymisja rządu Grabskiego była spowodowana niekorzystnymi ustaleniami w Spa – musiał za to ponieść konsekwencje, ponadto w lipcu załamał się front i aby hasło „Ojczyzna w niebezpieczeństwie”

• **„Obywatel Rzeczypospolitej! Ojczyzna w potrzebie!”. Odezwa Naczelnika Państwa Józefa Piłsudskiego z 13 lipca 1920 roku**

FOT. ARCHIWUM AKT NOWYCH

spotkało się z odpowiedzią społeczeństwa, należało powołać rząd reprezentujący wszystkie opcje polityczne.

W nowym rządzie, kierowanym przez Wincen- tego Witosa, wicepremierem był lider socjalistów Ignacy Daszyński, Władysław Grabski zaś, ustępując z premierostwa, otrzymał tekę ministra skarbu. Był to rząd popierany przez wszystkie frakcje parlamentarne i zasługiwał na miano Rządu Obrony Narodowej. Właśnie rząd Witosa, głosząc, że ojczyzna znalazła się w niebezpieczeństwie, zdołał mobilizować masy. Inna sprawa, że gdy bolszewicy zajęli Wileńszczyznę, a potem przekroczyli na początku sierpnia Bug, wszyscy poczuli się realnie zagrożeni.

Mówimy o politykach, a społeczeństwo? Jak w lipcu i sierpniu zachowały się autorytety społeczne, uczeni, pisarze, publicyści albo Kościół. Nuncjusz nie opuszczał Warszawy, książd Ignacy Skorupka wslawił się podczas bitwy – a inni?

– Uważam, że gdyby nie doszło do Bitwy Warszawskiej, to trzeba by ją wymyślić. Nam niepodległość w 1918 roku przyszła łatwo – wywalczyli ją za nas inni, bo o odzyskaniu przez Polaków państwa zdecydowały przebieg I wojny światowej, upadek zaborców i zwycięstwa zachodnich demokracji. Legiony czy Błękitna Armia nie miały tu większego znaczenia, a wraz z ruchliwymi politykami jak Dmowski czy Paderewski przypominały o polskich dążeniach.

Inaczej rzecz wyglądała w 1920 roku – to była nasza wojna, o naszą niepodległość. Była częścią procesu uobywatelniania polskiego chłopą. Ale z innymi grupami społecznymi tego problemu nie było, wszak to inteligencja wymyśliła niepodległą Polskę. W chwili próby byli więc warstwą nadającą ton, agitującą, wstępującą ochotniczo do armii. W propagandę na rzecz obrony państwa zaangażowało się duchowieństwo różnych wyznań, bo nie tylko nuncjusz czy ks. Skorupka, ale i rabini czy duchowni ewangeliccy. Tworzone były Obywatelskie Komitety Obrony Państwa mobilizujące w terenie społeczeństwo, organizujące zbiórki dla walczących żołnierzy, ale także złom czy zalegającą w prywatnych domach broń. Na apel o ochotniczy zaciąg odpowiedzieli nie tylko chłopci, ale i robotnicy. Społeczeństwo zdało egzamin.

Nacierający komuniści mieli jednak atrakcyjną, jak mogłoby się wtedy zdawać, ofertę dla polskiego robotnika i chłopą. Dlatego socjaliści twierdzili, że muszą być w rządzie. Ignacy Daszyński przekonywał, że jeśli robotnik ma produkować amunicję, a chłop ma oddać wojsku swoje zboże, swojego jedyne- go konia i syna, to musi mieć poczucie, że rząd jest także jego.

– Trudno się dziwić aspiracjom socjalistów, ale niezależnie od rywalizacji z komunistami oni zawsze stali na gruncie niepodległości. Gdy w drugiej połowie lipca sytuacja stała się dramatyczna, rząd szerokiej koalicji był koniecznością. Inna rzecz, że bolszewicy nie wykorzystali możliwości propagandowych podsuwanych przez polskich komunistów – nie obiecali polskim chłopom ziemi. Pisał zresztą o tym ostatnio prof. Andrzej Friszke.

Jakie były największe osiągnięcia Rady Obrony Państwa?

– Pracowała stosunkowo krótko. Kierowała doraźnymi działaniami wojennymi. Była w stanie mobilizować społeczeństwo, zwalczać defetyzm, a nawet dywersje i sabotaż. Już 3 lipca wydała odezwę „Ojczyzna w potrzebie”, nawołując do wstępowania do wojska, ale także do pozyskiwania zasobów materialnych poprzez zbiórki złomu czy zdawanie broni, jakiej po I wojnie światowej było w Polsce sporo. Nie były to jakieś widowiskowe działania, ale miały wpływ na ostateczne powodzenia.

Na pewno więcej zostało po rządzie Wincentego Witosa, który działał potem jeszcze przeszło rok. To ten rząd musiał wygrać pokój po wygranej wojnie, a więc negocjować z Sowietami w Rydze, integrować ziemie wschodnie, zajmować się kwestią wileńską, plebiscytami na Śląsku.

Warto zwrócić uwagę, że choć Rada Obrony Państwa formalnie działała do 1 października 1920 roku, to państwo stosunkowo szybko wróciło na normalny tor funkcjonowania. Do połowy września zdołano bolszewików odrzucić daleko od Warszawy, ale wciąż było jeszcze przed bitwą niemieńską, drugą pod względem wagi w tej kampanii, która tak naprawdę rozstrzygnęła losy wojny. Tymczasem w trakcie tej batalii w sejmie ustawodawczym toczyła się regularna debata nad tekstem nowej konstytucji. ●

Rozmawiał Andrzej Brzeziecki



WOJNY CHŁOPSKIE

W 1937 roku chłopci chwycili za broń, zablokowali drogi i odcięli miasta od dostaw żywności. Ich protest inspirowali liderzy Stronnictwa Ludowego, którzy zamierzali wykorzystać go, by znów mieć wpływ na władzę.

Włodzimierz Mędrzecki

W latach 1932, 1933, 1936 i 1937, podczas tłumienia masowych wystąpień polskiej wsi, policja zabiła ponad 100 osób, w tym kilka kobiet i sześciolatek.

Sanacyjny premier Felicjan Sławoj-Składkowski oskarżał: „Przelana krew chłopska zaciąży na tych, którzy w imię własnych interesów politycznych, oszukańczo pchnęli nieodpowiedzialne jednostki do aktów gwałtu i terroru, nie licząc się z ofiarami, jakie musiało to za sobą pociągnąć”.

Odnosząc się zaś do oskarżeń policji o brutalność, stwierdzał:

„Niewątpliwie są to rzeczy tragiczne... Naturalnie trzeba było strzelać, bo to były rozruchy anarchistyczne, które obejmowały kilka powiatów”.

Dla władz, ich zwolenników oraz prawicy ofiary były konsekwencją agitacji komunistycznej, nieodpowiedzialności części działaczy ruchu ludowego oraz wymuszonej okolicznościami działań policji.

Ocena przywódców ludowców była diametralnie inna: powodem wystąpień chłopskich było przekonanie, że winę za katastroficzne położenie ekonomiczne wsi ponoszą władze. Zamiast wspierać chłopskie rolnictwo, dbają jedynie o interes własny i ziemian. Kiedy więc w latach 1932–36 okazały się głuche na postulaty chłopów, ci w 1937 roku zażądali zmian politycznych.

Niezmienną odpowiedzią rządu na uzasadnione chłopskie protesty było wysyłanie policji i wojska, które traktowały brutalnie zdeterminowanych, ale dalekich od agresji i anarchii demonstrantów, a często całą ludność pacyfikowanych miejscowości.

W czasie II wojny światowej i po niej „chłopski czyn” z 1937 roku stał się dla ludowców dowodem na lewicową i demokratyczną postawę polskiej wsi. A także na to, że władza przedwojennej Polski była antychłopska i opierała się wyłącznie na nagoniej przemocy.

Obie te odmienne oceny relacji władzy z chłopami w II Rzeczypospolitej odnajdujemy we współczesnych interpretacjach historii Polski. Kto ma rację? Czy uznać Polskę Odrodzoną za surową, ale jednak matkę wszystkich obywateli, czy za złą macochę, która

▲ Proklamacja strajku chłopskiego w Dubiecku na Podkarpaciu, 15 sierpnia 1937 roku

FOT. ZE ZBIORÓW
MUZEUM HISTORII
POLSKIEGO RUCHU
LUDOWEGO
W WARSZAWIE

za swoje dzieci uznawała jedynie te lepiej urodzone i wykształcone, a masy chłopskie traktowała jak cudze?

POWSTANIE LESKIE

Pierwszym po wybuchu wielkiego kryzysu ekonomicznego masowym wystąpieniem chłopskim było powstanie leskie. 21 czerwca 1932 roku w Berehach w powiecie leskim tłum włościan uzbrojonych w palki, motyki i drągi powitał powiatowego instruktora rolnego okrzykami „precz z pańszczyzną!”. Następnie, nie wierząc zapewnieniom, że nikt nie chce przywracać pańszczyzny, obil go solidnie.

W następnych dniach chłopci zbierali się w różnych miejscowościach powiatu gotowi do walki o wolność. Konsekwentnie odmawiali złożenia broni i rozejścia się. Oczekiwali na „panów, którzy mają przybyć trzema samochodami celem wprowadzenia pańszczyzny”. Poturbowali i zniszczyli siedziby kilku ziemian posadzonych o spiskowanie na rzecz jej przywrócenia. W pierwszych starciach z policją uzupełnili siłę ognia o kilka zdobytych sztuk broni palnej.

Walki ciągnęły się przez dwa tygodnie. Dopiero dzięki wsparciu 450 funkcjonariuszy policji, batalionu Straży Granicznej i samolotów rozpoznawczych udało się rozproszyć wszystkie zgrupowania chłopskie, przez które przewinęło się ok. 4 tys. osób. W walkach zginęło siedmiu chłopów, rany odniosło kilkudziesięciu, a także kilku policjantów.

Śledztwo nie wykryło istnienia w powiecie leskim trwałej organizacji i kierownictwa ruchem. Strach przed przywróceniem pańszczyzny był autentycznym i jedynym motywem sięgnięcia za broń. Do nierównej walki z państwem ramię w ramię stanęli Polacy i Ukraińcy.

STRACH PRZED PAŃSZCZYNĄ

Wypadki leskie pokazują, że powszechne na Mazowszu, w Kieleckiem, na Lubelszczyźnie, nie mówiąc o Galicji Wschodniej, Polesiu i Wiślicku, chłopskie obawy przed przywróceniem pańszczyzny były rzeczywistym elementem kształtującym obraz świata społecznego.

Wielu chłopów, pełnoprawnych polskich obywateli, kompletnie nie rozumiało mechanizmów funkcjonowania społeczeństwa demokratycznego i republikańskiego ustroju państwa. Pozostawali w świecie przednowoczesnej monarchii, która nie zajmowała się wsią, a jedynie interweniowała w jej życie od przypadku do przypadku.

W tym świecie to wieś wymierzała sprawiedliwość drogą samosądów i walczyła z bronią w ręku o swe interesy – np. o serwity czy w obrocie członków gromady zagrożonych aresztowaniem. Rozwiązaniem problemu byłby zapewne dopiero przyjazd prezydenta, który w pełnym majestacie zapewniłby chłopów, że nie pozwoli przywrócić pańszczyzny.

CEPY W DŁOŃ I NA WARSZAWĘ!

Wypadki, do których doszło w czerwcu 1933 roku w środkowej Małopolsce, były konsekwencją równolegle rozwijających się procesów. Po pierwsze, nastąpiła radykalizacja nastrojów wywołanych coraz silniej odczuwanymi skutkami wielkiego kryzysu. Chłopom skończyły się rezerwy, a perspektyw na poprawę sytuacji nie było. Państwo wprawdzie obiecywało pomoc i wsparcie, ale jej nie udzieliło, a zamiast tego

bezwzględnie domagało się podatków i niezmiennie nawoływało do cierpliwości i posłuszeństwa. Fatalne nastroje na wsi stały się pożywką dla aktywności ludowców i komunistów.

Ruchowi ludowemu udało się zrekrutować dotąd bierną młodzież wiejską. W 1932 roku wybuchły strajki rolne, które polegały na wstrzymywaniu dostaw do miast. Dla ich mieszkańców były bardzo dolegliwe, ale stanowiły też cios w autorytet władzy. Radykalni ludowcy coraz częściej wzywali do marszu na Warszawę, co miało skutkować objęciem władzy przez Wincentego Witosa. Wiosną 1933 wśród ludowców powszechna była wiara, że sanacja jest słaba i wystarczy mocne wystąpienie wsi, by doprowadzić do upadku rządu.

W czasie wiecu z okazji ćwierćwiecza działalności parlamentarnej Witosa w Wierchosławicach padły głosy: „weźmy cepy”, „nie dajmy zamknąć prezesa Witosa w więzieniu”. Atmosfera, zwłaszcza w Małopolsce środkowej, była napięta do granic.

Zaczęło się we wsi Kozodrza w powiecie ropczyckim, gdzie 30 maja chłopci zmusili sekwestratora, by zwrócił mieszkance wsi 2 złote 50 groszy zajętych kosztów egzekucyjnych. We wsi i okolicy zebrał się kilkutysięczny tłum uzbrojony w „kto co miał”, łącznie z bronią palną. W miastach plotkowano, że chłopci zamierzają je opanować i ograbić, a „głowę starosty zanieść na kosach do Kozodrzy”.

Po kilku dniach chłopci odłożyli broń, ale napięcie nie spadło. Do powiatu ściągnięto 400 policjantów, którzy rozpoczęli poszukiwania przywódców oraz najaktywniejszych demonstrantów.

WITOS, WÓDZ CHŁOPÓW

Dodatkowo nastroje podgrzał wiec z udziałem Witosa w Rakszawie w powiecie łańcuckim, gdzie 18 czerwca zebrało się według różnych szacunków od 10 do 40 tys. osób. Witos we wspomnieniach napisał, że miejscowy proboszcz, ksiądz Bachota, w kazaniu przedstawił Józefa Piłsudskiego jako „ducha ciemności, który z dnia zrobił noc, z wolnej Polski czeluście piekielne i więzienie...”. Następnie wezwał do walki „bez względu na ofiary i krew” pod przywództwem Witosa.

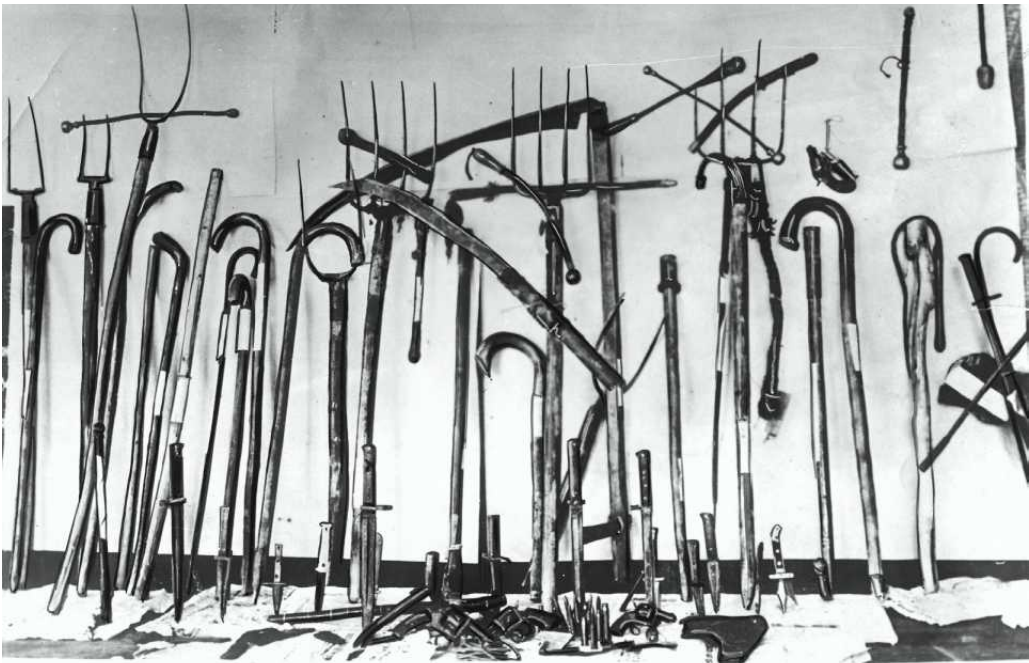
Następnie poseł Stronnictwa Ludowego Andrzej Pluta wezwał tłum do złożenia przysięgi wierności wodzowi, czyli Witosowi, a kiedy to się stało, zwrócił się do niego: „A teraz, wodzu, rozkazuj!”.

Witos ostudził emocje i ludzie się rozeszli, ale następnego dnia doszło do tragedii. W nocy z 19 na 20 czerwca w Noskowej w powiecie ropczyckim 60-osobowy oddział policji dokonujący aresztowań podejrzanych o udział we wcześniejszych zamieszkach został otoczony przez tysiącsobowy tłum domagający się uwolnienia zatrzymanych. Gdy chłopci ruszyli na policjantów, ci otworzyli ogień. Zabili dziewięć osób.

Tego samego dnia 22-osobowy oddział policji wezwany do powstrzymania kradzieży drewna z lasów ordynacji łańcuckiej Potockich został w Wólce pod Lasem (powiat rzeszowski) zaatakowany przez dwutysięczny tłum. Gdy od kuli śmiertelnie ranny został jeden z policjantów, pozostali odpowiedzieli ogniem. Zginęło pięciu chłopów.

Przez następne dni trwały przygotowania do pogrzebów policjanta (w Rzeszowie) oraz demonstrantów. Chłopi organizowali także protesty przeciw aresztowaniu księdza Bachoty.

W takiej atmosferze komendant posterunku w Grodzisku Dolnym (powiat łańcucki) wysłał dwóch podko-



mendnych, by zakończyli strzelanie na wiviat oktawy Bożego Ciała na placu przed kościołem. Obaj zostali pobici tak dotkliwie, że jeden zmarł na miejscu, a drugi po kilku godzinach.

Komendant wezwał posilki, a chłopci rozpoczęli obłężenie posterunku. Dopiero wczesnym rankiem 23 czerwca udało się przerwać blokadę i rozproszyć czterotysięczny tłum. Policja użyla broni. Zginęło pięciu chłopów, rannych zostało 12. Wielu uczestników obłężenia w obawie przed represjami schroniło się w lasach.

W następnych dniach policja aresztowała kilka tysięcy osób, a przed sądem stanęło ponad 150. Wielu aktywistów SL i organizacji młodzieży wiejskiej zaprzestało działalności, a wieś pogrążyła się w marazmie.

28 września 1933 roku w obawie przed więzieniem w związku z wyrokiem w sprawie brzeskiej Witos wyemigrował.

LULOWCÓW GRA Z SANACJĄ

W odróżnieniu od wcześniejszych wydarzenia z sierpnia 1937 roku były elementem strategii politycznej władz Stronnictwa Ludowego. 17 czerwca tego roku zdecydowały one o przeprowadzeniu 10-dniowego strajku rolnego, który miał się rozpocząć 15 sierpnia w czasie obchodów Święta Czynu Chłopskiego. Na liście żądań znalazło się: • powołanie rządu zaufania szerokich mas obywateli; • rozwiązanie parlamentu i przeprowadzenie wolnych wyborów na podstawie demokratycznej ordynacji wyborczej; • zmiana konstytucji z 1935 roku i powrót do ustroju demokratycznego; • opłacalność produkcji rolniczej i godziwe wynagrodzenia za pracę.

Strajkiem miały kierować komitety powiatowe składające się z aktywistów SL oraz Związku Młodzieży Wiejskiej „Wici”. Ta organizacja kierowana przez młodych działaczy, często z wykształceniem wyższym i studentów, przeżywała od 1933 roku okres burzliwego rozwoju. Do głosu doszła w niej ideologia agrarystyczna, której jądrem było hasło Polski Ludowej. Fundamentem społecznym mieli być w niej chłopci, a podstawą gospodarki narodowej – rolnictwo drobnotowarowe.

Stutysięczna grupa wiciarzy skupionych w tysiącach wiejskich kół miała wspomóc członków SL w budowie strajkowych komisji lotnych – bojówek blokujących szlaki komunikacyjne i ścigających łamistrajków.

Dla władz SL celem strajku było wywarcie nacisku na obóz rządzący, żeby dokonał korzystnej dla wsi korekty polityki gospodarczej i społecznej, oraz zmuszenie go do ustępstw poli-

tycznych. Dla wszystkich było jasne, że z jednej strony władzom potrzebne jest poparcie wielomilionowej masy chłopskiej, a z drugiej – bez wsparcia państwa ruch ludowy nie ma szans realizacji swojego programu.

Ludowcy liczyli na porozumienie z częścią sanacyjnej elity. Mieli nadzieję, że pomogą w tym nieoficjalne kontakty z marszałkiem Edwardem Rydzem-Śmigłym, zwolennikiem nowego otwarcia politycznego z udziałem ruchu ludowego. Dlatego strajk miał być potężny, a jednocześnie sterowalny: spokojny i zdyscyplinowany. Powinien się rozpocząć i skończyć wtedy, kiedy zdecydują o tym przywódcy. Miał polegać na wstrzymaniu dostaw żywności do miast, ale regulamin przewidywał też „niedopuszczenie do sprzedaży wszelkich produktów rolnych”.

W realiach II Rzeczypospolitej oznaczałoby to załamanie handlu targowego i sklepów detalicznych, a więc kryzys aprowizacyjny i gwałtowny skok cen. Zapewne dla uspokojenia obaw władz politycy ludowi nieoficjalnie zapewniali je, że strajk będzie spokojny. Mogło to oznaczać, że blokady dróg nie będą konsekwentne i przynajmniej część zaopatrzenia do miast dotrze. W tej sytuacji premier Sławoj Składkowski nie zrezygnował z zaplanowanej wcześniej wizyty we Francji.

PUSTE TARGOWISKA

W pierwszych dniach strajk w Małopolsce centralnej oraz południowej Kielecczyźnie dotknął większość miast. Dotarł też do części województw warszawskiego, łódzkiego i lubelskiego. Poza Małopolską, gdzie sporo drobnych producentów świadomie zrezygnowała z wybierania się do miasta, polegał głównie na blokadach dróg przez bojówki. Efekt był spektakularny: w miastach targowiska nie pracowały, w Krakowie, Tarnowie i Rzeszowie ceny wzrosły dwukrotnie, a w Warszawie o mniej więcej 20 proc.

Pierwsze dni protestu pokazały sprawność organizacyjną i determinację ludowców wspartych przez Wici, a także aprobatę lub akceptującą neutralność ze strony większości wsi.

Nieporozumieniem są ówczesne, a powtarzane do dziś przez część historiografii przekazy, że w strajku uczestniczyło 8 mln chłopów. Tym bardziej że wielu drobnych dostawców żywności po dwóch-trzech dniach uznała, że polityka polityką, ale czas wracać do codzienności. Nieodstawiane od trzech dni mleko skisło, ale twarożek z niego zrobiony można zawieźć do miasta. Po kilku dniach na większości terytorium kraju strajk wygasł.

▲ **Broń użyta przez chłopów w czasie walk z policją w 1937 roku, zaprezentowana w Sejmie przez premiera Felicjana Sławoj Składkowskiego**

FOT. ZE ZBIORÓW
NARODOWEGO ARCHIWUM CYFROWEGO

Inaczej sytuacja wyglądała w Małopolsce Środkowej, gdzie wielu działaczy, upojonych sukcesem pierwszych dni, uwierzyło, że możliwe jest powszechne sparaliżowanie handlu. Mogło to doprowadzić do wybuchu społecznego także w miastach, obalenia rządu i budowy Polski Ludowej z Wincentym Witosem na czele. Wprawdzie dostrzegali postępujące zmęczenie strajkiem na wsi, ale odpowiedzią na nie miała być ucieczka do przodu.

Zaostrzyli blokady dróg i wzmogli represje przeciwko łamistrajkom, m.in. przez blokady majątków ziemskich, wybijanie okien, niszczenie wozów, pobicia, podpalenia, a nawet zalewanie studni naftą.

Tysiące osób uczestniczących w blokadach i zwycięskich dotychczas starciach z policją wiecowało i dyskutowało, upewniając się o własnej sile i słabości władz. Pojawiały się hasła, że trzeba walczyć do ostatecznego zwycięstwa, powróciły nawoływania do „marszu na Warszawę”.

KRWAWE ŻNIWO

Władze postanowiły przełamać blokady i przywrócić dostawy zaopatrzenia. Gdy zaczęły gromadzić oddziały policyjne, przywódcy strajku przygotowywali się do walki. Wieczorem 18 sierpnia 1937 roku w okolicach Dydny (pow. brzozowski) kilkuset chłopów uzbrojonych w widły, kosy, siekiery, kłonicę i broń palną rozebrało most, przecięło druty telefoniczne i zbudowało barykadę. Gdy na miejsce przybyła kolumna policyjna, doszło do walki, w której zginęło czterech demonstrantów, a dziewięciu zostało rannych. Również dziewięciu policjantów odniosło rany.

Tej samej nocy na drodze w Lipnikach w tym samym powiecie chłopci ostrzelali kolumnę policyjną zatrzymaną przez zaskieki. „Policja przeszła w tyralierę, rozpoczęła ogień karabinowy, oświetlając przedpole rakietami, które spowodowały wśród chłopów popłoch... rezultat – dwóch chłopów zabitych, dwóch utopionych w stawie, a o rannych nie wiadomo, bo chłopci poukrywali rannych”.

W lasach pod Jarosławiem powstał obóz warowny, w którym zgromadziło się kilka tysięcy osób, w większości ukrywających się uczestników wcześniejszych starć. Jego „komenda” wydawała przepustki na wjazd do Jarosławia, naradzała się też, czy zdobyć miasto, zbratać się z wojskiem i przejąć broń z miejscowego garnizonu.

W następnych dniach dochodziło do starć chłopów broniących swych miejscowości i barykad z policją. W Melsztynie pod Zakliczynem zginęły dwie osoby, w Muninie (pow. jarosławski) – siedem, a kilkadziesiąt odniosło rany. Najtragiczniejszy okazał się ostatni dzień strajku – 25 sierpnia mieszkańcy ufortyfikowanej wsi Majdan Sieniawski (pow. jarosławski) odmówili zakończenia blokady dróg. W tłumie gotowym do walki były kobiety i dzieci. Gdy policjanci kolbami karabinów próbowali rozpętać blokadę, rozpętało się piekło. W chaotycznej strzelaninie zginęło 15 osób, w tym 56-letnia Katarzyna Brzyska. Kilkadziesiąt osób odniosło rany. Większość mieszkańców uciekła do lasów.

SUOWE REPRESJE

Wydaje się, że około 20 sierpnia centralne władze SL straciły kontrolę nad wydarzeniami. Na szczęście wpływ na zachowania mas chłopskich zachowała część lokalnych przywódców. Większość z nich zdawała sobie sprawę, że eskalacja konfliktu nie ma sensu, a jedynie spowoduje kolejne ofiary. Dlatego mimo świadomości



➤ nadchodzących represji lojalnie wykonali decyzję przywódców SL, by zakończyć strajk w planowanym terminie 25 sierpnia. Ruch na targowiskach małopolskich z dnia na dzień wrócił do normy.

W starciach straciło życie 44 mieszkańców wsi, a 41 odniosło poważne rany, poszkodowanych było 57 policjantów. Akcja pacyfikacyjna na dużą skalę była bardzo brutalna. Podczas rewizji w poszukiwaniu broni i zakazanych materiałów bito „podejrzanych” i niszczone ich dobytek.

Zatrzymani i przesłuchani zostali niemal wszyscy aktywiści SL, Wici i członkowie komisji lotnych. Za czyny związane ze strajkiem skazano około 2 tys. osób, najwyższe wyroki opiewały na 8 lat więzienia.

BEZNADZIEJA I PRZEMOC

To, że w kolejnych miesiącach i latach wielkiego kryzysu nastroje na wsi dołowały, narastało poczucie krzywdy i rozgoryczenia w stosunku do państwa, było zrozumiałe. Jednak nie musiało być, i raczej nie było, tożsame z odmową legitymizacji władzy, a tym bardziej buntem wobec państwa. Chłopi nie protestowali dla zabawy, ich bunt był wyrazem beznadziei, determinacji i braku wiary w inne rozwiązanie ich tragicznej sytuacji. Władze miały obowiązek zaradzić przyczynom strajku, a nie tylko go pacyfikować.

Problemem jest interpretacja zachowań i wypowiedzi chłopów. Były one nie tylko wyrazem ich przekonani, ale też refleksem propagandy partyjnej i mediów. Wmawiana opinii publicznej od ponad 100 lat teza o tożsamości poglądów chłopów z tym, co głosi ruch

Chłopi
zablokowali
drogi i odcięli
miasta
od żywności.
Łamistrajków
bili, wybijali
im okna,
niszczyli wozy,
podpalali
gospodarstwa,
a nawet
zalewali
studnie naftą

ludowy, to jednak mit. Partie chłopskie od początku istnienia walczyły o monopol reprezentowania wsi na forum politycznym, co nie oznacza, że były jej emanacją polityczną.

Postawy społeczne i polityczne chłopów oraz ich modus operandi w międzywojniu stanowiły konglomerat odbiegający od standardów XX-wiecznego państwa demokratycznego. Przemoc była codziennością: w życiu rodzinnym, towarzyskim (słynne bójki weselne) i relacjach społecznych (samosądy, walki młodzieży sąsiadujących wsi). Standardem była obrona swoich przed obcymi – w tym przed sekwestratorem, policjantem czy „geometrą”.

Chłopów cechowała krótkowzroczność – chwilowa przewaga powodowała, że zmuszali policję do odwrotu, a dopiero później pojawiała się refleksja, że za moment pojawi się silny oddział, który bez trudu przełamie ich najbardziej nawet zdeterminowany opór.

POLICJANCI W POTRZASKU

Źródła potwierdzają informacje o brutalności, a niekiedy okrucieństwie policjantów. Trzeba jednak pamiętać o proporcjach: kilku lub kilkadziesiąciu funkcjonariuszy stawalo naprzeciw setek, a niekiedy tysięcy chłopów uzbrojonych w widły, kłonicie, nastawione na sztorc kosy, a niekiedy w broń palną. Towarzyszyły temu niesamowite emocje, policjanci mieli w tyle głowy los funkcjonariuszy zatłuczonych przez tłum w 1933 roku i sporą liczbę rannych.

Pobłażliwość rządu wobec ewidentnego przeciwstawienia się władzy państwowej, w dodatku w grupie zorganizowanej, z użyciem niebezpiecznych narzędzi i broni, odebrana byłaby jako słabość i prowokowałaby dla eskalacji wystąpień.

Władze zdawały sobie sprawę z tego, że jedną z przyczyn tak licznych ofiar śmiertelnych był sposób działania policji, dlatego od początku 1936 roku trwały prace nad tworzeniem policyjnych oddziałów szkolonych specjalnie do rozbijania zgromadzeń i demonstracji, ale bez używania broni palnej. W 1937 roku tak przeszkolonych funkcjonariuszy było jeszcze zbyt mało.

KONFLIKT BEZ NEGOCJACJI

Traktowanie wystąpień chłopskich jako wotum nieufności wobec państwa i jego władz czy też jako efekt podżegania przez macherów politycznych chłopów udręczonych kryzysem jest dalekie od niezwykle skomplikowanej rzeczywistości Polski międzywojennej. Napięcie w relacjach między władzami a wsią było realne, a konflikt nabrzmiał i w krótkim czasie nie można go było rozwiązać. O tym, że przybrał tak tragiczne w skutkach formy, decydowały katastrofalny stan komunikacji społecznej i brak mechanizmów prowadzenia dialogu między społeczeństwem i politykami.

Urzędnicy, politycy, policjanci, a z drugiej strony chłop i robotnicy umieli formułować postulaty i oczekiwania, jednak zupełnie nie potrafili negocjować, a tym bardziej żmudnie wypracowywać kompromisów. Władza żądała, by jej słuchać bez szemrania, a chłop i oczekiwali, by rząd spełniał ich postulaty. Dlatego z jednej strony pojawiały się widły i kosy oprawione na sztorc, a z drugiej karabiny. Na szczęście współczesna faza wojny polsko-polskiej nie jest aż tak zacięta. ●

HISTORIA

Aleksander Gieysztor po wojnie szukał śladów piastowskich, Marian Małowist poszukiwał rozwojowego różnicowania Europy późniejszej.

Ryszard Stemplowski

Zaczynali przed II wojną światową, rozwinęli badania i wykładali po niej. Dawną politykę ci historycy badali. Inaczej jednak mieli do czynienia z polityką im współczesną.



Badania historyczne oddziałują na świadomość człowieka poznającego wyniki takich badań, zatem i na jego tożsamość, więc i proces narodopięństwa państwa. Wie o tym badacz, zdają sobie z tego sprawę ludzie w organach władzy i urzędach finansujących takie badania. Zajmują się tym media. W autokracji rządu historykami chcą kierować. W demokracji twierdzą niektórzy, iż trzeba uprawiać politykę historyczną.

Badacz podejmujący określony temat jest w zasadzie świadom swego oddziaływania. Może się kierować swoimi przekonaniemipolitycznymi, obranymi celami ideologicznymi lub akceptowanymi celami innych ludzi, organizacji (także religijnych), organów władzy państwowej itd., a także wiedzą o współczesnych badaczowi czy badaczce uwarunkowaniach szerszej skali, także międzynarodowej.

Łatwo wymieniać takie aspekty badań zasadniczo, by nie powiedzieć, że ogólnikowo. Trudno zaś ustalić fakty odnoszące się do określonych historyków. To wymaga badań archiwalnych, a takie mogą być utrudnione lub niewystarczające materiałowo, zwłaszcza odnośnie do osób żyjących dawno. Wolno jednak stawiać hipotezy – rzadziej tezy – na podstawie wiedzy pozazródłowej, jeżeli o źródłach mowa w znaczeniu oświeconych przez historyka materiałów archiwalnych. Na tę wiedzę składają się: jak najdokładniejsza znajomość życia historyka (autora), treści jego dzieł, warunków jego działalności badawczej, recepcji jego dzieł itd.



Aleksander Gieysztor (1916-99) i Marian Małowist (1909-88) udzielili mi wywiadów do redagowanego wtedy przeze mnie rocznika „Estudios Latinoamericanos” (wydawnictwo IH PAN i Ossolineum), poświęconego przeważnie zagranicznym badaczom Ameryki Łacińskiej (pomijam tu wywiady z Tadeuszem Łepkowskim i Januszem Tazbirem). Ja zaś zamierzałem ukazać ich sylwetki w polskim i europejskim kontekście. Chciałem nade wszystko pokazać choćby fragmenty naszej historii obejmującej zarówno Polskę, jak i inne kraje. Także fakt, że polska latynoamerykanistyka historyczna budowana jest na gruncie rozwiniętej historiografii z odwołaniami do polityki.

Nie dorównując żadnemu z wymienionych historyków, zaprosiłem do tych rozmów także innych uczonych, jako pytających i komentujących: Henryka Samsonowicza, Bronisława Geremka, Henryka Szlajfera, Michała Tymowskiego, a do rozmów z Tadeuszem Łepkowskim i Januszem Tazbirem także Jerzego Jedlickiego i Tadeusz Wasilewskiego. Polskojęzyczną całość podaje książka „Żywoty historyczne” (Wydawnictwo Marek Derewiecki, 2020).



Rozmowę z Małowistem prowadziłem w roku 1986. To pełnia kryzysu PRL. Rozmowę z Gieysztozem – 1 czerwca 1989 roku. Okoliczności i tej pierwszej rozmowy, i tej ostatniej wprowadzały nas w politykę. W jakimś stopniu oddawały nastroje w PRL, także ich życiorysy i nawet konflikty w epokach badanych przez tych historyków.

O spodziewane wyniki nadchodzących wyborów 4 czerwca Gieysztora nie pytałem. Nie pytałem wybitnego mediewisty Henryka Samsonowicza, uczestnika tej rozmowy, który wykładów Gieysztora słuchał na Uniwersytecie Warszawskim 42 lata wcześniej.

Dla mnie było jasne, że reformiści przeważyli w PZPR, taktycznie zgadzając się okrągłostołowo na te na wpół demokratyczne wybory w przekonaniu, że ich wynik uzasadni w oczach członków tej partii – cywilnych i wojskowych – dopuszczenie „Solidarności” do ograniczonego udziału w sprawowaniu władzy i oczywiście jakoś tę „Solidarność” oswoi z partyjnym socjalizmem. A przywódcy „Solidarności”, sądziłem, liczą na legitymizowane jej umocowanie jako czynnika skutecznie działającego na rzecz stopniowego reformowania ustroju. Czego spodziewali się Gieysztor i Małowist? Czy ich prognozy były trafniejsze? Nie zdziwiłbym się tym wcale.

Wyniki wyborów zaskoczyły jednak głównych uczestników Okrągłego Stołu. Także historycy wchodzili w nowy kontekst polityczny.

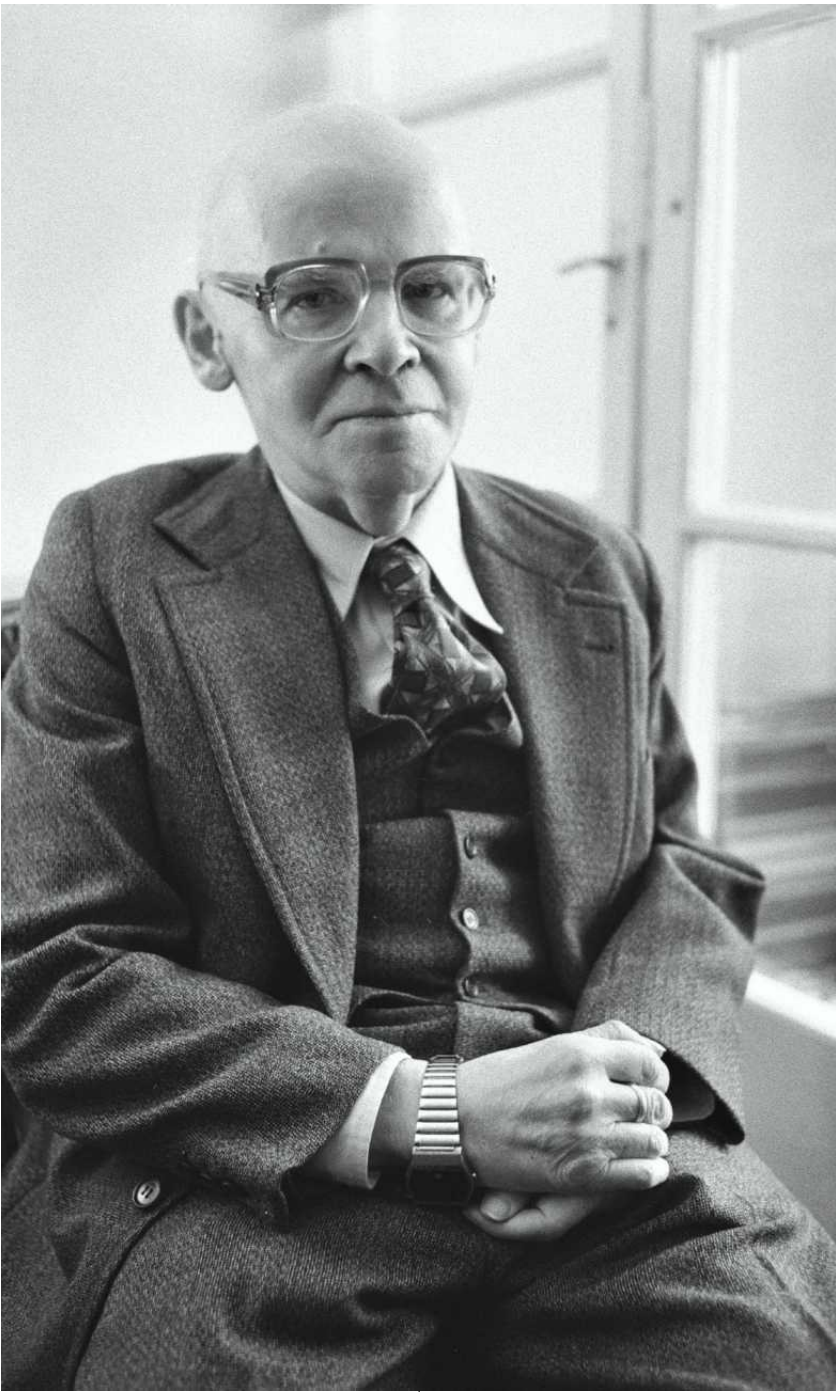
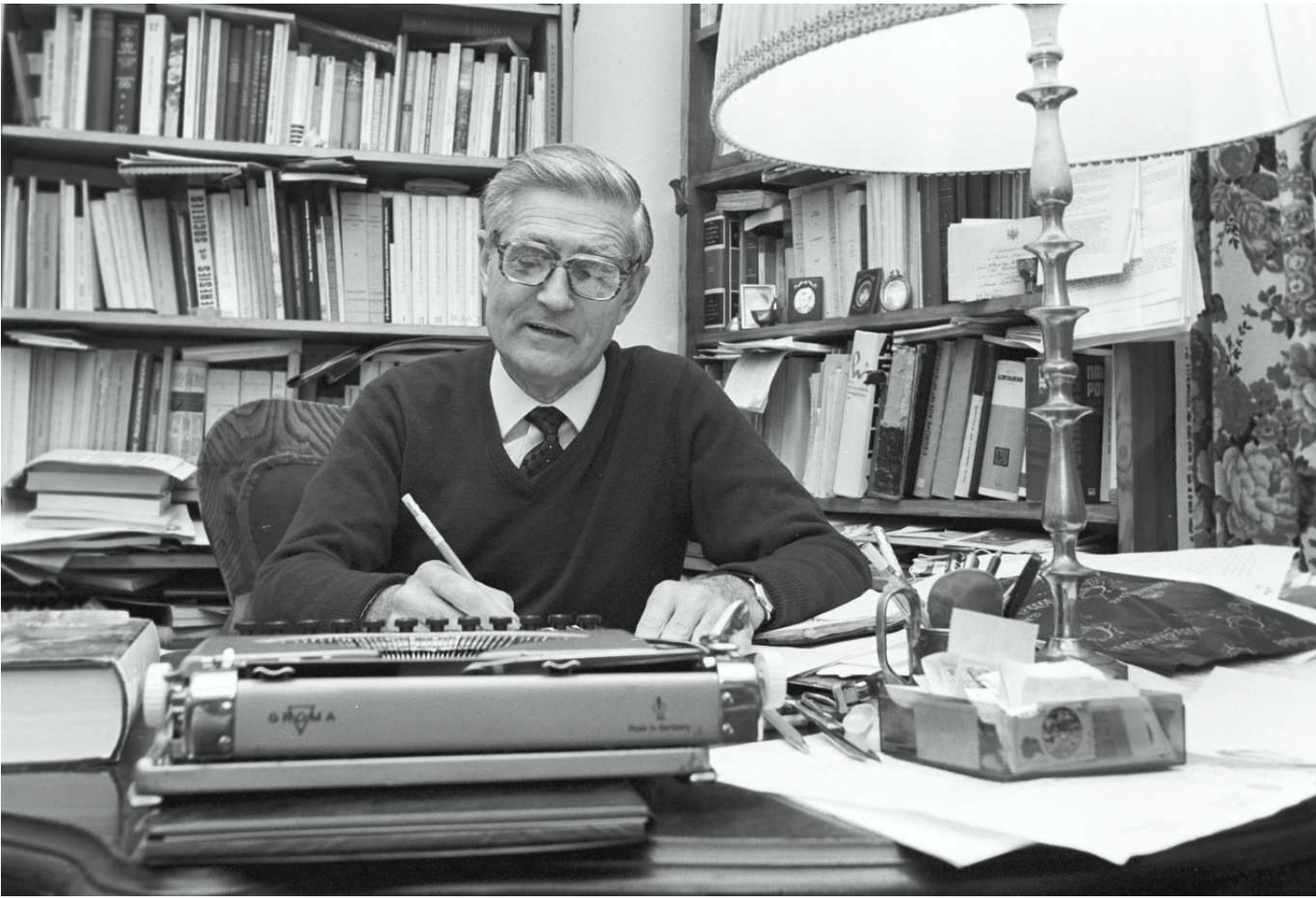


W opublikowanej rozmowie znajdujemy sporo wiadomości o przodkach i życiu Gieysztora, urodzonego w mieszkającej wtedy w Moskwie rodzinie polskiego ekonomisty zatrudnionego na pionierskiej podówczas kolei żelaznej i o jego żonie, córce zesłańca. Decydująca dla jego postawy mogła być jego działalność w okresie wojny w Armii Krajowej.

Zapytałem go: „Czy konspiracja nie była także spotkaniem z polityką?”.

Mówi Gieysztor: „(...) Znalazłem się w konspiracji przez Tadeusza Manteuffla, który był od początku

Z POLITYKĄ



1940 roku w redakcji »Wiadomości Polskich«. Przez niego trafiłem do Tomasza Malickiego, który był szefem Wydziału Informacji. Ja tam poszedłem [jako szef Referatu Niemieckiego]. Ja tam byłem najwcześniej, potem przyszedł Stanisław Herbst, Stefan Kieniewicz i inni (...). Dla części z nas, którzy mieli służbę wojskową za sobą, tak jak ja, to była kontynuacja służby wojskowej. Tak to odczuwałem osobiście. Dla B [iura] I [nformacji] P [ublicznej i Propagandy] i dla Komendy Głównej Armii Krajowej bardzo istotna sprawa, jeśli idzie o postawę polityczną tej konspiracji. (...) Każde działanie społeczne, a w szczególności odbywające się w takich warunkach, jakie niesła wojna, było także działaniem politycznym, tu nie ma wątpliwości. W tak swoistej służbie, w jakiej się znajdowałem, to znaczy w Biurze Informacji i Propagandy, a szczególnie w Wydziale Informacji, ciśnienie polityczne, oczywiście, było odczuwalne, nawet wzmagало się w ciągu owych prawie pięciu lat. Pan prawdopodobnie chciałby się dowiedzieć, jakiemu ciśnieniu politycznemu ja ulegałem? Otóż Wydział Informacji miał zarówno szefa przez długi okres czasu, jak też i grono współpracowników, którzy zbliżali się lub pochodzili, można by powiedzieć, z ówczesnego Centrolewu [opozycja antypiłsudczykowska w Sejmie 1929–1930 – RS] Tyczy się to zresztą i sympatii politycznych szefa całego BIP-u, tzn. pułkownika Jana Rzepeckiego, którego skłonności były sympatiami socjalistycznymi, posuniętymi aż nawet chyba do swoistego akcesu do PPS WRN [frakcja Wolność-Równość-Niepodległość – RS]. Oczywiście w czasie wojny – swoistego, bo z racji swego stanowiska służbowego nie mógł on z tym występować. Jednym z najbliższych mu ludzi politycznie był na przykład »Marcin«

Zaremba, który był poza BIP-em. Jeśli chodzi o Wydział Informacji BIP, to był w nim dość szeroki zakres owego Centrolewu. Kierownikiem Wydziału Informacji był Jerzy Makowiecki, architekt, członek klubów demokratycznych i potem stronnictwa Demokratycznego »Prostokąt«, czyli tego, który stał na gruncie rządu londyńskiego, swoją przynależnością polityczną znacznie bardziej się afiszował, co różne koła, szczególnie w Delegaturze Rządu miały mu za złe. Znaczną część kolegów musiałbym tak samo określić, jako ludzi grawitujących między, powiedzmy, socjalizmem a tymi odcieniami, które prezentowało wówczas stronnictwo Demokratyczne.”

Pytałem dalej: Czyli stykając się z polityką, zetknął się pan raczej z radykalizmem społecznym niż z prawicą? Zetknął się pan ze zjawiskiem wzrostu orientacji lewicowej?

„Czy to był radykalizm społeczny? To była polska porządna centro-lewica realnie myśląca o przyszłości państwa i społeczeństwa. Czy ona była radykalna? Nie sądzę, żeby była radykalna, natomiast gdyby patrzeć na to z punktu widzenia krytyków i, jak się potem okazało, bardzo zdeklarowanych wrogów, to znajdowaliśmy się w radykalnej lewicy w stosunku, na przykład, do stronnictwa narodowego, a w szczególności wobec wszystkich ugrupowań narodowych na prawo. (...) Środowiska intelektualne Warszawy wtedy były bardzo zróżnicowane. Zróżnicowanie to pochodziło na pewno z okresu powojennego. Oczywiście, że po roku 1943 pojawiła się aktywizacja komunistów, mając także, chociaż niezbyt szerokie, wpływy sięgające środowiska naukowego czy środowiska intelektualnego, nie tylko wówczas, ale i teraz po latach widać, że nie w wymiarze takim, który wówczas robiłby wrażenie siły. Stąd też w szczególności, gdy idzie o znany nam memoriał Rzepeckiego z 1943 roku do [Tadeusza] Bora-Komorowskiego [komendant główny AK – RS] w sprawie konieczności radykalizacji programu społecznego tego państwa podziemnego, które funkcjonowało przy pomocy Delegata i Komendanta Armii Krajowej, to ten program nie był odpowiedzią na program komunistów polskich w kraju. Był konsekwentnym wyciągnięciem wniosków z widocznej, dla nas przynajmniej, radykalizacji, przesuwania się na lewo opinii politycznej w Polsce, także w stronnictwie ludowym. To wszystko odbywało się w warunkach bardzo dużego nacisku zdarzeń. Ten konkurencyjny charakter wspomnianego programu wystąpił dopiero na początku roku 1944, kiedy pojawiły się w bardzo jaskrawej formie również inne programy, związane też z narodowymi siłami zbrojnymi. (...) Liczebnie tak duży naród w sytuacjach kryzysowych, nie wyłączając naszej bieżącej, nie może po prostu zginąć, a to ze względu na bardzo znaczną siłę biologiczno-psychiczną. Małe narody ryzykują zdmuchnięcie z powierzchni ziemi albo przesiedlenie w całości, natomiast tu okazało się, że ten trzydziestoparomilionowy naród ma tak nadal znaczny potencjał, że nawet jego poważne uszkodzenie w szczególności warstwy

▲ **Aleksander Gieysztor (1016–1999), jeden z największych polskich historyków-mediewista. W czasie wojny w konspiracji w Biurze Informacji i Propagandy Armii Krajowej**

FOT. PAP/LESZEK ŁOŻYŃSKI

◀ **Marian Małowist (1909–1988), historyk, specjalizował się w tematyce gospodarczej Polski i Europy. W czasie wojny w getcie warszawskim, z którego uciekł w 1942 roku**

FOT. KRZYSZTOF GIERALTOWSKI / FORUM

inteligenckiej, jak choćby ubytek 15 tysięcy oficerów na Wschodzie i do tego w obozach niemieckich musiało ich być przynajmniej dobre 10 tysięcy, otóż mimo takiego ubytku okazało się, że można i organizację wojskową odbudować, i kontynuować różne formy życia społeczno-politycznego, kulturalnego, nie mówiąc już o walce o byt materialny”.

...

Badania Gieysztora nad wczesnosłowiańskim państwem polskim miały ogromne znaczenie, zwłaszcza tuż po II wojnie, postanowieniach poczdamskich, wielkich przemieszczeniach ludzi i przesunięciu naszych granic państwowych. Jego działalność jako dyrektora Zamku Królewskiego liczyła się w zakresie symboliki narodowej. A więc znów – polityka. Ale jego nacisk na wspomnienia o działalności w okresie okupacji niemieckiej prowadzi mnie do porównania z życiem Mariana Małowista.

Gieysztorowi groziła utrata życia jako Polakowi uwikłanemu w konspiracyjną politykę niepodległościową, Małowist zaś, który już przed wojną zetknął się z antysemityzmem, znalazł się de facto wśród skazanych na śmierć przez okupantów niemieckich z powodu żydowskiego pochodzenia. Byli z żoną w warszawskim getcie. Kiedy ich siłą rozdzielili i żonę wepchnęli do wagonu, jej mąż nie miał wątpliwości co do losu tych pasażerów. Marian Małowist od razu wszedł na zamkniętą dlań kładkę między niemiecką i aryjską i stroną. Szedł powoli. Krok po kroku. Cekał, ale strzał nie padł.

Przeżył jako nauczyciel wiejski, a potem napisał „Wschód a Zachód Europy w XIII-XVI wieku. Konfrontacja struktur społeczno-gospodarczych” (Warszawa 1973) oraz inne książki o dziejach Europy, a także Afryki. Prace znane w Polsce i świecie. Na inspiracje Małowista (na równi z pracami Fernanda Braudela) powołuje się m.in. Immanuel Wallerstein.

...

Postawę polityczną Mariana Małowista w Polsce zależnego od sowietów socjalizmu państwowego określał fakt publicznego deklarowania się przez niego jako marksisty. To wyznanie było jednak niezwykle dopiero w połączeniu z faktem, że nie należał on do PZPR, a nawet odmawiał wstąpienia, a przecież był wielką postacią na UW i poza nim. Wtedy to robiło niespotykane wrażenie.

Ja niedawno publicznie wyznałem, że właśnie pod wpływem lektury Marksa zabrałem się jako technik i prawnik do doktoratu z historii. Z takimi wyznaniem ludzie teraz rzadko

się stykają. Pociągnęła mnie zaś idea, że konflikt społeczny jest przyczyną społecznej zmiany – i do uznania takiej tezy i jej stosowania wcale nie trzeba być jakimś marksistą. Postawa Małowista oddziaływała jednak publicznie. On, syn lekarza w Łodzi, porzucił komunizm, także jego trockistowski nurt, jako student przed wojną. Od byłego działacza na szczęblu KC PZPR, przedtem działacza Zrzeszenia Studentów Polskich, wiedziałem, że „za Stalina robiono do Małowista podchody, ale niewiele z tego wyszło”.

Niesłusznie uważano, że Małowist gardzi prasą i dziennikarzami. Mogła się taka opinia brać z faktu, że kiedy pewien student powiedział na seminarium, że chce robić magisterium z historii XX-wiecznej, to Małowist mu powiedział: „To jeszcze nie jest historia. O tym piszą gazety. Niech pan sobie da z tym spokój”. Mogła być w tym nawet jakaś polityka aktualna, lecz daleko w tle, gdyż Małowist po prostu zawsze promował studia oparte na źródłach archiwalnych. Polskich i obcych. Czytał nawet po flamandzku i katalońsku.

...

Porównując Aleksandra Gieysztora z Marianem Małowistem można powiedzieć, że Gieysztor oddziaływał swoją osobowością i umiejętnością niekompromitującego wykorzystania koniunktur politycznych w prowadzeniu prac doniosłych publicznie, więc pośrednio i politycznie. W końcu został prezesem PAN.

Małowist zaś trzymał się publicznego półcienia, uprawiał naukę formalnie daleką od aktualnej polityki, w rzeczywistości jednak politycznie doniosłą – zarówno dzięki międzynarodowej, jak i krajowej wadze wyników jego badań prowadzonych w Polsce, dzięki też swojemu przykładowi postawy nie tylko niezależnej, ale i niekonfrontacyjnej.

Obydwoj mieli do czynienia z polityką uprawianą w epokach przez nich badanych. Nie mogło to nie wpływać na ich myślenie o doświadczanej podczas ich życia, zmieniającej się rzeczywistości politycznej. Każdy z nich też odniósł ogromny sukces. W swoich świadomościach, wynikających z tego tożsamościach, w swoich postawach łączyli doniosłe treści nauki i uczciwy stosunek do ludzi oraz instytucji.

Zajmowanie się historią to jednak nie tylko wiedza i moralność. Dla historyka to także część sposobu na znalezienie się w jego świecie aktualnym. A ten świat bez polityki nie istnieje. Może nie zawsze się to im idealnie udawało, ale zawsze lepszy diament ze skazą niż przydrożny kamyczek bez niej (Konfucjusz). ●

Maciejewska

Wczoraj, czyli dziś

Turek, Węgier – dwa bratanki

Sułtan Sulejman Wspaniały, największy zdobywca osmański, złamał potęgę Węgier pod Mohaczem i uczynił z nich prowincję turecką, a mimo to został patronem rozkwitającej przyjaźni węgiersko-tureckiej.

Bo jest prawda czasu i prawda ekranu.



Tegoroczną wakacyjną wyprawę zaczęłam od Trabzonu w Turcji mającego bogatą historię – założyli go greccy kupcy z Miletu, później był częścią starożytnego królestwa Pontu, a w średniowieczu stolicą osobliwego Cesarstwa Trapezuntu, ostatniego spadkobiercy Bizancjum. Szukałam więc pamiątek wiekowej przeszłości, ale te najnowsze okazały się jeszcze ciekawsze.

W ubiegłym roku odsłonięto na nadmorskiej promenadzie pomnik przyjaźni turecko-węgierskiej. Stoi obok ogromnego popiersia sułtana Sulejmana Wspaniałego, a tekst inskrypcji, podkreślającej wielowiekowe, nierozzerwane więzy Turcji oraz Węgier, czyni z niego patrona wspólnoty historycznej tych krajów. „Miejsce urodzenia Sulejmana Wspaniałego to Trabzon, a miejsce śmierci to Szigetvár” – głosi napis.

Burmistrz Trabzonu, przemawiając na uroczystości odsłonięcia pomnika (według relacji „Hürriyet Daily News”), podkreślił, że „w 1994 roku na cześć Sulejmana, wspólnej wartości Węgier i Turcji, w Szigetvár wzniesiono pomnik oraz park Przyjaźni” i przyjaźni coraz bardziej rozkwita.

W szczególności „wspólnej wartości” się nie zagłębiał i słusznie, bo Sulejman przybył w sierpniu 1566 roku pod mury Szigetváru na czele 80-tysięcznej armii.

To była jego ostatnia próba dotarcia do Wiednia. Zdobycie stolicy Habsburgów otworzyłoby drogę do podboju całej Europy Środkowej. Sulejman miał wielkie ambicje, chciał stworzyć monarchię uniwersalną.

Obroncy węgierskiego zamku zatrzymali jednak pochód osmańskiej armii. Załoga liczyła zaledwie 2,5 tysiąca ludzi, którymi dowodził chorwacki szlachcic Nikola Zrinski i choć było wiadomo, że w końcu ulegną, każdy dzień zmniejszał szansę na dotarcie Turków do Wiednia.

Sulejman zaproponował Zrinskiemu, że jeśli złoży broń, zostanie osmańskim namiestnikiem Chorwacji, jednak Zrinski ofertę odrzucił. Gdy 5 września Turcy zdobyli jeden z bastionów, zebrał ostatnich żołnierzy i podjął próbę przebicia się przez pozycję wroga. Zginął wraz z większością załogi. Nie wiedział, że poprzedniego dnia sułtan Sulejman zmarł (co utrzymywano w tajemnicy przed wojskiem przez 48 dni), a wielki wezyr Sokollu Mehmet Pasza zarządził powrót do Stambułu, bo sprawa następstwa tronu była najważniejsza.

W Europie uznano to za cud, choć interwencji boskiej trudno się doszu-

kać. Sulejman był stary i chory, a Zrinski gotowy bronić do ostatniej kropli krwi trudno dostępnego zamku. Cudem jest za to sposób, w jaki wykorzystuje się te wydarzenia.

W 2016 r., w 450. rocznicę bitwy i śmierci Sulejmana, do Szigetváru zjechali prezydenci Węgier i Chorwacji, Janos Ader oraz Kolinda Grabar-Kitarović, a także wiceprezydent Turcji Veysi Kaynak. Na uroczystości pojawiło się też pięciu przedstawicieli rodziny Osmanów, którzy od ustanowienia w Turcji republiki w 1923 roku mieszkają w Stanach Zjednoczonych.

Ustawiono w Szigetvárze pomniki Sulejmana i Zrinskiego – pierwotnie mieli się mierzyć wzrokiem, ale uznano, że lepiej będzie, gdy staną ramię w ramię – i przeprowadzono badania archeologiczne, aby ustalić, gdzie pochowano serce i wnętrzności sułtana (zabalsamowane ciało zabrano do Stambułu).

Przyjaźń kwitnie coraz bardziej, w ubiegłym roku podczas wizyty prezydenta Turcji Recepa Tayyipa Erdogana w Budapeszcie doszło do podpisania 17 umów dwustronnych, w tym tej o strategicznym partnerstwie. Jak stwierdził premier Viktor Orban: „Węgry przegrali poprzednie stulecie. Plan jest taki, aby nie przegrać XXI wieku, ale go wygrać i szukać do tego sojuszników”.

A na Turcję stawiają zdecydowanie, analitycy podkreślają, że wpisuje się to w obowiązującą od 2011 roku strategię „otwarcia na Wschód”, której celem jest tworzenie przeciwwagi dla politycznej i gospodarczej dominacji krajów zachodnich przez intensyfikację współpracy z Pekinem, Moskwą czy właśnie Ankarą.

Polityka historyczna może taką strategię wspomagać, więc zdobywcą Sulejman stał się „wspólną wartością” Węgier i Turcji, a turecka okupacja w imperium osmańskim (do którego spuścizny prezydent Erdogan się odwołuje) – pokojową koegzystencją.

Warto jednak dodać, że Polska też dostała w 2017 roku od prezydenta Erdogana propozycję pomnika przyjaźni polsko-tureckiej, który miał stanąć w warszawskim parku Agrykola, około 250 metrów od pomnika Jana III Sobieskiego tratującego osmańskich żołnierzy. I sam pomnik, i lokalizacja wywołały kontrowersje.

Ale gdy rzecz dotyczy przyjaźni politycznych, wszystko uchodzi. W 1991 roku obchodziliśmy 750. rocznicę bitwy pod Legnicą, która skończyła się wygraną wojsk mongolskich i utratą głowy księcia Henryka Pobożnego. Delikatna sprawa dla ambasadora Mongolii, który został zaproszony na uroczystości, ale dyplomata ominął rafy, wznosząc na przyjęciu toast: nieważne, kto wygrał, a kto przegrał, ważne, że się spotkaliśmy. ●

Beata Maciejewska

Historyczka, dziennikarka i publicystka „Gazety Wyborczej”

Mariana Małowista w Polsce zależnego od sowietów socjalizmu państwowego określał fakt deklarowania się jako marksisty. To wyznanie było jednak niezwykle dopiero w połączeniu z faktem, że nie należał do PZPR

Gorączka Bliskiego Wschodu

POLITYKA

POMOCNIK HISTORYCZNY

Nr 5/2024 Cena 24,99 zł (w tym 8% VAT) Indeks: 403652 ISSN: 2391-7717

Izrael-Palestyna Wojna bez końca

już w sprzedaży!

Rachunki krzywd
s i Hezbollah
a pokój?

KORZENIE KONFLIKTU

Odwieczny konflikt izraelsko-arabski

Konflikt izraelsko-arabski należy do najgłębszych i najbardziej trwałych we współczesnych stosunkach międzynarodowych. Składowe są na niego wojny między państwami palestyńskimi a Izraelem, a także między państwami arabskimi a Izraelem. W tym kontekście...

Dokąd zmierzamy?

Długość wojny izraelsko-arabskiej...

Potop i Miecze

Na opuszczonej ziemi pod murami...

100
stron

Wydanie papierowe – w kioskach i na sklep.polityka.pl
Wydanie cyfrowe – [subskrypcja polityka.pl/cyfrowa](https://subskrypcja.polityka.pl/cyfrowa)
Wydanie audio – sklep.polityka.pl i polityka.pl/cyfrowa
Podkast POLITYKA o historii – polityka.pl/podkasty



POMOCNIK HISTORYCZNY

Ponad 60 tytułów

Sprawdź na sklep.polityka.pl



Trzej Mędrcy przybywają do ubogiej stajenki, niosąc dary dla nowonarodzonego dziecka, ale opryskliwa matka wyrzuca ich na dwór sugerując, że nie są trzeźwi. Przekonują ją dopiero dary, które przynieśli: złoto, kadzidło i mirra (choć ta najmniej, bo matka sądzi z początku, że to jakieś zwierzę). Szybko się z nimi żegna, ale Mędrcy po chwili wracają, by odebrać wręczone dary. To nie ta stajenka.

Tak zaczyna się „Żywot Briana”, brytyjska komedia zrealizowana przez szalonych komików z grupy Monty Python: Terry’ego Jonesa, Johna Cleesa, Grahama Chapmana, Michaela Palina, Terry’ego Gilliama i Erica Idle’a. Brian mieszka w Judei, urodził się tego samego dnia co Jezus, za którego w pierwszej scenie został wzięty, i potem już omyłkowo uznawany będzie za Mesjasza.

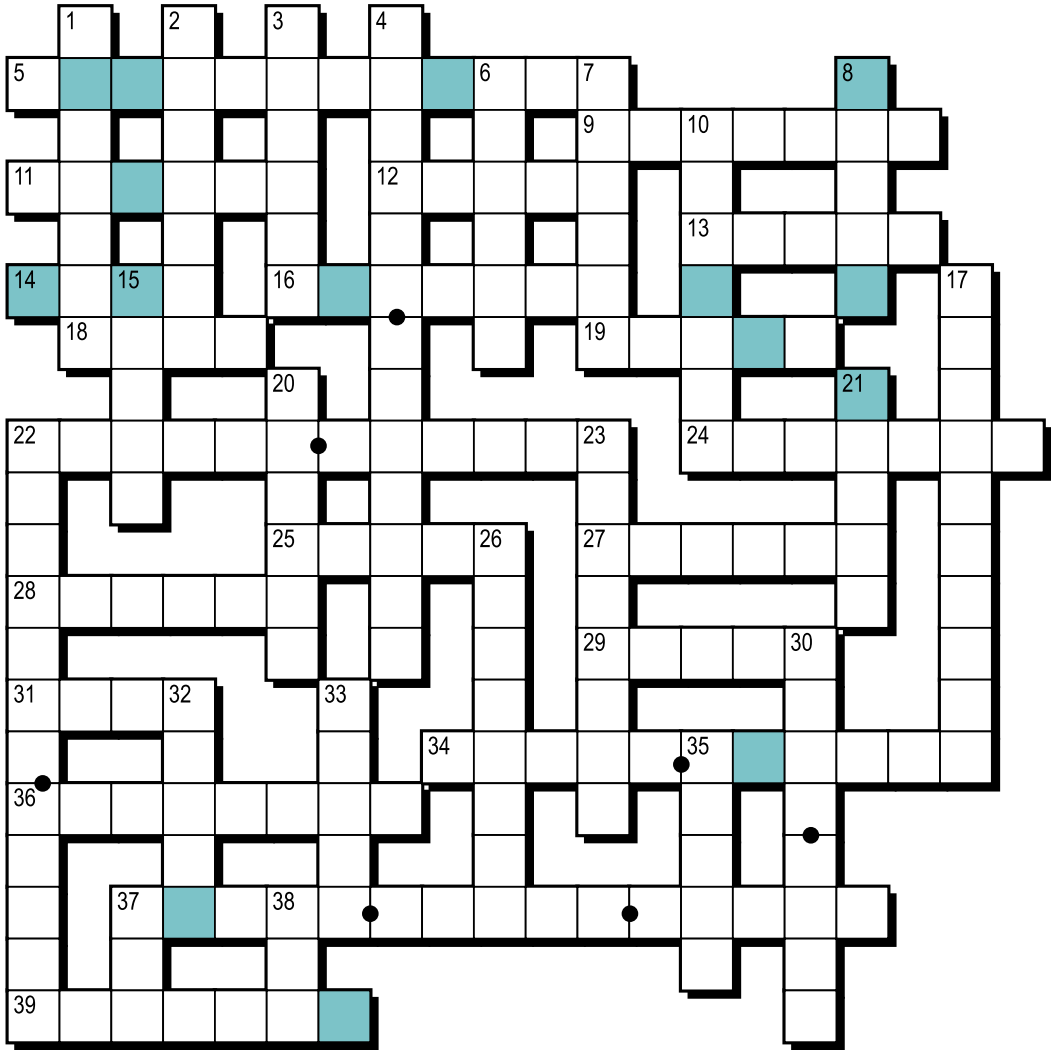
„Żywot Briana” miał oficjalną premierę 17 sierpnia właśnie, 1979 roku. Ale rzecz jasna, z racji tematyki, którą poruszał – satyra na religię i filmy religijne – nie obyło się bez potężnych problemów. Był uważany za bluźnierczy. Zresztą jeszcze przed rozpoczęciem zdjęć losy filmu zawisły na włosku – firma EMI Films wycofała swe wsparcie finansowe, gdy jej szefowie przeczytali scenariusz, co stało się na kilka dni przed planowanym rozpoczęciem zdjęć. Wtedy pomocną dłoń wyciągnął George Harrison, który specjalnie na rzecz projektu stworzył firmę producencką. Zresztą były Beatles pojawił się na ekranie w roli pana Papadopoulosa.

W USA, gdzie wyświetlono go najpierw, protestowali zarówno duchowni katolicycy jak i rabini, w Wlk. Brytanii odmówiły jego pokazywania BBC i ITV, w niektórych krajach, jak Norwegia czy Irlandia, został zakazany (zresztą dystrybutor w Szwecji wykorzystał tę sytuację reklamując film jako „tak zabawny, że w Norwegii zabroniono go wyświetlać”). W Finlandii przed seansami pokazywano stosowny komunikat, że „Żywot Briana” jest parodią hollywoodzkich superprodukcji historycznych.

Mimo to tylko w Stanach w pierwszy weekend wyświetlania zarobił ponad 140 tys. dol. Była najlepiej oglądanym brytyjskim filmem w USA w 1979, a łącznie za oceanem przyniósł zysk ponad 19 mln dol. W Wlk. Brytanii ostatecznie zadebiutował znacznie później, 9 listopada, ale i tak zdążył zarobić tyle, że znalazł się na 4. miejscu najbardziej kasowych rodzimych produkcji.

Dlatego dziś, z okazji rocznicy premiery „Żywotu Briana”, zapraszamy do „Weekendówki” nieco karkołomnej – poświęconej niezwykle szóstce twórców i ich wyjątkowym dziełom. Łatwo nie będzie, ale trzymamy kiuki!

Andrzej Kulasek
andrzej.kulasek@agora.pl



Rozwiązanie „Weekendówki” nr 115 z 10.08:

- Poziomo:** 3) tango, 9) tunel, 10) dzielnica, 11) Sekwana, 13) Amelia, 14) głowy, 16) Hańska, 17) rekolekcje, 20) Szakal, 23) sen, 26) statek, 27) Roland, Garros, 28) mapka, 30) igrzyska, 33) wieża, 34) Hugo, 35) Alpy, 36) Quasimodo, 39) termidor, 40) cmentarze, 41) Lasek, 42) mury.
- Pionowo:** 1) Lalka, 2) merowie, 4) Aleksander, 5) gawrosze, 6) Adam, 7) Miller, 8) Pigalle, 9) targ, 12) Nana, 15) łacina, 18) kolor, 19) rząd, 21) klasy, 22) cesarz, 24) Notre, Dame, 25) Maria, 28) moda, 29) Pompidou, 31) Renoir, 32) kogut, 34) Hotel, 37) bruk, 38) Orly.

HASŁO:
MOULIN ROUGE

MONTY PYTHON

Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:

- 5)** ... Głupich Kroków
9) film taki jak „Monty Python i Święty Graal” albo 34 poziomo
11) John, najwyższy z Pythonów (197 cm wzrostu)
12) absurdalny – dominuje w skeczach grupy
13) chciał nim zostać fryzjer, o czym śpiewał piosenkę z towarzyszeniem chóru Kanadyjskiej Królewskiej Policji Konnej
14) ... Beckinsale, wystąpiła w filmie Pythonów „Absolutnie Anything”
16) oryginalne ... na skecze
18) ... Grecja – Niemcy, czyli filozofowie kontra filozofowie (Leibniz na bramce, Sokrates w ataku)

- 19)** kończy na nim tytułowy bohater komedii 34 poziomo
22) ptak przyniesiony do reklamacji w sklepie zoologicznym
24) ... na Kilimandżaro (szef widzi podwójnie)
25) zwierzak zwany Rollo
27) „A teraz coś z zupełnie innej ...” (wpisujemy w mianowniku)
28) przybył po pomoc do fałszywego psychiatry
29) ... z policzkowaniem rybami (wpisujemy w liczbie mnogiej)
31) miejscowość wymieniana przez klienta sklepu z serem, w którym jednak nie ma sera
34) komedia, w której kobiety nie mogły brać udziału w ukamienowaniu
36) „Always Look on the Bright Side of Life”
37) komedia, w której wystąpili 11 poziomo, 22 pionowo, a także Jamie Lee Curtis
39) absurd, niedorzeczność

Pionowo:

- 1)** Terry, reżyser filmów „Fisher King”, „12 małp”, „Teoria wszystkiego”
2) brudny w restauracji
3) Meryl, aktorka, którą „udawał” John Cleese, reklamując film 37 poziomo
4) członek grupy, który wcielał się w rolę pułkownika przerywającego co głupsze skecze
6) ... Beksiński, przetłumaczył na polski wszystkie odcinki „Latającego cyrku Monty Pythona”
7) „Nil”, wydawany przez rycerzy Ni
8) bohater komedii 34 poziomo, który miał wadę wymowy
10) drzewo nr 1 ze skeczu „Jak rozpoznawać drzewa”
15) Gilliam lub Jones
17) hiszpańska ... (nikt się jej nie spodziewał!)
20) Basil, rola 11 poziomo w serialu komediowym „Hotel Zacisze”
21) w tytule filmu, w którym pojawia się śmiercionośny królik

- 22)** członek grupy, który zagrał Piłata w filmie 34 poziomo
23) ptak sprzedawany podczas występów grupy
26) doskonała podczas oglądania skeczów Pythonów
30) członek grupy, który napisał utwór 36 poziomo
32) gryzonie, którymi chciało zostać wielu Brytyjczyków
33) święty sandał i święta ... (roślina), w filmie 34 poziomo
35) jeden z owoców wykorzystanych w skeczu o samoobronie
37) ... Oczywiście, miał być pierwszym człowiekiem, który przeskoczy kanał La Manche
38) ... Łajdak, ukochany Rosamund w jednym ze skeczów

Leszek Rydz

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34310976

KRZYŻÓWKI WYBORCZEJ

Rozwiąż gdzie chcesz i kiedy chcesz

Pobierz w App Store

POBIERZ Z Google Play

Zeskanuj QR kod i pobierz aplikację